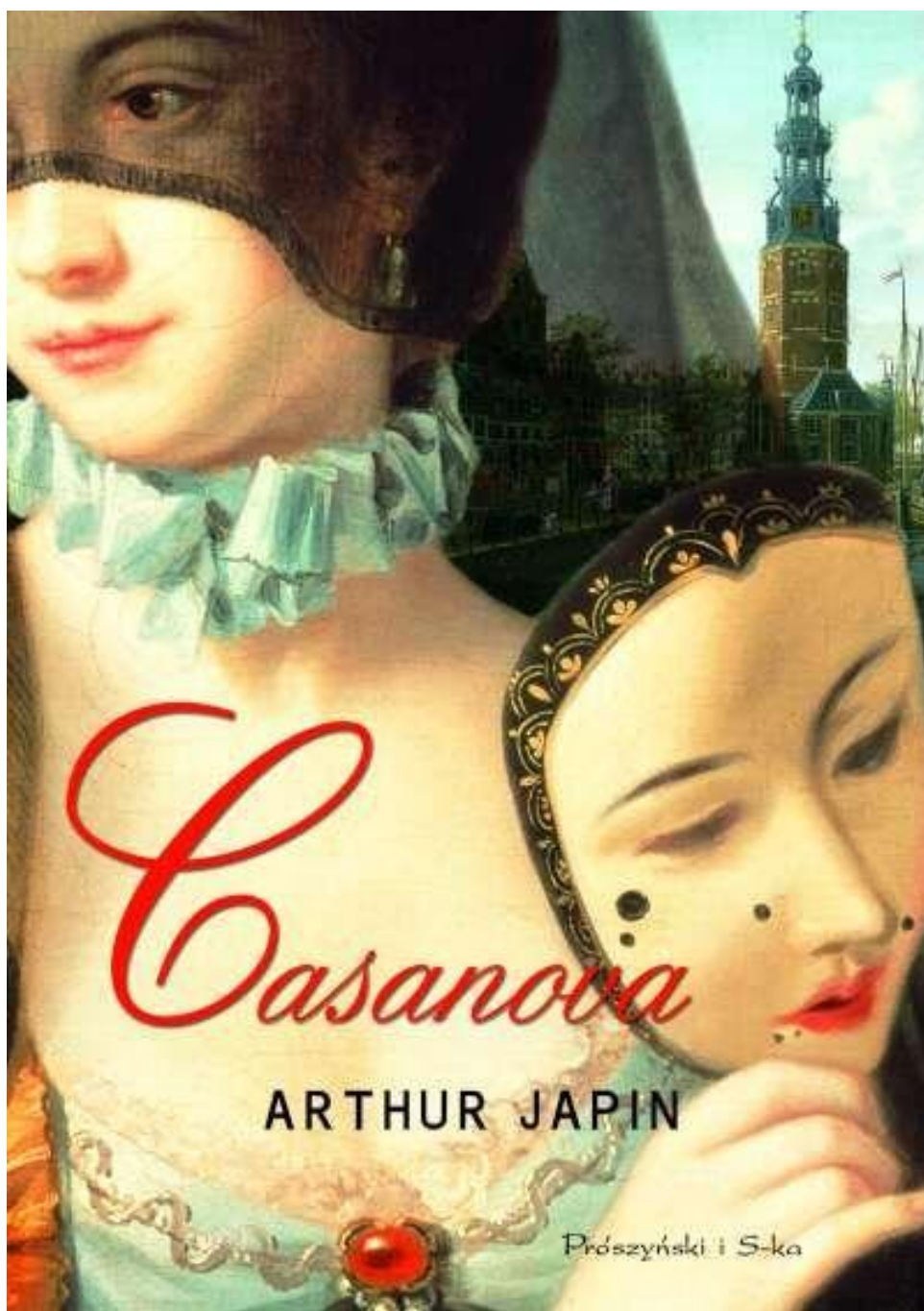




ARTHUR JAPIN
CASANOVA

Przełożył Ryszard Turczyn



TLR

Dla Elsy

*Wiele z tego, co początkowo istnieje tylko jako wyobrażenie,
staje się rzeczywistością*

G.C.

TLR

I
WYŻSZOŚĆ MIŁOŚCI

TLR

Jeśli cokolwiek potrafię, to kochać. Wydaje się, że to nic specjalnego, ale jestem z tego dumna. Nauczyłam się tego tak, jak szczeniak uczy się pływać: tylko dlatego, że razem z resztą miotu został wpakowany do jutowego worka i wrzucony do wartkiej rzeki.

Tą jedną, której wbrew wszelkim oczekiwaniom udało się wyjść cało, byłam ja. Mając jeszcze w uszach skomlenia tych, którym się nie udało, musiałam się nauczyć kochać.

Nie utonęłam.

Dotarłam do brzegu.

Kocham.

Inni ludzie ukrywają zmartwienia w sercu. Takie smutki niepostrzeżenie drażnią ich od wewnątrz. Moim ratunkiem było to, że noszę swoje zmartwienie na wierzchu, gdzie nie może ujść niczyjej uwagi.

1

AMSTERDAM 1758

Tego wieczora, kiedy wszystko objawiło się w zupełnie nowym świetle, jak w każdy czwartek miałam spożyć kolację z panem Jamiesonem, kupcem handlującym skórami i tytoniem, a potem być może pójść gdzieś razem z nim na tańce. Tak się jednak złożyło, że dopadła go podagra i biedaczysko musiał odwołać spotkanie, postanowiłam więc udać się do mojej loży.

Chciałabym być dobrze zrozumiana, zawsze żyłam skromnie. Od chwili, kiedy dosięgnął mnie zły los, pędząc mnie przez życie, żyłam bardzo oszczędnie. Musiałam zresztą, ponieważ przez długi czas nie wiedziałam, co przyniesie następny dzień. Czy będę miała co jeść. Albo czy ktoś o mnie zadba. Albo czy nie zostanę napadnięta i przepędzona gdzie indziej. Nawet kiedy już wreszcie zdobyłam pewną pozycję w Amsterdamie, nadal nie zamawiałam strojów innych niż te, jakich oczekiwały ode mnie kręgi, w których się obracałam, oraz oczywiście rzeczy, które były konieczne do wykonywania zawodu. Na żadne ekstrawagancje nigdy sobie nie pozwalałam. Wcale zresztą nie miałam takich pragnień. Jedyne, na co sobie pozwoliłam w ostatnich latach, to stałe miejsce w loży Teatru Francuskiego przy ulicy Overtoom, do którego chodziłam, ilekroć tylko udało mi się znaleźć wolną chwilę.

Tam właśnie udałam się owego wieczoru w połowie października. Tak jak to miałam w zwyczaju, wynajęłam przewoźnika z małą, ale przyzwoitą łódką. Dzień był mokry i nieprzyjemny. Chłód na kanałach Amsterdamu jest inny niż w Wenecji. Zaczyna się wiele miesięcy wcześniej, szybciej przenika całe ciało i jest ostrzejszy, a poza tym wchodzi bardziej w kości niż w płuca. A jednak wolę płynąć łodzią niż jechać powozem. Ludzie na brzegach kanałów nie zwracają specjalnej uwagi na to, kto przepływa. Dzięki temu najmniej rzucam się tam w oczy. Ja natomiast ze swej strony lubię im się przyglądać. Tak też robiłam i tego wieczoru, po części dla własnej przyjemności, po części ze względu na swoją profesję.

Na jednym z zakrętów kanału Herengracht dostrzegłam dwóch mężczyzn. Jeden z nich to Jan Rijgerbos, handlujący na giełdzie, który nie był mi obcy. To miły, wielkiej ogłady wdowiec, zwawy i ładnie zbudowany, a przy tym niezbyt wymagający. Jego towarzysza nie znałam. Miał ciemną cerę i ostry profil. Właśnie to ostatnie natychmiast wydało mi się pociągające. Jego widok niezwykle mnie poruszył, chociaż zupełnie nie wiedziałam, czemu. Poprosiłam przewoźnika, by szybciej wiosłował, abyśmy jeszcze przez chwilę płynęli z nimi zrównani. Przyglądałam się nieznajomemu. Miał owalną twarz i nosił blond perukę, która to jeszcze podkreślała. Nie był wprawdzie specjalnie przystojny, ale wzbudził moje pożądanie w stopniu, jakiego się po sobie nie spodziewałam.

Zgniewało mnie to.

To ja zwykłam być tą, która budzi pożądanie.

Uznałam, że jak dla mnie jest za szczupły. Poza tym był ubrany wedle najnowszej paryskiej mody w sięgające kolan spodnie z żółtego jedwabiu, wskutek czego odsłaniały mu łydki, co przy takiej pogodzie wyglądało śmiesznie. Straciłam zainteresowanie i znowu zaczęłam się rozglądać, patrząc na innych spacerowiczów. Kiedy przepływaliśmy pod Mostem Lejdejskim, pan Rijgerbos i jego towarzysz właśnie tamtędy przechodzili i ułowiłam strzępek ich rozmowy. Mówili po francusku, pierwszy z trudem, drugi płynnie. Głos Francuza przypadł mi do gustu. Kazałam przewoźnikowi zatrzymać się pod filarem mostu. Tam odczekaliśmy, aż tych dwóch zniknęło z pola widzenia.

*

Wszystko przez to, że miałam zupełnie nieodpowiedzialnie głęboki dekollet; wszystko przez to, że na pewno nie jestem bez grzechu; wszystko przez to, że tego wieczoru moje myśli były zdecydowanie mniej niż mało wzniosłe; wszystko przez to, że nie należę do kobiet, którym siła wyższa zechciałaby poświęcić bodaj kwadransik swego czasu - inaczej bowiem można by jeszcze pomyśleć, że to sam Bóg, czy może raczej sam diabeł, dla zabawy maczał w tym palce. Cóż za zbieg okoliczności! Bo jakże rzadko otrzymujemy szansę

zobaczenia choćby na moment szerszej perspektywy, w obrębie której rozgrywają się wydarzenia z naszego życia. Ja również nie byłam przygotowana na to, co mnie czekało, chociaż los przez całe lata bawił się mną jak piłką. Przez cały ten czas miałam się na baczności. I akurat teraz, kiedy wydawało mi się, że nareszcie los przestał ze mną igrzać i ze znużeniem odsunął na bok, on znowu z całą gwałtownością pochwycił mnie za gardło.

Tym razem nie mogę postąpić inaczej, niż tylko pogodzić się z faktem, że za pewnymi katastrofami kryje się jednak określone znaczenie. A więc że wytrwanie ma sens. Otrzymałam tego dowód. Albo przynajmniej... jeśli Bóg tak zechce, w bardzo niedługim czasie go otrzymam.

*

Jak zwykle zajęłam swoje stałe miejsce tuż po rozpoczęciu przedstawienia, aby w miarę możliwości nie budzić wśród widzów zgorszenia. Opera, którą dawano, to stara sielanka, do której muzykę napisał pewien kompozytor z Grenoble. Większość ról była obsadzona przez stałych śpiewaków teatru, tak więc ci najpopularniejsi byli przyjmowani owacyjnie. Główną rolę pasterki grała sopranistka, która święciła triumfy w tym przedstawieniu w całej Europie.

W połowie pierwszego aktu do drzwi mojej łoży zapukał Jan Rijgerbos.

- Cóż za niespodzianka - rzekłam. - Nie wiedziałam, że lubi pan teatr. Nie przypominam sobie, abyśmy się kiedykolwiek wcześniej tutaj spotkali.

Pan Rijgerbos był zbyt dobrze wychowany, by okazać niezadowolenie z naszej konwersacji, zadbał jednak o to, by od strony widowni nie zobaczono go w moim towarzystwie. Przywykłam do tego. Nie czułam się urażona i nie miałam mu tego za złe.

- Przyznam się pani, iż muzyka to dla mego ucha coś nazbyt nienaturalnego, lecz cóż ja mogę o tym wiedzieć? Nie, po prostu jest u mnie w gościnie przyjaciel z Francji. Przyjechał do naszego miasta z misją francuskiego ministerstwa skarbu i nalega, by każdego 'wieczoru bywać w teatrze, tak jak przywykł do tego w Paryżu. Siedzieliśmy na parterze...

Rijgerbos postąpił krok na stronę. W drzwiach stanął jego gość, który

został przedstawiony mi jako monsieur le chevalier de Seingalt.

- Miejsca na parterze sprzedano nam z zapewnieniem, iż jest stamtąd wysmienity widok na scenę - powiedział ów nieznajomy po francusku i pochylił się, by ucałować moją dłoń. - Nikt jednak nie uprzedził nas, iż to, co najbardziej zachwycające, wcale nie będzie się dziś znajdowało na scenie.

Wszystko, co mężczyzna powiedzieć może kobiecie, już kiedyś słyszałam. Komplementy na temat wyglądu zawsze mają dla mnie w sobie coś smutnego, zwłaszcza w czasie pierwszego spotkania. Sprawiają wrażenie zmęczonych od razu na początku wypełniania swych obowiązków. Zmuszone są dokonywać czegoś, w co same nie wierzą, niezgrabne jak konie pociągowe, którym treser każe wykonywać określone kroki i figury. Niektóre kobiety nie mogą żyć bez miłych słówek. Mnie jest milej, gdy ich nie słyszę. Lecz jak mężczyzna mógłby to pojąć? On sądzi, że sprawia nam tym przyjemność.

Uprzejmie zaproponowałam obu panom zajęcie miejsca w mojej łoży. Jan skrył się za kotarą, Seingalt natomiast bez żenady postąpił do przodu. Stał tam doskonale widoczny z sali. Żółty jedwab jego zwracającego uwagę stroju wydawał się lśnić w blasku świec umieszczonych na skraju sceny.

Dopiero kiedy mógł być pewien, że wszystkie oczy zwrócone są w naszą stronę, usiadł na krześle i w sposób dla każdego widoczny przysunął się jeszcze odrobinę bliżej w moją stronę. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo Jan nic mu o mnie nie opowiadał, albo opowiedział o mnie wszystko i chevalier nie lękał się byle czego. Obojętnie jak się sprawy miały, uznałam, że go lubię.

Pozostałej części arii wysłuchaliśmy do końca w milczeniu. Przez cały ten czas czułam kierowane w moją stronę spojrzenia Seingalta. Poprzez koronkę, z której uczyniona była woalka, usiłował dojrzeć zarys mojej twarzy. Wiedziałam, że mu się nie uda, jednak napęniało mnie to niepokojem. Musiałam dołożyć starań, aby przyśpieszony oddech nie zdradził mych emocji. Jego oczy, wielkie i czarne pod na wpół przymkniętymi powiekami wędrowały cały czas a to po moim ciele, a to wyżej, w nadziei, że uda im się złowić moje spojrzenie.

Kiedy w czasie antraktu zapalono duże kandelabry, cofnęłam się nieco,

tak aby siedzieć w cieniu. Chevalier nie omieszkał poinformować mnie, iż zatrzymał się w „L'Etoile d'Orient” przy ulicy de Nes, róg Kuiperssteeg. Powiedział, że przybył niedawno z Paryża z zadaniem spieniężenia w Amsterdamie francuskich obligacji, aby poprawić nieco sytuację finansową państwa, w kraju bowiem ich wartość sprzedażna nazbyt się obecnie obniżyła na skutek wojny. Przez cały ten czas starał się dojrzeć wyraz mojej twarzy. Na próżno. Wreszcie poprosił o coś, o co nikt dotąd nie odważył się w ten sposób poprosić, mianowicie abym zechciała odplacić mu za przyjaźń, jaką mi okazał, pozwoleniem spojrzenia na moje oblicze. Widocznie nie był przyzwyczajony, by kobieta czegokolwiek mu broniła, w chwilę później bowiem ponowił swoją prośbę, w nieco mniej już oględny sposób. W końcu spytał mnie wprost, dlaczego nie chcę mu podarować tego, czego tak bardzo pragnie.

- Kiedy jest pan w posiadaniu cennego klejnotu - odrzekłam na to - nie chce pan chyba, aby ten i ów go sobie ot, tak oglądał?

- Ma pani rację, z pewnością bym go ukrył.

- Tak samo ja dbam o siebie, monsieur. Troskliwie.

*

Pewnego dnia zdecydowałam, że będę nosić woalkę. Działa ona na mężczyzn w sposób oczywisty. Najbardziej uwielbiają bowiem to, co zakazane. Mężczyzna pożąda tego, czego mu się wzbrania. Woli niepewne od pewnego.

*

- Klejnot, który pani ukrywa, musi być jedyny w świecie - prawil dalek galant z Francji, a jego spojrzenie prześlizgiwało się bezczelnie po mojej obnażonej szyi - zważywszy, iż inne swoje skarby, za które ten i ów byłby gotów zabić, prezentuje im pani bez skrpułów.

- Proszę się lepiej poddać - zakpiłam. - Nierówna to walka.

W ten sposób poigrałam sobie z nim jeszcze, cały czas zachowując przewagę, aż wreszcie zamilkł i udawał, że jest całkowicie zainteresowany śpiewakami, którzy ponownie pojawili się na scenie.

Aby podtrzymać jego nadzieję, położyłam rozłożony wachlarz na pluszowej balustradzie: znak, który rozumie każdy wszędzie w Europie.

*

Przez całe lata nawykłam do patrzenia na siebie oczami innych. Określało mnie to, jak na mnie reagowali. Z ich spojrzeń tworzyłam sobie to, jaka jestem. Potem wpadłam na pomysł, by się przed tym ukryć.

Początkowo zakrywałam twarz wyłącznie, kiedy wychodziłam z domu. Narzucając sobie takie ograniczenie, doznałam poczucia wolności, jakie pamiętałam wyłącznie z najwcześniejszych lat życia. Od tej pory czułam się jak nowo narodzona. Dopóki nie patrzą na mnie inni, dopóty i ja na siebie nie patrzę. Uwolniona od obrazu siebie, jaki miałam, znów mogłam bez strachu wyjść do świata, tak jak dziecko wchodzi między dorosłych. Nie patrzą już na mnie jak na jedną z nich i dzięki temu więcej mi wolno. Nie muszę zachowywać ich powagi. Kiedy tamci siedzą przy stole, ja w myślach chodzę na czworakach między nogami zebranych. Dziecko doskonale zdaje sobie sprawę z oceny dorosłych, ale nie przykłada do niej tak wielkiej wagi. Dzięki zamaskowaniu odkryłam na powrót beztroskę. Odpowiada mi ono do tego stopnia, że w ostatnich latach nawet w domu rzadko kiedy zdejmuję woalkę, czasem nie robię tego, nawet gdy jestem całkiem sama. W każdym razie zawsze zakrywam się nią w czasie pracy. Temu przypisuję zresztą swoje powodzenie.

*

W sielance nastąpił dramatyczny zwrot. Ojciec młodego panicza

ostrzega pasterkę, że wydziedziczy syna, jeśli się z nią ożeni, chociaż młodzieniec bardzo ją kocha. Aby ratować szczęście ukochanego, dziewczyna udaje, że zakochała się w innym. Następnie porzuca swoje owieczki i udaje się do klasztoru. Tuż po jej zaślubinach z Chrystusem do klasztornej furty puka zakochany panicz. Przejrzał cały spiszek, ale jest już za późno. Raz jeszcze dane mu jest ujrzeć piękną twarz dziewczyny, a potem już na zawsze okrywa ją zakonny kaptur.

- Cóż za okaleczenie! - westchnął Seingalt, kiedy sopranistka skryła się pod habitem. Wyglądał na prawdziwie wzburzonego i zapomniał, gdzie się znajduje. - Ukrywanie czegoś tak pięknego to chyba grzech śmiertelny?

- Osądzanie naszych grzechów pozostawmy, drogi panie, Temu, który je stworzył.

Seingalt spojrział na mnie i wybuchnął śmiechem.

- Może przy tej okazji mógłby mi On też wyjaśnić, dlaczego ktoś taki jak pani dobrowolnie się ukrywa.

W chwilę potem złożyłam wachlarz z powrotem i schowałam go. Kobiety, które niepotrzebnie się poświęcają, nie mogą liczyć na moją sympatię. Jestem zła na takie głupie gęsi, które pozwalają, by nad ich uczuciami górę wzięła rozsądek, i za każdym razem odczuwam radość, kiedy dostają to, na co zasłużyły. Nie dotrwałam do końca aktu i przeprosiłam obu panów. Ta sielanka mnie wzburzyła, a przecież przychodzę do opery, aby się zabawić, a nie żeby przeżyć wstrząs.

*

Niejednokrotnie już zarzucano mi, jakoby kryła się przed światem za woalką, ale jest raczej odwrotnie.

To ja ukrywam świat.

Opuszczam na niego zasłonę.

Przez mgiełkę koronki i jedwabiu wszystko wygląda o wiele łagodniej.

2.

Nie przypominam sobie żadnych granic. Pasiano, posiadłość, w której się urodziłam, rozciągała się jak okiem sięgnąć na okolicznych pagórkach. Drzwi zawsze były otwarte. Mogłam iść, dokąd chciałam. Godzinami spacerowałam po okolicy, nie opuszczając tego, co znajome. Moi rodzice zupełnie się wtedy nie troskali. Rankiem, kiedy pobiegłam za jakimś ptaszkiem czy motylkiem, ze spokojnym sercem mogli mnie stracić z oczu, ponieważ i tak zapachy z kuchni, które około południa zaczynały się rozchodzić po polach, skutecznie ściągały mnie z powrotem do domu. Bardzo wcześnie zaprzyjaźniłam się z końmi na łące i z czasem pozwoliły, bym na nich jeździła po polach, z piętami przy ich bokach i rączkami zaciśniętymi na grzywach. Moimi towarzyszami zabaw były psy ekonoma i kurczaki w kurniku. Wspólnie turlaliśmy się po zboczach złotożółtych pagórków i biegaliśmy po lasach. Strumyki w dolinach były płytkie i ciepłe, i aż do moich dziesiątych urodzin myśliwym nie wolno było zastawiać wnyków. W Pasiano nie było żadnych niebezpieczeństw. Nic nie ograniczało mego szczęścia. Dlatego moje dzieciństwo upłynęło bez lęku i bez nadzoru.

Nie miałam powodu myśleć, że w pozostałych częściach świata jest inaczej.

Najpierw czułam, a potem myślałam - tak jak wszyscy. Dopiero kiedy zaczęto mnie pouczać, nauczyłam się rozróżniać i nazywać fakty. Nigdy jednak tego, czego mnie nauczono, nie uważałam za cenniejsze od tego, co wiedziałam intuicyjnie. Wciąż zresztą z obrzydzeniem dopuszczam do siebie rzeczywistość. Bardzo lubię sobie powtarzać, że wszystko jest jeszcze możliwe i doskonale mi to wychodzi. Nawet jeśli diabeł patrzy mi prosto w oczy, to potrafię przekonać sama siebie, że z wizytą przyszedł do mnie anioł. Mam w tym taką wprawę, że sam Lucyfer nie byłby pewny siebie. W ten sposób mniej się boję.

Wierzę w sny. Pierwszych czternaście lat mojego życia spędziłam właśnie w jednym z nich. Rozumiem je. Są dla mnie czymś swojskim. Nie

znaczy to wcale, że nie dostrzegam prawdy. Widzę ją i to nawet zbyt wyraźnie. Po prostu mrużę oczy przed jaskrawym blaskiem. W ten sposób przez chwilę jeszcze czuję się bezpiecznie, chociaż w nosie kręci mnie już zapach siarki.

Przez pierwsze lata myślałam, że Pasiano należy do nas. Od łąnów żyta po stronie Squazare, gdzie wschodzi słońce, aż do Rava-rotty, gdzie z początkiem listopada zlatują się bociany na prezimowanie. Od pełnych jeleni lasów pod Codope aż po Azanello, gdzie słońce znika wieczorami za ruiną zamku Montefeltrich. Po prostu nie miałam powodów przypuszczać, że mój własny świat miałby do mnie nie należeć.

W rzeczywistości wszystkie te dobra należały do hrabiny Montereale; ze względów zdrowotnych spędzała tutaj letnie miesiące. Jej małżonkiem był hrabia Antonio, którego kochała gorąco, chociaż mieszkał w Mediolanie u swej metresy. Mieli córkę, Adrianę, ale i ją widywaliśmy raczej rzadko, ponieważ wraz ze swym francuskim guwernerem, monsieur De Pompignac, pozostawała w Wenecji.

W porównaniu z bogactwami innych arystokratycznych rodów ród Montereale był raczej skromnie sytuowany. Bez nieustających starań i precyzyjnych planów Adriana nie miałaby później na rynku małżeńskim najmniejszych szans. Konkurencja w wyższych sferach Wenecji jest zabójcza. Aby zdobyć tam jakąś pozycję, każda panna już od najmłodszych lat musi błyszczeć na wszystkich wielkich balach, nie tylko w sezonie, lecz także latem w posiadłościach wiejskich w okolicach Brenty i w najważniejszych letnich rezydencjach w regionie Veneto.

Bez córki hrabina czuła się samotnie w Pasiano i zostawało jej dużo miłości. Kierowała ją na mnie. Bardzo lubiła, kiedy bawiłam się u niej w salonie, i była ze mną zżyta. Nawet gdy miała gości i zobaczyła mnie przez otwarte na oścież tarasowe drzwi, jak biegałam po łące, wołała mnie do środka i sadzała sobie na kolanach. Mówiłam do niej „ciociu” i wydawało mi się, że stanowi część naszej rodziny.

Pewnego dnia na wiosnę u hrabiny zamieszkał kuzyn. Uciekł z Chioggii, gdzie wybuchła ospa, i przywiózł ze sobą małego chłopca, który miał sześć lat, dokładnie tyle co ja. Zostaliśmy przyjaciółmi. Oprowadziłam go po moim raj, ale zdawał się go w ogóle nie dostrzegać. W kurniku wybrałam

puchatego pisklaka i podarowałam mu w prezencie, ale chłopiec tylko wzruszył ramionami i wcale go nie chciał. Przy bystrzynie strumienia pokazałam mu, jak łapać ważki, tańczące wśród kropel wody, nie czyniąc im krzywdy. Z zaciekawieniem wziął owada z moich rąk i oświadczył, że zamierza zostać doktorem. Następnie oderwał ważce skrzydełka i chciał na powrót przymocować, wiążąc je do drewnianych drzazg. Kiedy zaraz potem usiadł okrakiem na jednym z psów i próbował na nim jechać, wbijając mu pięty w oba boki, zwierzę chwyciło go zębami. Moim zdaniem słusznie. Pies nie ugryzł go tak naprawdę, ale chłopiec zrobił z tego tragedię. Pobiegł do ojca i zażądał, żeby ekonom jeszcze tego samego dnia uśmiercił swoje psy. Jego ojciec osobiście dopilnował, żeby zawiązano je w jutowych workach. Byłam niepoczyszona. Hrabina wzięła mnie na bok, na ławkę, przytuliła mnie do siebie, jakby bała się, że i mnie straci, i ukołysała czule.

- Widzisz, moja malutka - szepnęła mi do ucha. - Patrz, co się dzieje, kiedy pozwolisz komuś zbliżyć się do tego, co ci drogie.

Wkrótce potem chłopiec wraz z ojcem wyjechali do Gemony, rzekomo dlatego, że ta straszna choroba, przed którą uciekali, nie występuje na wyżej położonych terenach. W rzeczywistości to hrabina poprosiła kuzyna, żeby wyjechał. Miał jej to oczywiście za złe i wsiadając do powozu, wykrzyknął ze złością, że to bardzo nieodpowiedzialne, pozwalać dobrze urodzonym dzieciom bawić się z córką kucharki.

Tego wieczoru matka objaśniła mi różnicę między służącymi a państwem. Opowiedziała, że hrabina nie jest moją prawdziwą ciotką, i że nie mamy nic do powiedzenia w sprawie tej ziemi, tylko żyjemy na niej jako poddani i jesteśmy całkowicie uzależnieni od dobroci właścicielki.

W moim życiu w Pasiano niczego to nie zmieniło. Równie swobodnie poruszałam się po całej posiadłości, jak dawniej, i dalej tak samo mogłam wchodzić do domu hrabiny i wychodzić stamtąd, kiedy chciałam. Nie był mi przez to mniej drogi. Hrabina też lubiła mnie tak samo jak przedtem. A jednak czułam jakiś smutek. Wcale sobie tego nie uroiłam. Przez całe następne lato przebłykiwał wśród łąnów zbóż, a zimą słyszałam go w gęganiu gęsi.

Niewielu ludzi umie pojąć potęgę słowa. Pierwsze lepsze potrafi zmienić cały świat. Prawda bowiem składa się nie tylko z tego, co się widzi. Dlatego

jej wartość jest jedynie względna. Ja w każdym razie podchodzę do niej z rezerwą.

*

Tak naprawdę zresztą moja matka wcale nie była kucharką. Wraz z ojcem zajmowała się prowadzeniem domu hrabiny i była ponadto odpowiedzialna za całą służbę oraz opiekę nad gośćmi.

Rodzina mojego ojca już od pięciu pokoleń służyła u państwa Montereale, kiedy w pierwszych miesiącach 1728 moja matka jako młoda dziewczyna przyjechała tutaj w odwiedziny. Nigdy nie było jej zamiarem tutaj pozostać. W tamtym czasie pobierała nauki u swego ojca i razem z nim przyjechała doglądać instalacji monumentalnych luster, które zaprojektował specjalnie do wielkiego salonu w Pasiano. Cięższe roboty wykonywało kilku miejscowych pracowników, między innymi mój ojciec, których na ten czas zwolniono z dotychczasowych zajęć. Mimo zimna na zewnątrz pracowali z odsłoniętymi torsami i tak się spocili przy mocowaniu tych gigantycznych dzieł sztuki, że aż okna w salonie zaparowały.

Sława mojego dziadka sięgała daleko poza region Venezia Giulia. Jego dzieła można napotkać od Wiednia do Mediolanu. Przy wykonywaniu lustra stosował technikę poznaną w czasie podróży do Tyflisu i Konstantynopola: swoje grawiury nanosił nie na przedniej stronie, tylko w różnych warstwach szkła z tyłu tafli, jeszcze przed nałożeniem warstwy rtęci. Projektowane przez niego przebogie kompozycje, które podziwiał nawet wielki Tiepolo, stwarzały złudzenie nadzwyczajnej głębi. Za szkłem zdawał się istnieć jakiś inny, niepojęty wymiar, rozedrgany i feeryczny, który więził i odbijał światło w sposób dotąd w naszych okolicach nieznan. Przez wiele sezonów modne było ozdabianie domów lustrami mojego dziadka. Obrazy, okna i drzwi otaczano jego lustrzanymi listwami, a dla większego zadziwienia gości kazano wydmuchiwać ze szkła także stoły i krzesła, aby dziadek mógł je przyozdabiać swoją sekretną metodą. Każdy buduar i każdy salon w tamtych latach pełen był bibelotów dekorowanych przez niego w ten sposób. Jego popularność osiągnęła szczyty, kiedy opracował metodę, polegającą na po-

krywaniu tylnej powierzchni lustra rozpylonymi drobinkami miedzi i złotą folią, co napępniało zwierciadło łagodnym blaskiem, wskutek czego każdy, kto w nie spojrzeł, widział jakby upiękuszony obraz samego siebie, bez powszednich skaz i niedoskonałości. Wielkie rody weneckie wybierały jego zwierciadła zamiast zwierciadeł z Murano, tak że po dziś dzień w pałacach rodu Mocenigo, Yenier czy Zorzi każdy, kto patrzy w lustro, widzi siebie subtelniejszym, niż jest w rzeczywistości, a jego wizerunek jest okolony niebywałymi ornamentami, które wyszły spod ręki mojego dziadka. W czasie, kiedy przyszłam na świat, arystokracja zwróciła się już ku innym nowinkom i sława mojego dziadka przeminęła. Nie przejął się tym wcale. Ten sukces wiele go kosztował. Po latach pracy na zamówienie z chęcią powrócił do źródeł swojej sztuki, gdzie nie musiał zadowolić nikogo, prócz siebie. Od tego momentu nie pracował już jako rzemieślnik, tylko jako artysta. To, co wytwarzał, prawie zupełnie nie znajdowało odbiorców poza garstką wiernych klientów, ludzi o wyrobionym smaku, dzielających jego fascynację i od czasu do czasu składających u niego zamówienia, jak właśnie hrabina Montereale, która z okazji urodzin córki kazała od nowa urządzić wielką salę balową w Pasiano.

Prace zajęły całe pięć tygodni.

W tym czasie się to stało.

- Śmiertelny strach mnie wtedy ogarniał! - wykrzykiwała potem często matka do mojego ojca. - Chłopskie łapy sięgające do bezcennego szkła! Aż cud, że nie mieszkamy w samych odłamkach. Żeby tobie powierzyć coś takiego, sama nie wiem, co mnie wtedy podkusiło! - Tymczasem jej spojrzenie zdradzało, że wie to doskonale i że w tym właśnie momencie niemal z ekstazą to wspomina. - Co taki kloc jak ty może wiedzieć o rzeczach kruchych i delikatnych? - Z wielką regularnością zarzucała go takimi tyradami, a wszystko po to, by sprowokować go do objęcia jej tymi wielkimi łapskami w pół, tak jak to uczynił wtedy. I udawało jej się bez trudu. On bez zwłoki chwycił ją w talii i unosił w górę, a ona zanosila się śmiechem.

- Puść mnie, ty niezgrabiaszu! - wołała w takich chwilach. - Chcesz mi pogruchotać kości? Ja mam się tobie oddać? Prędzej oddałabym kryształowy puchar z miodem w niedźwiedzie łapy! - A wszystko to mówiła, wiedząc, że mój ojciec w odpowiedzi kilka razy przesunie językiem po jej twarzy. Moi

rodzice w najmniejszym stopniu nie wstydzieli się robić tego w mojej obecności; wydawało się, że odgrywają całe przedstawienie tylko po to, by mi pokazać, jakim ogniem płonie w nich wciąż owa miłość, której byłam owocem.

- Oczywiście widziałam, że twój ojciec się na mnie gapi, już od pierwszych dni, kiedy dekorowaliśmy salon - powiedziała mi kiedyś matka, w czasie gdy sama byłam bardzo zakochana. Po raz pierwszy i ostatni rozmawialiśmy wtedy nie jak matka z córką, tylko raczej jak przyjaciółki. Miałam dopiero czternaście lat. Jej otwartość trochę mnie zmieszała, ale jednocześnie byłam jej wdzięczna, że traktuje mnie poważnie. Jak nikt inny rozumiała, co znaczy miłość, i dlatego pojęła, że ja, mimo tak młodego wieku, właśnie spotkałam swoją.

- Nigdy nie patrzył prosto na mnie, łobuz jeden - opowiadała - zawsze tylko łapałam jego spojrzenie w lustrach, które dźwigał. Najpierw czułam się mile połączona, ale kiedy po paru dniach wciąż nie mógł się zdecydować, miałam już tego dość. Jego uporczywe spojrzenia drażniły mnie do tego stopnia, że zaczęłam być zazdrosna o własne odbicie. Poczekałam raz, kiedy ojciec z pozostałymi rzemieślnikami wyszedł na posiłek, i spytałam tego gape, co ma znaczyć jego bezczelność. Musiał chyba zebrać całą odwagę, żeby mi odpowiedzieć. „Wcale na panią nie patrzę”, wymamrotał i nawet wtedy miał czelność zwrócić się nie wprost do mnie, tylko do lustra. Rozgniewało mnie to. „To przez sztukę pani ojca”, powiedział wtedy, „te zwierciadła są takie cudowne i niepojęte, że widzę w nich własną przyszłość”. Prychnęłam pogardliwie i chciałam odejść. Takie puste gadanie nigdy mnie nie rajcowało, ale wyglądało na to, że on mówi poważnie. Złapał mnie za rękę tak mocno, że aż zaboląło. „Bardzo przepraszam”, powiedział, „ale nie potrafię nawet na chwilę oderwać oczu od mojego szczęścia”. Za nic nie chciał mnie puścić, dopóki nie zobaczę, o czym mówi. Twardą ręką zmusił mnie, żebym na siebie spojrzała. Nie zadowolili się jednym spojrzeniem, o, nie, nakazał mi, abym przez dłuższy czas naprawdę popatrzyła sobie samej w oczy. Mówił to z naciskiem. Przeleżałam się. Obleciał mnie strach, że może pochodzi z jednej z tych chłopskich rodzin mieszkających w Alpach, wśród których skutek pobierania się bliskich krewnych występuje obłąd. Najlepiej więc było go posłuchać. Popatrzyłam na siebie. Patrzyłam tak i patrzyłam. Kosztowało mnie to mnóstwo wysiłku. No bo pamiętaj, że wy-

chowałam się w warsztacie pełnym luster. Gdziekolwiek spojrzełam, zawsze widziałam swoje odbicie. Dlatego wydawało mi się, że znam już dokładny obraz tego, jak wyglądam, ale teraz nagle dostrzegłam coś zupełnie innego. Nie było to lepsze ani gorsze, tylko jakby bardziej skończone. Nagle pojęłam, że dotąd nie dostrzegałam nic więcej poza konturami swojej postaci, bo widocznie zawsze unikałam własnego spojrzenia. Potrafię to wytłumaczyć tylko w taki sposób, że do tego momentu dostrzegałam tylko swoje podobieństwo, tak jak amator malujący obraz, który wychodzi mu bardzo dokładnie, ale jest pozbawiony życia. Tym razem ujrzałam raczej tylko swój portret, tak jak uchwyciłby go wielki artysta w robionym naprędcie szkicu, czyli bez nakreślania całości, ale za to w tym jednym fragmencie jest ów błysk, który zdradza walące serce i przyśpieszony, ciepły oddech. Po chwili ten szalenciec rozluźnił chwyt. Spojrzałam na niego. Oczy miał pełne łez. I to wszystko. „Już dobrze”, powiedziałam. „Zobaczyłam”.

Następnie matka przytuliła mnie i ukołysała przez chwilę, wiedząc, że to już ostatni raz. Na koniec pocałowała mnie na znak, że nasza intymna rozmowa dobiegła końca i odezwała się już sucho i rzeczowo, jakby stawiała kropkę nad „i” w moim wychowaniu:

- I to jest właśnie jedyne, skarbie, co się naprawdę liczy: żeby ktoś widział w tobie więcej, niż tobie się wydaje, że jest do zobaczenia.

*

Młodzi zakochani w salonie nie potrafili ukryć swego szczęścia. Gdy tylko dziadek powrócił z posiłku, od razu się zorientował, że będzie musiał pozwolić córce odejść. Rozpromieniona para tak się spodobała hrabinie Montereale, że za nic nie chciała się zgodzić, aby po zakończeniu prac przy sali lustrzanej narzeczeni wyjechali do Pordenone. Zaoferowała im służbę w Pasiano.

W taki właśnie sposób doszło do tego, że jeszcze w tym samym roku przyszedłam na świat w ogromnym łóżku z baldachimem w pokojach gościnnych na drugim piętrze. Dzień moich urodzin dziadek upamiętnił małym okrągłym lustrem. Wisiało jak sypiąca skrami zabawka nad moją kołyską. Jego krawędzie były tak oszlifowane, że światło odbijało się w nich we

wszystkich kolorach tęczy, tańcząc po mojej pościeli i zasłonach. Ten cenny drobiazg jest jedną z rzeczy, które zawsze mam przy sobie. Zdobienia na nim są proste: girlanda winorośli, podtrzymywana przez cztery małe amorki. W najniższej warstwie szkła, widoczna wyłącznie wówczas, gdy światło pada prosto na nią, wygrawerowana jest misa, a na niej atrybuty świętej, po której otrzymałam imię: oczy świętej Łucji.

TLR

3.

Tego roku jesienne sztormy nawiedziły Holandię wcześniej niż zazwyczaj. Od kiedy mieszkam w Amsterdamie, nigdy czegoś takiego nie widziałam. Na Zuiderzee zatonoło siedem statków. Dwa rozbiły się w Oosterdok. Pięć osób zostało zasypanych, kiedy zawalił się dom przy Keizersgracht, a Bóg wie ile jeszcze zginęło w De Tuinen. Tam, między Egelantiergracht i Bloemgracht, cały kwartał domów pochłonął ogień, długie trzy dni podsycany przez wiatr. Na domiar nieszczęścia przyryw wyrwał dziurę w tamie. Wprawdzie straż przybrzeżna załatała ją jeszcze tej samej nocy, lecz całe to pasmo nieszczęść mocno przytłoczyło miasto w owym tygodniu.

W piątek wiatr ucichł, jednak zagrożenie wcale jeszcze nie minęło. Około wpół do czwartej usłyszeliśmy miejskiego herolda. Stał na rogu Slijkstraat przy Domu Starców i ogłaszał, że każdy komin, który nie stoi pionowo, trzeba natychmiast zburzyć, ponieważ zbliżają się nowe wichury.

Giovanna i Danae patrzyły na mnie w lustrze. Stałam wraz z nimi, właśnie się szykowałyśmy. Przez cały tydzień pracowały bardzo ciężko i prawie w ogóle nie wychodziły. Pięterko, gdzie je ulokowałam, było bardzo małe i wszystkie miałyśmy ochotę się rozerwać. Dziewczęta, jedna i druga z Parmy, poza mną nie znały w Amsterdamie nikogo, toteż roztoczyłam nad nimi opiekę. Nastawiły się, że pójdą do jakiegoś lokalu z muzyką. Burza zatrzymała wszystkie statki w porcie, tak więc miasto pękało w szwach od szyprów i marynarzy, przyjaciółki zamierzały więc spróbować szczęścia. Ja sama dostałam zaproszenie na kolację od Jana Rijgerbosa. Jego prośba była niezwykle uprzejma i gładka. Nie chciałam go rozczarować. Zdecydowaliśmy, że nie pozwolimy, aby pogoda pokrzyżowała nam plany. Na dalszą zwłokę i tak już nie mogłyśmy sobie pozwolić. Czasy były ciężkie. Obu moim podopiecznym zrobiłam na pokrytych blanszem policzkach leciutki rumieniec hiszpańską bibułą, a potem wybrałam odpowiednią muszkę dla każdej z

nich. Zasznurowałam im potem gorsety, a one zasznurowały mój. Włożyłam suknię z ciemnogrnatowego chintzu. One wybrały nieco cieńszy materiał, który dobrze podkreślał ich młodość, i raz jeszcze przyjrzałyśmy się sobie z zadowoleniem. Czułam się silna i ładna, i chciałam, by tak pozostało. Na ten wieczór wybrałam purpurową woalkę, utkaną przez siostry z klasztoru świętej Anny w Brugge.

Jan przybył po mnie. Ku memu zdumieniu nie zabrał mnie do swego domu przy Herengracht ani do żadnego z przybytków, gdzie mógł się ze mną pokazać, tylko pojechaliśmy wzdłuż rzeki Amsteli do jego podmiejskiego domu w Ouderkerk. Tam zastaliśmy już niewielką grupkę jego przyjaciół, zebranych przy kominku. Poznałam wśród nich dwóch dżentelmenów, zakrystiana z kościoła Zuiderkerk, Rindert Bolhuysa, z którym zdarzyło mi się od czasu do czasu zatańczyć, oraz mego przyjaciela Jamiesona, handlarza z Massachusetts. Wszyscy oni słuchali jakiegoś nieznanego mi dżentelmena pośrodku, który właśnie coś opowiadał. Widziałam tylko plecy mówiącego, ale poznałam go po głosie. To ten Francuz z opery. Był właśnie w środku opowieści o gryzetskach z Paryża, młodych dziewczętach, które zapracowują się, by zarobić na życie.

Jan zauważył, że chcę się cofnąć, i przytrzymał mnie mocno za ramię.

- Na co się umówiłeś? - spytałam.

- Po co się drożyć? To tylko taka drobna rozrywka.

- Lubię jasne sytuacje. W twoim liściku nie było nic o osobach trzecich. Myślałam, że spędzimy wieczór we dwoje, jak zwykle.

- Trzeba za to winić monsieur de Seingalta. To on koniecznie chciał się z tobą zobaczyć.

W tym momencie Francuz zauważył moją obecność. Od razu zakończył opowieść zdaniem, iż takie dziewczęta z ludu o wiele lepiej sobie radzą od tych z dobrych domów, ponieważ samodzielnie kierują swoim życiem, bez jakiegokolwiek kontroli. Najwyraźniej zamiast napawać się sukcesem, wolał opuścić grono słuchaczy, by się ze mną przywitać.

- Nie rób sobie, proszę, żadnych złudzeń - powiedział szeptem Jan. - On już adoruje córkę jednego z ławników sądowych. Niemniej jednak od kilku

dni nic tylko pyta o ciebie.

- Co mu o mnie powiedziałaś?

- Wszystko - powiedział Jan uspokajającym tonem - wszystko oprócz prawdy.

*

Zjedliśmy razem kolację, po której zaczęło się muzykowanie w salonie. Zebrani rozmawiali o interesach i sprawach państwowych. Pytano pana Jamiesona o przebieg wojny Anglików z Francuzami i Indianami w Kanadzie. Nazwał ów konflikt błogosławieństwem dla Nowego Jorku, miasta, w którym od niedawna utrzymywał kilka składów i w którym wkrótce zamierzał osiąść na stałe.

- Ze wszystkich stron płyną do tego miasta pieniądze - powiedział. - Zarówno na żołd, jak i na utrzymanie wojska. Dla kupca, takiego jak ja, który zbija fortunę wszędzie, gdzie to możliwe, nastały złote czasy. Za kilka lat tamtejszy port będzie większy od tego w Bostonie, a ulice szersze od alei w Filadelfii. Jest tam już dwanaście kościołów i pewnie z kilkaset sklepów.

- Czy to prawda - spytał mało uprzejmie Bolhuys - że przybywają tam podejrzani osobnicy, których nikt nigdzie nie chce?

- Istotnie, z całego świata przybywają tam ludzie szukający szczęścia. Gorączkowa atmosfera panująca w Nowym Jorku jest idealna dla wszystkich, którzy pragną uciec od przeszłości...

- A któryż z żonatych panów by sobie tego nie życzył? - wykrzyknął z rozbawieniem Jan.

- ...i zacząć wszystko od nowa.

- Słyszałem - odezwał się Seingalt, który, jakby to było coś oczywistego, trzymał stronę Francuzów - że w pańskim wspaniałym mieście wykorzystuje się więcej niewolników niż gdzie indziej na Północy i że ich bunt zdławiono

jeszcze surowiej, niż to się dzieje na Południu. Jak pan myśli, co będzie, jeśli Fancuzi wkrótce wygrają i zwrócą wolność Murzynom?

TLR

- Będzie to miało wpływ równie katastrofalny, jak deszcz pada- iacy na rozżarzone węgle w kominku, monsieur - odrzekł Jamieson - ale jest równie mało prawdopodobne.

Potem panowie dyskutowali przez jakiś czas na temat niesnasek między tymi dwoma narodami. Staralam się nie mieszać do rozmowy i zabawiać z innymi gośćmi, wszyscy jednak widzieli, że tych dwóch z gruntu nie zgadza się ze sobą we wszystkim, czy chodziło o wiarę katolicką, spożywanie ryb na surowo czy też możliwości wykorzystania skórki owoców cytrusowych. Dyskusja niebezpiecznie się zaogniła, kiedy Seingalt oświadczył, iż uważa za niebezpieczny wpływ księcia Brunszwiku na naszego holenderskiego następcę tronu Willema, ponieważ zbyt jednostronnie opowiada się on za Anglią, a przeciw Francji. Mówił tak urażonym i nieuprzejmym tonem, że aż zaczęłam wierzyć, iż jest zazdrosny, że musi się dzielić z Jamiesonem moimi względami. Wówczas towarzystwo uznało, że lepiej jednak pozostać przy rozrywce i panowie zaczęli czynić aluzje do męskości i miłosnych podbojów Seingalta. Ten jednak zajął ich uwagę długą opowieścią na temat zamachu na życie Ludwika XV, który przyszło mu oglądać z bliska, podobno był bowiem tajnym agentem na dworze króla, a potem o loterii państwowej na rzecz Ecole Militaire, zorganizowanej przecież wspólnie z D'Alembertem i Diderotem. Krótko mówiąc, kawaler okazał się człowiekiem, którego całkowicie pochłaniały własne opowieści.

Kiedy już rozgrzał w ten sposób wszystkich, rozpoczął pokaz z użyciem magicznych kostek i piramid pokrytych cyframi. Zaprezentował je z pełnym przekonaniem, że stanowią klucz do interpretacji kabały. Jan powiedział mi w sekrecie, że Seingalt z wielkim sukcesem stosował już ten sam trik na dworach europejskich i że wiele osób bez zastrzeżeń uwierzyło we wszystko, co im przepowiedział. Należało zadać pytanie, a on przyporządkowywał literom poszczególne cyfry. Następnie tak długo nimi manipulował, aż pojawiły się odpowiedzi, również zapisane alfabetem cyfrowym jego własnego pomysłu, zapewniał jednak, że sam nie ma żadnego wpływu na ich treść. Muszę przyznać, iż po mistrzowsku odgrywał swoją rolę, tak że nietrudno było uwierzyć, jakoby naprawdę otrzymywał przesłania i odpowiedzi od jakiejś wyroczeni albo zewnętrznej mocy. Kilkoro gości wyraziło chęć, by usłyszeć od niego, jaka będzie ich przyszłość. Taki sam pokaz chciał przeprowadzić na mojej osobie. Podziękowałam, mówiąc, że wolę wyciągać

wnioski z przeszłości.

Okolo dziesiątej trzeba było zamknąć wszystkie okiennice. Wszystkie drzewa miały jeszcze liście, a poprzedni sztorm wyrwał z korzeniami wiele spośród tych, które rosły wzdłuż rzeki. Ponieważ wichura wzmagała się na nowo, obawiano się, że padną także te pozostałe. Dla naszego własnego bezpieczeństwa poproszono nas o opuszczenie salonu, który wychodził na tamę. Większość towarzystwa postanowiła w tej sytuacji powrócić do domów, między innymi także pan Jamieson, który zaoferował mi odwiezienie, ja jednak powiedziałam, iż chętnie zostanę, aby posłuchać jeszcze opowieści Francuza.

- Co kto lubi - burknął Jamieson - Nie rozumiem tylko, jak można wierzyć nacji, która dzień w dzień męczy się przy obieraniu cebuli. To zaburza sen. Nic dziwnego, że w całym Paryżu nie ma już ani jednego człowieka, który nie zamieniłby snów na przekonania.

Ci, którzy pozostali, rozproszyli się teraz po różnych pokojach. Chevalier de Seingalt i ja ulokowaliśmy się w jednym z antyszambrów. Nikt nam tam nie przeszkadzał i po dopełnieniu wstępnych uprzejmości kawaler zebrał się na odwagę.

Trzeba przyznać, że jego technika zdradzała imponującą znajomość kobiecej duszy. Kiedy już zostaliśmy sami, ani jednym słowem nie wspomniał więcej o swoich przygodach. Całkowicie usunął w cień swoją osobę i pytał wyłącznie o mnie, o moje zwyczaje i pragnienia, o moje poglądy, moją wiarę, moje przekonania, moją przeszłość. Niczego mu nie zdradziłam, ale się nie zrażał: gdzie się wychowałam? Skąd tak wyśmienicie znam francuski? Czy mam rodzinę w Holandii? Czy nie czuję się tutaj samotna? Czy wolę szukać pocieszenia w wierze czy w sobie samej? Nie ustawał w wysiłkach. Przede wszystkim sprawiał wrażenie, jakby interesował go każdy aspekt mego ducha. Jest to metoda charakterystyczna dla zaawansowanych praktyków, którą bez trudu przejrzałam. Ze wszystkich sposobów uwodzenia ten jest najsubtelniejszy i dlatego najczęściej skuteczny.

Ale nie dzisiaj.

O ile w przypadku każdego innego ten sposób wzbudziłby moją sympatię, o tyle w przypadku Seingalta mnie drażnił. Nie mogłam znieść myśli, że

jego zainteresowanie moją osobą jest tylko udawane. Uświadomiłam sobie, że bardzo bym chciała, aby było autentyczne, a to z kolei rozczarowało mnie co do mnie samej. Czy mnie to dziwi, że mężczyzna nigdy nie potrafi pojąć kobiety? Jednym słowem: nic z tego nie wychodziło. Nie miałam najmniejszego zamiaru zdradzać mu czegokolwiek na swój temat. Ponieważ on stał się natarczywy i był bardzo przekonujący, wybrałam przejście do ataku.

- Czy zawsze działa pan takimi sposobami, starając się obnażyć ducha kobiety, zanim przejdzie pan do jej ciała?

- Do jej ciała? - powtórzył, nie rozumiejąc, zupełnie jakbym mówiła po turecku. - Swoje ciało kobieta może podarować każdemu. To mnie nie interesuje.

- I pan utrzymuje, że jest pan mężczyzną?

- Moje wyzwanie polega na tym, by zdobyć serce kobiety.

- Godne pochwały - zadrwiłam. - No i? Czy kiedykolwiek się panu udało?

- Dotychczas? Zawsze bez wyjątku.

Moja bezczelność zdawała się go bawić.

- Wspaniale - ciągnęłam. - Zatem kobieta darowuje panu serce. Pan zaś je przyjmuje. Brawo, miłej zabawy. I co potem? Co pan robi z takim trofeum? Gdzie pan je trzyma, kiedy już je pan dostanie? Kocha pan przez czas jakiś, a co dalej? Gdzie ono się podziewa, gdy pan wyrusza na łowy za następnym? Czy przybija je pan na ścianie swojego salonu trofeów, pośród innych zastrzelonych dzikich zwierząt, czy może rzuca je pan przez ramię za siebie, żeby zobaczyć, gdzie upadnie?

- Żadnej z kobiet, które kiedykolwiek znałem, nie wyrządziłem krzywdy. Nie ma ani jednej, która byłaby nieszczęśliwa.

- Ani jednej?

- Ani jednej!

- Chciałabym być jeszcze tak młoda i naiwna, by w to uwierzyć!

- Czemu miałbym kłamać?

- Hmm, dlaczego mężczyzna miałby kłamać na temat miłości - powiedziałam, udając denerwującą naiwność. - Spróbujmy się poważnie nad tym zastanowić...

- Skąd u pani ten cynizm?

- Widziałam dostatecznie wielu mężczyzn w działaniu, aby wiedzieć, co robią z wykorzystanymi kobiecymi sercami.

- Ze wszystkimi moimi kochankami bez wyjątku rozstawałem się w przyjaźni.

- Oczywiście: wielce uprzejmie zgarniał pan okruchy na jedną kupkę i oddawał biedaczce jej serce w kawałkach.

- Z ani jedną tak nie było, powiadam pani przecież!

Wyciągnął w górę otwarte dłonie, zupełnie jak dziecko które

podjadało z garnka, ale spojrzenie ma tak niewinne, że nie można mu nie uwierzyć, nawet jeśli się widzi, jak zlizuje językiem resztki jedzenia z kącików ust.

- Kiedy każde idzie w swoją stronę - wyjaśnił - obydwoje muszą tego chcieć. Żadnego żalu. Żadnej zazdrości.

- A jeśli dziewczyna jest w tej kwestii odmiennego zdania? Jeśli kocha nadal, a pan chce się wycofać?

- Wtedy zadanie polega na znalezieniu jej lepszego. Kiedy mu ulegnie, sama podejmie taką decyzję.

- A więc żadnych złamanych serc?

- W tej kwestii jestem bardzo dokładny. To moje życiowe zadanie. Gdyby ktoś, kogo kochałem, miał po moim odejściu odczuwać smutek, cała rzecz byłaby nieudana. Nie traktowałbym tego jako zwycięstwa, tylko raczej jako klęskę.

- Dzięki Bogu w takim razie, że zostało to panu oszczędzone - powiedziałam - chyba że... - dla osiągnięcia efektu zawiesiłam głos na tak długo, jak to możliwe - ...czy nie jest aby do pomyślenia, że kobiety, które pan opuszcza, zwyczajnie nie mówią panu o swoim smutku?

- Czemu miałyby kłamać?

- Przecież pana kochały?

- No właśnie - stwierdził z ukontentowaniem, jakby właśnie coś udowodnił. - Osobie, którą się kocha, można spokojnie powiedzieć prawdę, czyż nie?

- Ta logika, drogi panie, stoi w sprzeczności z pańskim nadzwyczajnym doświadczeniem, na które się pan powołuje. Szczerłość nie jest najsilniejszą stroną miłości.

Przybrał groźny wyraz twarzy.

- Oj - rzekł, kręcąc głową - sama się pani odkrywa.

- Może kobieta woli milczeć, woli wyjść z tego z honorem i cierpieć jedynie w głębi duszy. Zostawiając mężczyznę w przeświadczeniu o jego zwycięstwie, kobieta ukrywa swoją własną klęskę.

Rozważył to, co powiedziałem, i ta myśl najwyraźniej go wzburzyła.

- Sporo pani wie o klęskach - zauważył, lekko urażony. - Czyżby była pani tak doświadczona w tej dziedzinie?

- Niestety.

- Bardzo mi przykro, ale też trudno się dziwić! Tak poważnie traktuje pani rzecz tak radosną. Cóż pani ma przeciwko niej? To odświeża wątrobę i oczyszcza krew. Jak może pani mieć nadzieję na szczęście, skoro czyni pani z miłości tak gardłową sprawę?

- Jaka sprytna wymówka! - rzekłam. - A dopiero przed chwilą zapewniał mnie pan, że miłość jest dlań życiowym zadaniem.

- Szczęśliwie dosyć jest kobiet, które czerpią z tego przyjemność w taki sam sposób, jak mężczyzna.

- A nie pomyślał pan czasem, że być może godzą się na to, żeby nie wydawać się dziecinne? Że kobieta przyznaje rację mężczyźnie, aby nie okazać się gorsza?

Zastygł, jakby go ktoś uderzył. Podczas kiedy oswajał się z sensem tej

myśli, widać było w jego oczach, jak niedowierzanie ustępuje miejsca niechęci, a protest złości. Z nich właśnie zaczerpnął w końcu nowych sił.

- Cóż z pani za kobieta? Czy wzięła sobie pani za cel pozbawienie mnie wszelkiej przyjemności raz na zawsze? Stawiam pani wyzwanie: jeśli kiedykolwiek wyrządziłem krzywdę jakiejś kobiecie, zobowiązuję się to naprawić. Rzucę wszystko i pojmę ją za żonę.

- A więc uważa pan, że dla małżeństwa trzeba aż wszystko rzucić. I to pan oskarża mnie o cynizm?

- Porzucę obecne życie i do końca mych dni będę tylko dla niej.

- Zapomina pan, że jest mężczyzną.

- Miłość to moja jedyna wiara. Myśl o tym, że mógłbym nią kogoś skrzywdzić, jest przerażająca.

- Tak właśnie zamierza pan postąpić? Skończyć ze swoim beztroskim życiem, jeśli dowiodę panu, że jakaś kobieta, nawet jeśli tylko ona jedna jedyna, stała się ofiarą pańskiej miłości do niej?

- Przyrzekam to pani.

- Proszę uważać, ponieważ mam ochotę trzymać pana za słowo.

- Jedna kobieta, jedna jedyna ze wszystkich, które kochałem i która ma do mnie żal. Proszę spróbować znaleźć choć jedną, ale powiadam pani: taka nie istnieje. Prędzej uda się pani zamienić siarkę w złoto.

- Alchemia miłości jest niebezpieczna. Widywałam już w niej dziwniejsze przemiany.

- Albo może jeszcze lepiej, madame, niech pani sama to sprawdzi. Proszę obdarować mnie przywilejem swej miłości. Proszę pozwolić mi się zdobyć i przekonać się, czy to się pani spodoba, pani, która podobno tak wiele wycierpiała od nas, mężczyzn.

Ostre słowa aż paliły mi wargi, ale się powstrzymałam.

- Możemy uczynić z tego zabawę - nalegał - i pójść o zakład, jeśli pani zwycięży. Być może na jeden czy dwa wieczory rozproszy to nieco pani nudę.

Udałam brak zainteresowania, otworzyłam książkę leżącą na stoliku i przerzuciłam kilka kartek.

- Mężczyzna, który nie skrzywdził żadnej kobiety - powiedziałam po chwili. - Cóż za osobliwość! Jak w ogóle dokonał pan tego cudu?

- Wszystko dlatego, że wolna wola jest dla mnie najważniejsza. Chcę serca kobiety tylko wówczas, gdy sama mi je ofiaruje. Nie jest to oczywiście pozbawione pewnego egoizmu. Z doświadczenia wiem, że rozkosz przeżywa się najgoręcej, gdy zostaje darowana z chęcią i radością. Kobieta, która kocha, nie waha się dawać. Otwiera się w każdym sensie tego słowa.

- A pan oddaje się jej równie beztrosko?

- Ach, gdybyż tak było - odparł i teraz on z kolei zamilkł. Poprawił ogień w kominku, chociaż ten płonął całkiem jak należy, a potem wyznał: - Moją beztroskę kobiety dawno mi już odebrały.

- Czyżby to pan został skrzywdzony? - drażniłam się z nim.

- Będąc samemu tak bezinteresownym?

- Zapłatą za bezinteresowność jest niewdzięczność.

- Chce pan powiedzieć, że jest pan tym niespotykanym wyjątkiem, czyli mężczyzną, który daje i daje, nic w zamian nie otrzymując?

- Daję bez żadnych oczekiwań.

- A czegoż pan może oczekiwać, odmawiając nam tego, co najważniejsze?

- Daję wystarczająco wiele. Jestem nader hojny w oznakach uwielbienia.

- Miło to słyszeć. Ale może my, kobiety, oczekujemy czasem, że podaruje pan po prostu siebie?

- Już ja wiem lepiej. Zdążyłem się tego nauczyć. Zawsze padałem ofiarą kobiecej przebiegłości.

- Zawsze?

- Zawsze.

- Każdej kobiety?

-Bez wyjątku.

- Ma pan dziwny sposób prawienia komplementów, monsieur. A więc mnie także pan podejrzewa? Zapraszając mnie, bym sprawdziła pańską miłość, prosi pan jednocześnie, bym pana podeszła.

- Każda gra staje się bardziej emocjonująca, jeśli obydwie strony dobrze znają reguły.

- Cynik! Czyż nikt nigdy nie kochał pana dla niego samego?

Był teraz tuż przy mnie i patrzył mi prosto w oczy, zupełnie jakby potrafił przeniknąć wzrokiem woalkę. Przeleżałam się.

- Tak mi się kiedyś wydawało - odrzekł wreszcie po chwili zastanowienia. Czułam jego oddech. - Dawno, dawno temu...

-No i?

- ...i zostałam oszukany.

Stał tak z wyrazem bolesnego rozczarowania na twarzy, ale ja go przejrzałam.

- Bardzo sprytnie, mój panie. Ale ja jestem sprytniejsza. Cała ta opowieść ma służyć tylko temu, by obudzić we mnie współczucie, prawda?

- Gdyby tak się stało, przynajmniej tamto nie byłoby daremne. - Opuścił głowę, patrząc na mnie spod rzęs jak pies myśliwski, który po udanym aporcie stoi nad zdobyczą, czekając na nagrodę.

- Jedna wielka szarada - powiedziałam karcąco - a wszystko po to, abym odczuła potrzebę pocieszenia pana. *Chapeau!* Omal się panu udało. Przez chwilę istotnie odczułam potrzebę udowodnienia panu, że jestem tą jedną jedyną, której można zaufać. Muszę powiedzieć, że o mały włos by mnie pan przekonał. U ilu kobiet odniósł pan tym sposobem zwycięstwo?

- Straciłem już rachubę.

- Jesteśmy sobie warci - zaśmiałam się.

- Mniemam zatem, że pani również doznała kiedyś takiego samego roz-

czarowania?

Milczałam.

- I swoją opowieścią zdobyła pani zapewne niejedno męskie serce.

- Pańskie życie jest komedią, monsieur. Drobne smutki to zaledwie antrakty. Mój dramat jest odrobinę poważniejszy. Mężczyzna może obrócić przeciwności na swoją korzyść. Życie za każdym razem daje mu jeszcze jedną szansę. Dla kobiety każdy cios jest absolutny.

- Dalejże, proszę opowiedzieć. Niech pani opowieść będzie dla mnie lekcją.

- Wykluczone. Żaden śmiertelnik nigdy nie usłyszał mojej opowieści.

- Proszę zatem opowiedzieć ją po raz pierwszy komuś, kto panią kocha.

- Z pewnością tak właśnie zrobię. W dniu, kiedy ktoś bezwarunkowo mnie pokocha, zdradzę mu swój sekret.

- Zrobię wszystko, by okazać się godnym zaufania.

- Wówczas znowu dozna pan rozczarowania.

- Pani obraz mężczyzn jest wprost bezlitosny.

- Zupełnie tak samo, jak pański obraz kobiet. Co wcale pana nie powstrzymuje od chęci ich zdobywania.

W tym momencie na zewnątrz rozległ się krzyk, dokładnie pod naszym oknem. Zaraz potem coś uderzyło o ziemię i dał się słyszeć trzask pękającego drzewa. Seingalt wybiegł, a ja za nim. Podmuch wichru uniósł jeden z powozów i roztrzaskał go o ścianę budyneczku z piecem chlebowym. Woźnica, który skrył się w powozie przed deszczem, leżał na ziemi pod dyszlem. Wołał pomocy. Dotarliśmy do niego pierwsi. Był poraniony w wielu miejscach drewnianymi drzazgami. Kilka odłupanych kawałków wbiło mu się w nogę, rozcinając ciało na znacznej długości. Krew tryskała z rozciętych tętnic. Uniosłam suknię i oderwałam trzy szerokie pasy materiału. Poleciałam kawalerowi, by z całej siły ścisnął rozcięcie. Zawahał się. Moje zachowanie najwyraźniej go zdumiało. Widocznie uważał mnie za jedną z tych kobiet, które są zbyt delikatne, by stanąć oko w oko z prawdziwym życiem. Kiedy

uczynił, co kazałam, zawiązałam nogę tak mocno, że krwawienie ustało, a następnie, na ile się dało, powyjmowałam drewniane drzazgi. Wreszcie podniesiono nieszczęśnika i posłano po lekarza.

Dopiero teraz - jak to zwykle bywa - kiedy już wyglądało na to, że woźnicy nic nie grozi, z całą mocą dotarł do mnie strach. Zaczęłam dygotać. Przez chwilę ja i Seingalt staliśmy sami w mroku nocy. Objął mnie. Pozwoliłam na to. Powiedział mi komplement. Wtedy nagle zarżały przywiązane konie, jakby czuły zbliżające się nieszczęście i za moment wiatr znowu runął na gałęzie drzew i dachy. Moja suknia wydeła się jak żagiel. Wicher oderwał mnie od ziemi i odrzucił o kilka metrów. Seingalt, który próbował mnie ratować, poleciał razem ze mną. Wylądowaliśmy w błocie, jak ostatni głupcy. Z tego wszystkiego wybuchnęliśmy śmiechem. Blond peruka Seingalta opadła mu prawie na oczy. Zdjął ją.

Pod spodem miał krótkie, czarne loki.

W jego oczach odbijało się światło latarni.

Czarno odcinał się cień jego nosa.

Podmuch wiatru pozbawił mnie tchu. Z trudem łapałam powietrze.

- Pani nie wierzy, że jakiś mężczyzna może o panią dbać - powiedział i przytulił się do mnie, gładząc przez chwilę policzkiem moje ramię. Szczwany lis wiedział dokładnie, kiedy zaatakować.

- Widocznie nigdy nie poznała pani mężczyzny, który byłby wart pani miłości.

-Widocznie.

- Czuję się powołany do bycia tym pierwszym.

- Proszę dokładać starań.

Podniosłam się i o własnych siłach weszłam do domu. Wymówiłam się tym, że muszę jako tako doprowadzić się do porządku. W rzeczywistości wzięłam płaszcz i wymknęłam się do kuchni, gdzie siedzieli woźnice. Żaden z nich nie miał odwagi odwieźć mnie teraz z powrotem do Amsterdamu. Za nic nie mogłam dłużej zwlekać z odejściem. Poszłam do stajni i wybrałam mocnego ogiera. Stajenny wzbraniał się przed osiodłaniem go dla mnie.

Powiedział, że nie może w taki wieczór ryzykować życia wierzchowca. Aleja wytrzymałam już nie takie sztormy. Wskoczyłam na konia i uderzyłam go piętami po bokach. Galopowałam na nim tak, jak się tego nauczyłam w Pasiano, trzymając się mocno rękami grzywy.

Było już bardzo późno, gdy gnałam wzdłuż rzeki Amsteli. Fale przelewały się na ścieżkę. Tej nocy zginęło siedem osób. Była pełnia, po niebie pędziły chmury. Wyszłam z tego bez szwanku. Po drodze wiatr zerwał mi woalkę. Deszcz siekł mnie po twarzy i spływał po ciele, lecz nie ustawałam. Nikt mnie nie widział. Moją maską było zimno. Delektowałam się nim.

TLR

4.

Był jeszcze jeden taki rok, w którym wszystko się zmieniło.

Wiosną 1742 hrabina Montereale zjechała do Pasiano wcześniej niż zazwyczaj. Już w pierwszym tygodniu kwietnia poproszono nas o przygotowanie domu, a kiedy przybyła, przywiozła z Wenecji cały zastęp artystów i rzemieślników. Zebrała stałą służbę pałacu i ogłosiła, że przez całe lato będziemy pracować pod kierunkiem weneccjan. A ci rzeczywiście zaczęli nami komenderować. Trzeba było zdjąć draperie i obrazy ze ścian, a także opuścić żyrandole. Zwinięto dywany. Odmalowano wszystkie drewniane elementy, a ściany obciągnięto wyszywanym jedwabiem. Spuszczono stawy. Baseny wyskrobano do czysta, pomalowano na kolor błękitny i nalano czystej wody. Zrobiono dwie nowe fontanny i na nową francuską modłę obsadzono gazony równymi rzędami małych krzewów. Po przesadzeniu drzew cytrusowych do nowych donic i umieszczeniu ich na stopniach schodów, zaczęto przerabiać oranżerię na wielką salę balową.

Hrabina była niezwykle zajęta. Cały czas spędzała w swoich pokojach i po raz pierwszy nie mogłam tak po prostu wejść do „cioci”, jak byłam do tego przyzwyczajona. Dwie służące, których nigdy przedtem nie widziałam, zwyczajnie mnie do niej nie wpuściły. Pewnego ranka miałam tego dosyć. Wzięłam tacę ze śniadaniem od pokojówki, weszłam bez pukania do sypialni hrabiny, wskoczyłam na łóżko i obudziłam ją serdecznymi całusami. Trwało chwilę, zanim doszła do siebie, ale wtedy bardzo się ucieszyła, że mnie znowu widzi i nareszcie wyjaśniła mi, skąd to całe zamieszanie.

Otóż Adriana de Montereale złowiła świetnego kandydata na męża. Wszystkie starania, czas i pieniądze zainwestowane przez hrabinę w pozycję córki na weneckim rynku małżeńskim miały się zwrócić tej jesieni. Ślub, dzięki któremu Adriana wejdzie do weneckiej arystokracji, szykowano na wrzesień, a zaraz po nim hrabina zaproponowała młodej parze uroczystości weselne w Pasiano, które wspaniałością nie mogą ustępować tym organi-

zowanym nad weneckim Canal Grandę.

Hrabina wcale nie wyglądała na radosną, kiedy o tym mówiła, tylko raczej na zdenerwowaną. Opisywała to bardziej jako pewną próbę niż święto. Na myśl o całej pracy, jaką trzeba wykonać przez najbliższe miesiące, by zachwycić weneckich gości, hrabina nie mogła powstrzymać łez. Popchnęłam ją delikatnie z powrotem na poduszki, wymasowałam jej skronie i powiedziałam, że zdumiewa mnie, iż ktoś tak mądry i spokojny jak ona daje się tak podbechtać, tylko po to, żeby sprostać fanaberiom wielkiego miasta.

- Ach, dziecko - westchnęła hrabina, poddając się mojemu masażowi. Czułam, jak jej skóra odpręża się pod moimi palcami. - Jesteś bardzo prostolinijna i naiwna. Dzięki Bogu, że mieszkasz tutaj, a nie w Wenecji. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile tam fałszu.

- Tam? - Nie wierzyłam własnym uszom. - Tam, gdzie wszyscy są tacy szczęśliwi?

- Ile tam zawiści, nie masz nawet pojęcia, i to pomiędzy ludźmi, którym niczego nie brakuje. Wszystko obraca się wokół prestiżu. Mężczyźni robią karierę i zdobywają pozycję na spotkaniach, ale to dopiero połowa sukcesu. Ich władza zależy od reputacji. Tym słowem określa się to, jak się o nich mówi w tak zwanych wyższych sferach. To dlatego kobiety stają w szranki.

Na balach w Wenecji jest jak na wojnie. Każdy salon to zatoka wroga, do której należy wpływać z największą ostrożnością, dostojnie, lecz zawsze czujnie. Można tańczyć, pić i doskonale się bawić, lecz jednocześnie ciągle toczy się walka. Zwycięzca przez cały sezon rządzi potem życiem towarzyskim miasta. W tym czasie można zapewnić sobie przyszłość, gromadząc wokół siebie właściwe osoby. Walczy się o nie bezlitośnie. Wszystkie chwytaki są wtedy dozwolone. Obowiązuje tylko jedna zasada: liczy się wygląd. Uroda jest bronią, którą walczą między sobą kobiety.

Tak mówiła hrabina, kiedy ją masowałam. Pomyślałam sobie, że przesadza, a poza tym w ogóle nie widziałam problemu. Byłam wolna. Nikt nigdy nie poddawał mnie ocenie. Nawet dobrze nie wiedziałam, co to oznacza. A poza tym miałam już czternaście lat, dokładnie ten wiek, kiedy już wolałam popatrzeć na przystojnego młodzieńca niż na byle chudzielca i takie różnicowanie wydawało mi się czymś zdrowym. Moja reakcja musiała

się wydać hrabinie zbyt lekkomyślna i frywolna, złapała mnie bowiem za nadgarstki, jakby się bała.

- Nawet nie masz pojęcia, jakie to może być okrutne - powiedziała i kazała mi się objąć. Przez chwilę wyglądało to tak, jakbym to ja była starsza, a ona jak mała dziewczynka szukała oparcia. - Tak, wszystko błyszczy na tych balach, iskrzy się i mieni niby skarby pod kopułami bazyliki Świętego Marka. Na złocie, glazurach i porfirach zdobiących mury nie widać, ile krwi trzeba było przelać, aby je zrabować w miastach Lewantu. Zbyt łatwo zapomina się, że każdy wybuch śmiechu niosący się po komnatach palazzi okupiony jest potem i łzami; że otrzymanie lub nieotrzymanie zaproszenia na właściwe soiree może podnieść lub zniszczyć reputację - cóż ja mówię? to może złamać życie! W minionym sezonie przyszło nam patrzeć, jak syn państwa... no cóż, przyrzekłam sobie, że nie wymówię tego nazwiska, ale niech ci wystarczy, że to jeden z największych rodów. W każdym razie młodzieniec ów znalazł kobietę swojego życia. Dziewczyna byłaby jak z obrazka, wszyscy się co do tego zgadzali, gdyby nie to, że miała znamię, to się nazywa „ogień”, brzydką purpurową plamę biegnącą wysoko aż do szyi, tak że nie mógł jej zasłonić żaden kołnierz. Natychmiast, gdy ogłoszono ich zaręczyny, poszły w ruch języki. Stanowisko ambasadora Cypru, które czekało już na tego młodego człowieka, przeszło mu koło nosa, ponieważ uznano, iż jego wybranka nie może godnie reprezentować Najjaśniejszej. Z powodu znamienia i tylko dlatego, ojciec młodzieńca bez pardonu odmówił młodemu prawa do szczęścia. Jeszcze tej samej nocy obydwójce wypłynęli na lagunę i utopili się w bagnach za Mazzorbo.

Umilkła. Z całej siły zacisnęłam powieki, zupełnie jakby ci nieszczęśnicy mieli zaraz wypłynąć na powierzchnię gdzieś w kącie pokoju.

- Nie wyobrażam sobie, żeby człowiek mógł oddać życie za zwykłą miłość - powiedziałam z przestrawieniem.

- A za cóżby innego, skarbie? - Hrabina spojrzała na mnie ze zdumieniem.
- Wielkie nieba, za cóżby innego? - W tym momencie uświadomiła sobie, ile mam lat, i złożyła na moim czole pocałunek, taki uspokajający, zupełnie jak uspokaja się pokojowego pieska.

- Modliłam się każdego dnia i nadal się modłę, żeby Adrianie do dnia ślubu nic się nie stało. Dawałam już na mszę w tej intencji. I wygląda na to,

och tak, teraz już rzeczywiście wygląda na to...

- Ale dlaczego pani jej to robi? - spytałam. Nigdy nie słyszałam

o tych wszystkich wymaganiach i nie pojmowałam, jak wiele od nich zależy w tamtych kręgach. - Przecież Adriana mogła żyć tutaj, w Pasiano, gdzie nie musimy się niczego obawiać. Nie pojmuję. Skoro Wenecja to takie zimowisko, to dlaczego każdej zimy pani tam się przenosi?

- No właśnie, dlaczego? - powtórzyła. - Dlaczego? Można wybrać wieś, ale do tego trzeba wielkiej odwagi.

Zaśmiałam się, ponieważ nie wyobrażałam sobie bezpieczniejszego miejsca niż Pasiano, ale hrabina pozostała przy swoim.

- Aby pójść drogą, którą nikt inny nie idzie, o, do tego potrzeba większej siły, niż zdołałam z siebie wykrzesać w tym życiu.

Pomogłam jej się ubrać. Potem poszłam, żeby pomagać w domu, ale przez długi czas nie umiałam znaleźć w tych przygotowaniach żadnej przyjemności.

*

Im bliżej było do dnia uroczystości, tym bardziej zmieniało się to na lepsze. Z początkiem lipca przybyli dostawcy, przywożąc wina z Szampanii oraz z wyspy Madery. Co wieczór zjawiali się inni muzycy, żeby zaprezentować swój repertuar, podczas gdy my leżeliśmy na łące, odpoczywając po ciężkiej pracy. W dwa tygodnie później przybył zastęp kucharzy, a z nimi skrzynie pełne sreber i chińskiej porcelany, której rodzina używała w Wenecji. Krawcy wzięli miarę służbie, dla której szyto nowe stroje.

Pod koniec miesiąca przybyła Adriana ze swym guwernerem, monsieur De Pompignac. Kiedy szła z powozu w stronę schodów, Francuz dreptał nerwowo naokoło niej, jakby w ostatniej chwili chciał jeszcze nadać swemu dziełu ostateczny szlif, przed dostarczeniem go do domu rodziców.

Niedługo potem przyjechał też z Mediolanu stary hrabia Antonio. Wi-

działam go wcześniej kilka razy, nigdy dotąd mnie jednak nie zauważał. Nie wprowadził się do hrabiny, tylko do przeciwległego skrzydła pałacu. Pewnego popołudnia zawołał mnie tam i posadził sobie na kolanach. Cały czas się do mnie uśmiechał, ale nie był to uśmiech przyjazny, i gdy tylko mogłam, uciekłam jak najszybciej. Tego samego dnia dostarczono pięć nowych powozów, każdy z zaprzęgiem koni pełnej krwi, do przewożenia gości. Posłaniec L'Aigle, przystojny młodzian, przywiózł od hrabiego Daniele z Parmy czternaście wielkich szynek. Przybył ktoś z L'Agui, przywożąc szafran, i jakiś Słoweniec z kredą do zakonserwowania rabarbaru. Każdego ranka słychać było przedśmiertne ryki zwierząt szlachtowanych w okolicznych gospodarstwach. Koło południa ich mięso zjawiało się w kuchni. Moja matka doglądała, aby najlepsze kawałki wkładano do soli albo marynowano, a obrzynki mielono i przerabiano na pasztety. Ojciec wyruszył na wyprawę na szczyt Zoldo, między Cadore a Ampezzo. W tym sezonie musiał ze swoimi ludźmi wspiąć się na dużą wysokość, w końcu jednak dostarczyli tyle lodu, że kiedy lodownie były już zapełnione, pod stajniami zostało jeszcze mnóstwo śniegu, który wcale nie chciał topnieć. W gorące dni stajenni szukali tam ochłody. Specjalnie dla mnie usypali z niego górkę. Wielką przyjemność sprawiało im przyglądanie się, jak wspinam się na nią w koszuli, żeby zjechać w dół na kawałku deski.

Jak dziecko cieszyłam się całym tym zamieszaniem. Nie bawiłam się tak dobrze chyba od czasu jarmarku w Conegliano. W ten sposób moje ukochane Pasiano sprawiło, że te miesiące pozostawiły na mnie niezatarte wrażenie, zupełnie jakby wiedziało, że to już ostatnie lato, które spędzę tu tak beztrasko.

*

Lecz moje największe szczęście miało dopiero nadejść. Pojawiło się w pierwszym tygodniu września, jadąc na chłopskim wozie i prawie nie było go widać wśród bogato zdobionych powozów, które przez cały dzień przyjeżdżały i odjeżdżały. Stałam ukryta między kuchnią a budynkami gospodarczymi i patrzyłam na te wszystkie wspaniałości, kiedy całkiem przypadkowo

moją uwagę przykuło dwóch młodzieńców, zeskakujących z furmanki przed bramą. Dali woźnicy parę soldów za podwiezienie, otrzepali słomę z ubrań i weszli na plac przed pałacem z taką pewnością siebie, jakby właśnie wysiedli ze złoconej karety. Widocznie musiałam się zaśmiać tak głośno, że aż mnie usłyszeli, ponieważ jeden trącił drugiego i wskazał ręką w moją stronę. Wtedy ten drugi zdjął kapelusz. Przede mną. Kapelusz! Zdjął kapelusz, chwilę trzymał go w powietrzu i skinął głową w ukłon. Cały czas przy tym na mnie patrzył. Ze wszystkich oznak szacunku, jakich zasmakowałam od tamtej pory, jeszcze na łożu śmierci będę miała przed oczami właśnie tę. Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie uhonorował. Ze swej strony nigdy za czymś takim nie tęskniłam, ale teraz, kiedy mnie to już spotkało, nie mogłam pojąć, jak to możliwe, że mogło mi tego nie brakować. Zaczęłam wątpić, czy w ogóle ktokolwiek tak naprawdę zwracał na mnie dotąd uwagę. W tym momencie z kolei ten chłopak wybuchnął śmiechem. Przyłożył palec do ust, prosząc mnie w ten sposób o dyskrecję w kwestii ich ubóstwa, i mrugnął do mnie na znak, że ten sekret czyni nas od tej chwili współnikami.

Zupełnie na bezczelnego tych dwóch podeszło następnie do mojego ojca i podało swoje nazwiska. Widocznie miał ich na liście, ponieważ coś tam zakreślił i powitał ich uprzejmie, dokładnie tak samo jak innych zaproszonych gości. Zostali odprowadzeni do salonu, gdzie mogli do woli korzystać ze świeżych napojów i przekąsek, zanim zostaną im wskazane pokoje. Gdy tylko moi nowi przyjaciele zniknęli w domu, pognałam do ojca i próbowałam podejrzeć na jego liście, kim są. Od razu odgadł moje myśli.

- To klerycy z seminarium - powiedział, drocząc się ze mną, ale wreszcie podał mi ich nazwiska: Francesco oraz Giacomo Casanova. Przy tym ostatnim ojciec z przesadą wykonał gest zdejmowania kapelusza, który widocznie nie uszedł jego uwagi. Urażona, że nie traktuje mnie poważnie, odwróciłam się na pięcie i poszłam szukać mamy. Znalazłam ją w suterenie, była bardzo zajęta przydzielaniem pokoi. Stała przy wielkiej tablicy w głównym korytarzu, gdzie wisiały klucze do wszystkich komnat. Także ona miała listę gości, na której wykreślała kolejne nazwisko, kiedy ją poinformowano, że dana osoba już przybyła. Następnie pisała nazwisko na karteczce i wieszła ją na haczyku z numerem pokoju, który wcześniej hrabina przydzieliła danej osobie. Widocznie hrabina zaklasyfikowała moich nowych przyjaciół nieco niżej niż sięgało ich mniemanie o sobie, ulokowała ich bowiem na końcu

pałacu, na trzecim piętrze, pod samym dachem. Odwaga całkiem mnie opuściła. Było to bowiem miejsce, do którego i wcześniej nigdy nie miałam wstępu, a teraz, kiedy jak wszystkie dzieci służby otrzymałam ścisły zakaz wchodzenia do środka na czas uroczystości, stało się ono całkowicie dla mnie niedostępne.

Właśnie w tym momencie matce doniesiono, że przybył kanonik z Treviso. Skreśliła nazwisko z listy i zapisała je na karteczce. Przydzielono mu apartament na pierwszym piętrze. Matka uważała, że to grzech, umieszczać tam tylko jednego człowieka. Zaczęła się zastanawiać, czy nie ma jakiegoś innego pokoju z jednym łóżkiem, który zarazem nie uwłaczałby jego stanowi. Podsunęłam jej pokój po wschodniej stronie od ogrodu. Było tam jedno łóżko, piękny widok z okna i otwierane drzwi na taras niecałe trzydzieści metrów od naszego mieszkania...

W tym momencie zgłoszono przybycie kolejnego gościa.

Mama nie wiedziała, w co ręce włożyć.

Zaproponowałam, że sama powieszę karteczkę z nazwiskiem kanonika przy właściwym kluczu.

*

Mój przyjaciel Giacomo z pewnością nie posiadał się z radości, kiedy pod wieczór wskazano mu jego pokój. Być może nawet wolałby nie być rozdzielony z bratem, który razem z kanonikiem otrzymał pokój na poddaszu, ale z pewnością szybko o nim zapomniał, kiedy zobaczył, że mieszka w jednym korytarzu z wenecką arystokracją. W każdym razie zamasyście otworzył drzwi na taras i z zadowoleniem rozejrzał się po okolicy. Myślałam, że może mnie szuka, żeby się ze mną pobawić albo porozmawiać, ale zanim wyszłam zza krzaka, za którym się schowałam, czekając na niego, już zdążył wrócić do pokoju. Wziął rozbieg, wykrzyknął „hollala” i wskoczył na łóżko. Przeleżał na nim do kolacji. Nie chciałam mu przeszkadzać i zadowoliliśmy się myślą, że znajdzie pod poduszką bukietek lawendy, który tam położyłam.

Następnego dnia wczesnym rankiem zobaczyłam, że drzwi wy-

chodzącego na taras pokoju są uchylone. Wśliznęłam się do środka między wydetymi podmuchem zasłonami. Giacomo obudził się, kiedy stawiałam tacę na stole. Nalałam mu czekoladę i wskazałam miseczkę z konfiturami. Porzeczkę, z których były zrobione, sama zrywałam u ciotki w Belluno, ale wydało mi się głupie mówić o tym. Podałam mu ciasteczko. Zanurzył je w czekoladzie i ugryzł.

Nie odezwał się ani słowem.

A ja po prostu stałam.

I czekałam.

Może oczy muszą mu najpierw przywyknąć do światła.

Spodziewałam się, że pozna mnie po wczorajszym dniu, ale on tylko jadł, pił i na mnie patrzył. Za każdym razem, kiedy prześcierało zsunęło mu się z torsu, podciągał je aż pod samą brodę, jakby się mnie wstydził.

- Jest pan zadowolony z łóżka? - spytałam w końcu.

- Jak najbardziej - powiedział. - To pani je posłała?

Skinęłam głową. Potem znowu zapadła cisza.

Nagle uświadomiłam sobie, jak muszę wyglądać w jego oczach. Byłam boso, miałam na sobie koszulę, jak zawsze, a na niej spódnice. Nie odrywając od niego oczu, sięgnęłam do pasa. Oczywiście krzywo ją zapięłam.

- Kim pani jest? - spytał.

- Lucia! - Nic nie poradzę, ale zabrzmiało to, jakbym była trochę urażona.

- Córka ochmistrzyni. - Żeby trochę zatrzeć to wrażenie, wyrecytowałam jednym tchem: - Nie mam brata ani siostry i mam czternaście lat.

- Czternaście - powtórzył. - Doskonale. - Zarumienił się. - No to teraz już wiem.

- Cieszę się, że nie zabrał pan służącego. Będę panu usługiwać. I jestem pewna, że będzie pan zadowolony.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Jego nieporadność mnie złościła. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe,

że ktoś, kto poprzedniego dnia potrafił być tak bezczelny, następnego jest taki zakłopotany. Nie chciało mi się dłużej tam stać. Ale jednocześnie nie chciałam się tak łatwo poddać. Zrobiłam więc to, co mi w tym momencie strzeliło do głowy, czyli usiadłam w nogach łóżka. Z przestrawu Giacomo tak raptownie podciągnął kolana, że aż zsunęło się z niego prześcieradło, niemal całkowicie go odkrywając. Przerazenie, z jakim je złapał, chowając się pod nim z podciągniętymi pod brodę kolanami było tak zabawne, że parsknęłam śmiechem.

Jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że oto stało się coś, co zaważy na całym moim życiu. Nie znałam słów, jakimi się to określa, a jednak miałam wrażenie, jakbym to sobie tylko przypominała. Tak to czułam. Było to coś zupełnie nowego, a przecież zarazem znajomego. Zupełnie jakby dopiero teraz przeniknęło do mojej świadomości coś, co właściwie wiedziałam od chwili narodzin. I nagle pojęłam, w czym rzecz: to ja odebrałam Giacomo jego odwagę. I nie możemy być po prostu przyjaciółmi, chociaż dotąd zawsze miałam tylko przyjaciół. Było między nami coś, co w równym stopniu nas przyciągało, jak i odpychało. Czułam coś takiego po raz pierwszy. Jednocześnie zrozumiałam, że to coś nieodwracalnego. Że już nigdy nie będę mogła tak po prostu bawić się z każdym. Ta świadomość napełniała mnie w równym stopniu smutkiem co radością.

W końcu on też wybuchnął śmiechem. Tym samym lody zostały przełamane. Podałam mu poranny strój i posiedziałam jeszcze przez chwilę na jego łóżku. W pewnym momencie weszli moi rodzice i zaczęli przeproszać za moje zachowanie. Ku memu przerażeniu powiedzieli młodzieńcowi, że jestem czysta i niewinna jak anioł. Ze swoboda i bezpretensjonalność mojego zachowania wynikają tylko i wyłącznie z naiwności; że jestem jeszcze dzieckiem, nieobznajomionym z pewnymi sprawami dorosłych. Mieli jak najlepsze intencje, ale nie mogłam tego słuchać. Wstydziałam się tak bardzo, jakby opowiadali, że codziennie rano taplam się w gnojówce. Rodzice łagodnie przywołali mnie do porządku, ale nie wyjaśnili, co było nie stosownego w moim zachowaniu. Wyszłam z pokoju, żeby się ubrać, bo zorientowałam się, że tego sobie życzyli, nie domyślałam się jednak, z jakiego powodu. Także Giacomo nie miał mi niczego za złe, jak zdołałam się zorientować po jego rozmowie z Franceskiem, którą usłyszałam potem przypadkiem w różanym ogrodzie.

- Jest piękna. Jest posłuszna. Jest wierząca. Zdrowa jak ryba. Ma białą skórę i czarne oczy.

TLR

- Jednym słowem Lucia jest ideałem!

- Można by tak pomyśleć. - W jego głosie pojawiła się nagle nuta przygnębienia. - Ma jednak pewną zasadniczą wadę.

- Jaką mianowicie?

- Jest za młoda.

Mówił poważnie, lecz jego brat wybuchnął w odpowiedzi śmiechem:

- Prawdziwie przepiękna ułomność!

TLR

5.

Mój szaleńczy galop wzdłuż Amsteli rozjaśnił mi w głowie. W deszczu powrócił stary ból. Od zimna nieprzyjemnie ściągały się zapomniane blizny. Niebezpieczeństwo zmuszało do czujności. Ostro widziałam przed sobą drogę, którą muszę podążać, wraz ze wszystkimi jej wybojami. W dali majaczyły mury Amsterdamu. Przez całe lata myślałam, że to miasto to ostateczny cel mojej wędrówki. Tej nocy pojęłam nagle, że muszę ruszyć dalej.

*

Każdy oddech, każdy sen, każde narodziny, każda śmierć przemijają, a my nie umiemy ich pojąć. Ze wszystkich naszych niedoskonałości ta przeszkadza nam najbardziej. Nasze życie określają jakieś kosmiczne procesy, których nie znamy. Aby przezwyciężyć strach, pragniemy zdobyć moc wpływania na nie.

To jest właśnie magia.

Tego szukają alchemicy.

Pragną moc nadawać kształt rzeczom. „Poznaj siebie!” - piszą na swoich zwierciadłach i biorą się do dzieła. Z palnikiem i kolbą próbują przekształcić jedną substancję za pomocą drugiej w jeszcze inną. Nie mam pojęcia o alchemii, ale wiem jedno: kroczą zupełnie nie tą drogą, co trzeba.

To, co dotykalne, przekształcić można tylko tym, co niedotykalne.

Rzeczywistości nie da się zmienić niczym innym, jak tylko umysłem. Do tego już doszłam. Aby zmienić pewne rzeczy, wcale nie trzeba ich dotykać, trzeba na nie tylko inaczej spojrzeć. To nic takiego. Wystarczy, by padło na nie światło, to wszystko; dokładnie tak samo, jak z grawiurą na tylnej stronie lustra. Nagle ją dostrzegamy i wprost nie możemy uwierzyć, że dotąd przez

cały czas uchodziła naszej uwadze.

To właśnie jest ów niepojęty kosmiczny proces.

Znam go.

Doświadczyłam go.

Nazwijmy go miłością, a ja niech będę magiem.

*

Gdy tylko wichura nieco się uspokoiła, wzięłam sprawy w swoje ręce. Była to kwestia: zmienić czy zostać zmienionym. Posłałam kawalerowi przeprosiny za pośpieszne opuszczenie towarzystwa i zaprosiłam go do kontynuowania znajomości. Nie od razu otrzymałam odpowiedź, ponieważ wyjechał w interesach do Hagi, lecz ostatniego dnia miesiąca doniesiono mi, że chevalier de Seingalt zajął pokoje całkiem niedaleko w budyńeczku Het Rondeel przy Doelenstraat. Posłałam mu wiadomość, że czekam u siebie w domu, dodając dla pewności, że w Holandii panuje większa swoboda niż w pozostałych częściach Europy. Kobiety wychowuje się tutaj w pełnej świadomości niebezpieczeństw, jakie na nie czyhają, wiedzą zatem, jak się w owych sytuacjach zachować, nikt więc nie widzi nic złego w takich odwiedzinach bez przyzwoitki.

*

Zgłosił się jeszcze tego samego wieczora. Widziałam po nim, że zdumiała go skromność mojego mieszkania, niemniej jednak okazał mi wszelkie należne honory. Ani słowem nie zdradził, że zauważył mój status życiowy. Mówił chyba jeszcze łagodniej niż poprzednim razem, ale przypisywałam to raczej pewnej zażyłości, jaka zdążyła wytworzyć się między nami. Mimo

wszystko i mnie było teraz o wiele przyjemniej. Poprosiłam kucharza z restauracji „Het Koehoofd” o przygotowanie skromnej kolacji. Kiedy ją przyniesiono, Seingalt koniecznie chciał sam rozliczyć się z posłańcem. Uczynił to tak szybko i naturalnie, że ani przez moment nie poczułam się zażenowana.

Jego postępowanie było teraz znacznie subtelniejsze. Mówił takim samym tonem żartobliwego flirtu, lecz tym razem nie napierał, bym się przed nim odsłaniała. Mój stan posiadania był tak ubogi w porównaniu do mojego wyglądu, że chyba wystrzegał się pytania o moje przygody. Wykorzystałam sposobność, by spytać o jego.

- Myśli pan, że te lata pana zmieniły? - spytałam w dogodnym momencie.
- Nie lata, tylko ludzie.
- A jak tego dokonali?
- Pokazując mi, jak bardzo są powierzchowni.
- Tak że mógł się pan uważać za sprytniejszego od nich?

Nalałam wina. Miało mocny zapach, ale to zdawało się wcale mu nie przeszkadzać.

- Niewiele trzeba rozumu, aby być sprytniejszym od innych - kontynuował. - Ludzie aż się proszą, by ich oszukiwać. Bezczelność tylko w tym pomaga. Nie, nie, zmieniłem się dlatego, że utraciłem szacunek.

- Dla kogo?

- Po części dla samego siebie. Nie wypieram się, czyniłem użytek z ich łatwowierności. Bez wyrzutów sumienia oszukiwałem durniów, łajdaków i wariatów, kiedy wydawało się to konieczne.

Widać było wyraźnie, że takie szelmostwa sprawiały mu przyjemność. Rozpromieniony wspomniął kilka z tych, które zdarzyło mu się popełnić we wszystkich zakątkach Europy.

To prawda, że ludzie ustawiają się w kolejce, żeby ich okpić. Ja również dostatecznie często robiłam użytek z tego powiedzenia. Szybki rozwój nauki w naszej epoce rozstraja ludzi wewnątrz. Prości duchem, tacy jak ja by-

łam kiedyś, nie wątpię w swoje odczucia. Mają do czynienia wyłącznie z różnymi wpływami i zagadkami, którymi zdominowane jest ich życie. Reagują na nie spontanicznie, tak jak reagowali od pokoleń, a to, czego nie uda im się w ten sposób rozwiązać, pozostawiają w rękach Opatrzności. Nowe odkrycia raczej zaprzeczają tym odczuciom i nawet istnienie Boga podawane jest dzisiaj w wątpliwość. Pośród ludzi zagłębiających się w owe sprawy, wielu zaczyna tracić grunt pod nogami. Nie mają jeszcze odwagi zaufać w pełni temu, co mówią, a zarazem nie potrafią odsunąć się od wiary. Przypominają mi myśliwego, którego widziałam kiedyś na rzece. Było już przedwiośnie, a on wszedł na łód i płynął w dół rzeki, stojąc każdą nogą na innej krze. Nie mógł się zdecydować, na którą przejść, i utonął. Wielu z naszych nowych myślicieli daje się unosić bezwolnie w taki sam sposób. Szukają oparcia na dwóch krawędziach jednocześnie, na krawędzi rozumu i krawędzi uczucia. Za pomocą nauki próbują znaleźć dowód na istnienie życia duchowego. W tym właśnie jest źródło powodzenia, jakim wśród wykształconych ludzi cieszą się magowie i czarownicy. Twierdzą, że są oświeceni przez rozum, ale tak naprawdę dają się zwodzić błędnym ognikom.

Tymczasem Seingalt tonem rutyniarza opowiadał o różnych prostakach, których głupotę wykorzystał i okpił ich na własne życzenie. Chyba przywykł do odnoszenia sukcesów towarzyskich dzięki opowiadaniu tych anegdotek, ale mnie te wyczyny obchodziły znacznie mniej niż mężczyzna, który o nich opowiadał, i przerwałam mu.

- Czy nie uważa pan - rzuciłam - że podróżując, niebezpiecznie łatwo jest zmienić tożsamość? - Spojrzał na mnie przez chwilę, lecz nie odważył się spytać, co mam na myśli, ani skąd to wiem. Przez moment przelekłam się nawet, że posunęłam się za daleko i obudziłam w nim jakieś podejrzenia. - Dla mnie przynajmniej zawsze stanowiło to ogromne pocieszenie - dorzuciłam pośpiesznie - taka świadomość, że pewnego dnia można zostawić wszystko za sobą i, jeśli to konieczne, zmienić swoje życie, dosłownie, tak jak wąż pozostawiający skórę między dwoma kamieniami.

- To prawda, w każdym z nowych miejsc można podać się za kogo innego. Nikt nas nie zna, a każdy stara się nas zawsze jak najszybciej jakoś umiejscowić. Ludzie mają ogromną tego potrzebę i z wdzięcznością przyjmą wszystko, co się im opowie. A jeśli żądają dowodów, to zwykły list poleca-

jący z jakimś znaczącym nazwiskiem w podpisie zrobi swoje. W ten właśnie sposób, teoretycznie, w jednym kraju można być medykiem, w innym śpiewakiem operowym a trzy dni jazdy dalej prawnikiem.

- A nam w Holandii każe pan wierzyć, że państwo francuskie przysłało pana jako bankiera na amsterdamską giełdę? - droczyłam się dalej. - Widać szczególnie nisko ocenia pan nasz rozum, skoro nie zadał pan sobie trudu wystąpienia z czymś bardziej wiarygodnym.

- Na szczęście mam na dowód weksle bankowe o wartości dwudziestu milionów franków...

- Proszę sobie oszczędzić trudu, monsieur, me mam do wydania ani sou, więc sprawy finansowe nie leżą w sferze moich zainteresowań. Ma pan moje błogosławieństwo. Ale jeśli zamierza mnie pan oszukiwać, to tego nie lubię. Mówię to bez ogródek. Pańskie nazwisko na przykład jest francuskie, akcent jednak zdradza, że nie urodził się pan we Francji.

Przyznał to i podał swoje prawdziwe nazwisko. Słuchałam go nieporuszona. Podobno dopiero niedawno zamienił swoją włoską tożsamość na francuską, ze względu na pracę dla państwa.

- To prawdziwe szczęście w nieszczęściu, że nie mam żadnego znaczenia ani wpływów - stwierdziłam - inaczej bowiem i wobec mnie podałby się pan za kogoś innego.

- Zupełnie jakbym nie robił wszystkiego, by panią pozyskać!

- Chciałabym zatem, aby pan wiedział, że pozyskać mnie można tylko prawdą. Wszystko inne zostaje pod murami.

Roześmiał się.

- Jest jeszcze inna prawda.

- Tak też myślałam - odrzekłam. - Zawsze jest jakaś inna.

- Być może ta będzie pani nawet miłsza...

Następnie uraczył mnie zwariowaną opowieścią na temat leciwej paryżanki, madame D'Urfe, która pasjonowała się okultyzmem i twierdziła, że posiadała kamień filozoficzny. Do tego stopnia dała się omamić sztuczkom

Seingalta, że żyje nadzieją, iż ten po śmierci ożywi jej duszę w ciele mężczyzny. Na pokrycie kosztów budowy niezbędnej aparatury poprosiła go o spieniężenie w Amsterdamie wszystkich jej akcji Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Spojrzał na mnie beczelnie.

- W tej ostatniej opowieści prawdziwe jest każde słowo - powiedział - ale czy brzmi ona dla pani bardziej wiarygodnie? Czy widzi pani teraz, dlaczego uważam za szaleństwo przywiązywanie wagi do prawdy, podczas gdy o ileż łatwiej uwierzyć w odrobinę zmyślenia?

- Touche - przyznałam szczerze. - Ma pan rację, rzeczywistość jest częstokroć bardziej osobliwa niż można by oczekiwać. - Tego właśnie nauczyło mnie życie i obecność Seingalta w moim domu stanowiła niejako kolejny żywy dowód prawdziwości tej tezy. - Tak czy inaczej - podjęłam - niniejszym mogę dopisać kolejne nazwisko do listy kobiet, które pan w swoim życiu oszukał. Biedna madame D'Urfe.

- Co do kobiet, oszustwo jest obustronne i się nie liczy, ponieważ jeśli w grę wchodzi miłość, obie strony są poszkodowane. Jeżeli chodzi o madame D'Urfe - to zupełnie co innego, kiedy ma się do czynienia z głupcami. Są bezwstydni, a ich zadufanie w sobie przekracza wszelkie wyobrażenie. Oszukując głupców, mścimy się za nasz rozum.

- Czy ona nie uważa, że się pan w niej kocha?

- Nie, ona uważa, że jestem czarownikiem.

-A jest pan?

- Oczywiście. Dla tych, którzy chcą mnie widzieć kimś takim.

Zaśmiałam się. Chyba go to ubodło.

- Ja nie igram sobie z pani zaufaniem, droga pani. Na pewno nie chciałbym, żeby pani tak myślała - powiedział bardzo poważnie. - To, że ludzie widzą we mnie osobę, która może im pomóc, wcale nie jest takie nieuzasadnione. W ciągu tych wszystkich lat zaznajomiłem się z wieloma pożytecznymi dziedzinami, takimi jak na przykład chemia, dzięki czemu potrafię przeprowadzić wiele efektownych doświadczeń, albo kryptografia, co po-

zwala mi odczytywać skomplikowane szyfry. Studiowałem też kabałę, ponieważ uznałem tę wiedzę za istotną z punktu widzenia mojego osobistego rozwoju, czytałem dzieła Ramona Lulla i Hermesa Trismegistosa.

- Jak widać, podchodzi pan do swoich oszustw z wielką rozwagą.

- Całą wiedzę zgromadziłem wyłącznie na własny użytek, może mi pani wierzyć. Wyłącznie ze szczerego zainteresowania. A jeśli inni uważają, że mogą na tym skorzystać, czemu nie?

- Co za szlachetność - zakpiłam.

- Zawsze uważałem, że szlachetność to nazbyt przeceniana cnota. Nigdy nie pretendowałem do tego, by przynależeć do uczciwej części ludzkości. Nikogo nie zachęcam, aby mi wierzył, ale w naszych czasach mnóstwo ludzi rozpaczliwie szuka jakiegoś punktu oparcia. Wcale nie traktuję tego lekceważąco. Własne życie także zawdzięczam temu, że pewnego dnia zawierzyłem komuś, kto mnie potem wykorzystał. Miałem wtedy osiem lat... - Jego głos brzmiał teraz bardziej miękko niż przy poprzednich opowieściach. Seingalt odnajdywał słowa, szukając wśród obrazów, które wywoływał w pamięci:

- ...osiem lat. Pewnego wieczoru stałem w swoim pokoju i patrzyłem w podłogę. Na posadzkę kapiała krew. Liczyłem krople. Próbowałem śledzić ich drogę. Nagle zdałem sobie sprawę, że to moja krew. Kapiała mi z nosa, pamiętam jakby to było dziś. Stałem w kącie pod oknem i wołałem babcię. Przemyśla mi twarz zimną wodą. Kiedy zobaczyła, że sprawa jest poważna, zabrała mnie do jakiejś chaty za miastem. Mieszkała w niej taka starucha. Siedziała na łóżku, trzymając w ramionach czarnego kota. Była czarownicą. Moja babcia dała jej pieniądze. Wtedy starucha wsadziła mnie do skrzyni. W tym czasie straciłem już tyle krwi, że kręciło mi się w głowie. Byłem za bardzo oszołomiony, żeby jeszcze odczuwać strach, więc tylko słuchałem z przyciśniętą do nosa chusteczką, co się dzieje. Czarownica na przemian śpiewała, wykrzykiwała coś, wybuchała śmiechem i płaczem i w regularnych odstępach uderzała w skrzynię. Na koniec wyjęła mnie z niej. Krwawienie ustało. Przytuliła mnie do siebie, rozebrała i położyła na łóżku. Spaliła jakieś zioła. Dym chwytiała w prześcieradło, którym mnie potem owinęła. Potem dała mi pięć pastylek, okazały się bardzo smaczne. Powiedziała, że krwawienia ustają, jeśli nikomu nie opowiem o tej nocy, ale jeśli zdradzę się

choćby jednym słowem, moje żyły opróżnią się całkiem i umrę. Potem mnie wypuściła; obiecując, że jeszcze tej samej nocy przyjdzie do mnie cudownie piękna kobieta i od niej będzie zależało moje szczęście. Tak też się stało. Pojawiła się nad ranem. Zobaczyłem albo tylko tak mi się wydawało, to nieistotne, jak z kominka wylania się oszałamiająca piękność. Dziewczę miało na sobie wspaniałą kryno- linową suknię i koronę wysadzaną błyszczącymi kamieniami. Postać wygłosiła długą przemowę, z której nie pojąłem ani słowa, ucałowała mnie i zniknęła tak samo, jak się pojawiła.

Spojrzał na mnie, jakby sam był zdumiony, że pozwoliłam mu to wszystko opowiedzieć, nie przerywając.

- Potem zapadłem w sen - podjął po chwili. Głos miał przytłumiony, mówił niemal szeptem. Ujął moją dłoń. Niemożliwe, aby dojrzał przez woalkę, jak bardzo byłam przejęta tą historią, ale domyślił się tego i chciał mnie uspokoić.

Nigdy wcześniej nie znałam mężczyzny, który lepiej potrafiłby wyczuć potrzeby kobiety.

- Lekarstwa na poważne choroby nie zawsze znajdują się w torbie medyka - powiedział. - Od tamtego dnia jestem o tym głęboko przekonany. Dlatego nigdy nie igram wiarą, jaką ktoś we mnie pokłada, jeśli bowiem ktoś zdecydował się obdarzyć mnie zaufaniem, wystarczy odrobina sugestii, by taką osobę pogrążyć lub uleczyć.

W tym momencie nie mogłam się już dłużej powstrzymać i wybuchnęłam gwałtownym szlochem. Przestraszył się, w żaden sposób bowiem nie mógł odgadnąć, dlaczego właśnie ta spośród wszystkich jego opowieści tak głęboko mnie poruszyła. Siedział więc skonsternowany jak mały chłopiec.

Z całej siły próbowałam złapać oddech, uspokoić się jakoś, aby móc zamknąć sobie usta i nie pozwolić sobie mówić dalej, lecz nie mogłam nic zrobić. Przez głowę przelatywały mi wizje różnych konsekwencji, jakie mogłyby mieć moje słowa. Nie miałam odwagi, nie potrafiłam ich przewidzieć. Nie wiedziałam, które byłyby właściwe i nie umiałam stwierdzić, które nie niosłoby ze sobą niebezpieczeństwa. Nie zdołałam wymyślić nic lepszego, jak tylko zacisnąć zęby i siedzieć możliwie bez ruchu, nie ocierając nawet policzków, żeby sobie pomyślał, że to jedynie nagły przyływ wzru-

szenia, który już minął.

- ...dowód tego otrzymałem jeszcze raz osiem lat później, kiedy rozpoznałem tę piękność, która odwiedziła mnie jako dziecko, w twarzy mojej pierwszej miłości.

- Jakie to urocze - rzekłam w końcu. Zdołałam jakoś dojść do siebie, ponieważ jego gadulstwo zaczęło mnie złościć. - Zakochać się w twarzy, którą człowiek zna ze snów, trudno o coś bardziej płytkiego.

Moje słowa zbiły go z pantafelów. Zaczął się bronić. Widać przywykł już, że ta łzawa historia oczarowuje kobiety do tego stopnia, iż poddają się bez reszty. Zaczęłam już podejrzewać, że w ogóle wszystko, co mówi, jest wybiegiem służącym jego podbojom.

- Nigdy tak nie twierdziłem, powiedziałem tylko...

- W takim razie dlaczego pan się w niej zakochał?

- Skąd mogę to pamiętać? Pyta mnie pani o pierwszą miłość, kiedy od tej pory było ich wiele.

- Nie wątpię - odparłam. - Może powinnam zapytać, co ona w panu widziała, bo taką rzecz mężczyźnie łatwiej chyba zapamiętać?

Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o innych sprawach, ale nastrój bezpowrotnie prysnął. W pewnym momencie dałam mu niedwuznacznie do zrozumienia, że czas wizyty minął, chociaż nie udało mu się osiągnąć tego, co zamierzał. Poza tym zrobiło się już tak późno, że w każdej chwili mogły się pojawić Giovanna i Danae, by oddać mi swój zarobek. O tej porze moje parmenki z pewnością będą zmęczone, nieświeże i wymizerowane. Nie chciałam, aby mój gość oglądał je w tym stanie, pożegnaliśmy się więc i odprowadziłam go do drzwi. Był już na ulicy, kiedy widocznie nagle sobie coś przypomniał i jeszcze raz odwrócił się w moją stronę.

- Zakochałem się w niej, w tej mojej pierwszej, ponieważ naląła mi wody.

- Woda jako podstawa miłości? - zadrwiłam. - I pan się dziwi, że uczucie nie przetrwało?

- Pewnego dnia naląła mi wody do szklanki. Była to zwykła szklanka, ale ona uniosła ją pod światło tak, jak unosi się kryształowy kielich. Przyglą-

dałem się temu, jednak przy najlepszej woli za nic w świecie nie potrafiłem odkryć, co ona tam widziała. „Woda przyjmuje kształt tego, w czym się znajduje”. Powiedziała to z wielkim podziwem. „Dopiero co miała kształt dzbana, a teraz ma kształt szklanki”. Mówiła to tak, jakby pokazywała mi coś nadzwyczajnego. Wyśmiałem ją. Spojrzała na mnie przestraszona. Z oczu trysnęły jej łzy. „Dla mnie to taki cud. Zawsze mnie to zdumiewało. Woda w strumieniu ma kształt jego brzegów. Kiedy jej nabiorę, przybiera kształt mojej dłoni”. Rzeczywiście wyglądała na bardzo przejętą. „Dla mnie zawsze było to coś nadzwyczajnego. Chciałam się tym z panem podzielić. A pan sobie teraz myśli, że jestem głupia”. Zaprzeczyłem ze wszystkich sił, ale nie udało mi się jej pocieszyć. „Nie w tym rzecz”, mówiła szlochając, „chodzi tylko o to, że... zawsze myślałam, że to takie cudowne, a teraz będzie zwyczajne”.

Monsieur le chevalier de Seingalt wciąż jeszcze stał na ulicy z kapeluszem w dłoni. Padał deszcz, ale kawaler wydawał się tego nie zauważać. Jego oczy wciąż szukały moich za woalką.

- Dlaczego cud nie może pozostać cudem tylko dlatego, że ktoś inny tego nie dostrzega?

6.

Moim rodzicom Giacomo się spodobał. Kiedy ponownie weszłam do jego pokoju, nadal byli pogrążeni w rozmowie. W tym czasie zdążyłam się umyć i upiąć włosy. Miałam na sobie piękną sukienkę i buty, do których nie byłam przyzwyczajona.

- Tak lepiej?

Okręciłam się wkoło, zbierając aplauz. Giacomo poklepał otwartą dłonią prześcieradło na znak, że teraz mogę spokojnie usiąść przy nim na łóżku.

- Taka ubrana i w ogóle? - rzuciłam z godnością. - O, nie, drogi panie, dopóki dzieje się to samo z siebie, wszystko jest w porządku, ale usiąść w najlepszym ubraniu na łóżku, nie, tego by było za wiele.

Moja odpowiedź spotkała się z aprobatą obecnych.

- Teraz wygląda już trochę ładniej niż w samej koszulinie, prawda? - spytała moja matka. Młody abbc przyjrzał mi się od stóp do głów i widziałam po nim, że niekoniecznie się z nią zgadza. Kiedy przybył lokaj, by go uczesać, zostawiłyśmy go samego. Później w ciągu dnia przyniosłam do jego pokoju wazon ze świeżymi kwiatami i mały dzwoneczek.

*

Następnego ranka Giacomo zadzwonił po śniadanie. Przyniosłam mu je ubrana tak, jak było mu najbardziej miłe. Czułam się o wiele pewniej niż dzień wcześniej. Wspięłam się na jego łóżko i znowu usiadłam w nogach. Rozmawialiśmy tak sobie przez jakiś czas. On także wydawał się nieco bardziej swobodny i kiedy przewróciłam się na brzuch i słuchałam go dalei z głowa, wspartą na rękach, położył się przy mnie. Opowiadał mi, że studiował prawo w Padwie i właśnie niedawno zakończył naukę, tuż przed swoimi

siedemnastymi urodzinami. Nie dość na tym: jako cudowne dziecko został tonsurowany przez patriarchę Wenecji oraz otrzymał niższe święcenia kapłańskie.

Kiedy go spytałam, czy to znaczy, że zamierza wstąpić do klasztoru, dmuchnął mi za koszulę, żeby się trochę wydeła i pozwoliła mu zajrzeć pod spód. Złapałam go i zaczęliśmy się mocować aż do utraty tchu. Nic więcej. Potem dochodziliśmy do siebie, leżąc przez jakiś czas jedno obok drugiego.

Opowiedziałam mu o moim dziadku i lustrach w wielkim salonie. Nagle poczułam jego dłoń na piersi. Przestraszyłam się i szarpnęłam w tył, ale dłoń pozostała na swoim miejscu, nie zapuszczając się dalej. Nie byłam jeszcze dojrzała. Już wcześniej zdawałam sobie z tego sprawę, lecz nigdy dotąd nie było to dla mnie do tego stopnia przykre, co teraz. Nie miałam wątpliwości, że go rozczarowałam. Oblałam się rumieńcem. Niemal już słyszałam, jakże inna będzie jego dzisiejsza rozmowa z bratem, w porównaniu z wczorajszą. W ciągu kilku sekund wyobraziłam sobie każde słowo obu młodzieńców wraz z ich szyderczym śmiechem pośród różanych krzewów. Mój radosny nastrój prysł. Byłam tak zmieszana, że Giacomo w końcu uwolnił mnie od dotyku swojej dłoni. Nagle zrobiło mi się przykro. Co on sobie pomyśli? Teraz już naprawdę zaczęłam się wstydić. Żeby to jakoś naprawić, przysunęłam się do niego. Ujęłam jego dłoń i powiedziałam, że nie chciałam być nieuprzejma. Uspokoił mnie.

- Jesteś niewinna - stwierdził, jakby to było coś zaskakującego. - Po prostu zachowujesz się swobodnie i nie ma w tobie pruderii. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak pewien rodzaj bez troski, który dla ciebie jest bez znaczenia, potrafi skonfundować młodzieńca.

Zaczął jeść bułeczki, które dla niego słodziłam, opowiadając mu o zwierzętach na łące, psach ekonoma i moich przygodach na łonie natury w Pasiano. W środku zdania przerwał mi nagle, zupełnie jakby nie słuchał i spytał, czy mi nie zimno, bo nie będę czuła chłodu, jeśli wejdem do niego pod prześcieradło.

- Czy to nie będzie panu przeszkadzało?

- Oczywiście, że nie. Obawiam się tylko, że może wejść twa matka.

- Na pewno nic złego sobie nie pomyśli.

- Ale zdajesz sobie sprawę, co ryzykujemy?

- Nie jestem głupia. A pan jest rozumny. W końcu jest pan kapłanem.

Położyłam się przy nim i opowiadałam dalej, ale czułam się tak, jakbym mówiła do głuchego. Zupełnie nie mógł się skupić na moich słowach. Znudziło mi się to. Była już dziesiąta i powiedziałam mu, że chcę wstać, ponieważ o tej godzinie po tarasie przechadza się czasem hrabia Antonio, a ja za wszelką cenę chciałabym uniknąć spotkania z nim.

- Naprawdę muszę już iść - powiedziałam, kiedy Giacomo nalegał, żebym jednak została i pomogła mu się ubrać. - Wcale nie mam ochoty oglądać pana całego.

Giacomo westchnął.

Później w ciągu dnia musiał mieć jakąś rozmowę z moimi rodzicami, o czym mi opowiedzieli dopiero znacznie później. Powiedział im, że jest przekonany, że jestem prawdziwym ucieleśnieniem anioła, który niewątpliwie padnie ofiarą pierwszego lepszego kobieciarza, spotkanego na drodze. Przysiągł, że on absolutnie nie zamierza nim być, i że na pewno się powściągnie. I mówił poważnie, jeszcze jak! Moi rodzice zaczęli bowiem odczuwać niepokój

i z największą ochotą powierzyli mnie jego opiece. Spytali, czy młody kapłan zgodzi się rozwijać mego ducha i wziąć mnie pod swoją ochronę przez najbliższy czas. I czy, zachowując moją niewinność, zechciałby może wprowadzić mnie w niebezpieczeństwa młodości.

*

Kiedy następnego ranka moja mama weszła do pokoju z tarasem i znowu zobaczyła mnie na jego łóżku, wcale nie upatrywała w tym nic złego. Z radości ucałowała mnie nawet, mówiąc, że jestem chlubą ich miłości i starości oraz podziękowała Giacomowi za lekcje moralności, których zobowiązał się mi udzielać. Młody kapłan odrzekł, że dopiero znacznie później zrozumie,

jak powinnam być wdzięczna Bogu za rodziców, tak wolnych od podejrzliwości i przesądów jak moi.

Miał zupełną rację.

Od chwili, kiedy zrozumiałam, że rodzice pochwalają moje postępowanie, nigdy już nie czułam się nieswojo, będąc blisko Giacomo. Przez cały tydzień trwania uroczystości każdego ranka można mnie było znaleźć w jego pokoju. Przez resztę dnia uczestniczył w zabawach i wycieczkach organizowanych przez hrabinę. Czasami widywałam go jeszcze krótko wieczorem na tarasie, najczęściej jednak musiałam czekać do następnego ranka, kiedy to rzucałam się na jego łóżko i obsypywałam twarz mego mentora pocałunkami.

Tygodniowe uroczystości zakończył wielki pokaz fajerwerków. Puszczano je z różnych miejsc na wzgórzach wokół Pasiano. Ojciec odpowiadał za wielkie gwiazdy i wodospady, które miały zostać odpalone w pobliżu żywopłotu po północnej stronie. Byłam przy tym i strasznie się przejmowałam pokazem, który miał zapoczątkować całe widowisko.

- No to zaczynamy! - wykrzyknął mój ojciec, trzymając hubę przy pierwszym lonicie. - Powiedz: Żegnajcie, kochani goście. Serdeczne nie ma za co i oby nigdy więcej!

I stało się tak, jakby pierwszy huk sprawił, że się ocknęłam. Nagle zdałam sobie jasno sprawę, że mój towarzysz zabaw już jutro wyjedzie stąd razem z innymi gośćmi. Z krzykiem zerwałam się na równe nogi. Ojciec przestraszył się mojej gwałtownej reakcji i ze wszystkich sił starał się mnie uspokoić, lecz jednocześnie musiał dbać o bezpieczeństwo, więc mu uciekłam. W panice gnałam przez pola, rozbłyskujące błękitem, żółcią i czerwienią. Na lewo i prawo ode mnie spadały na ziemię zwęglone resztki fajerwerków, ale nie zrobiły mi żadnej krzywdy. Pędziłam w stronę pałacu w oddali, rozświetlanego przez bengalskie ognie. Na schodach stali zebrani goście. Kiedy mnie ujrzeli, zaczęli krzyczeć do mnie, żeby mnie ostrzec, że muszę się gdzieś schronić, ale ja ich nie słuchałam i pędziłam pośród spadających gwiazd w stronę domu. Tam padłam na kolana przed hrabiną. Zanim zdołałam się odezwać, ona już odgadła moje myśli, ponieważ Giacomo przedostał się przez tłum i pochylił nade mną troskliwie.

- Czyżby naprawdę dane mi było raz jeszcze przeżyć tę samą historię, skarbie? - spytała ze śmiechem. Wymieniła spojrzenia z moją matką, która także do mnie podbiegła, i usłyszałem głos hrabiego Antonia, czyniącego jakąś uwagę na mój temat. Przez moment byłam zła, że wszyscy wcześniej ode mnie zrozumieli, co się ze mną dzieje. Wtedy hrabina spytała Giacoma, czy byłby tak uprzejmy i dotrzymał nam towarzystwa, pozostając przez wrzesień w Pasiano.

*

Mieliśmy teraz dla siebie mnóstwo czasu i pokazałam mu najdalsze zakątki mego świata. Wymykaliśmy się przed świtem, by przyglądać się jeleńnikom pod Cadope i wędrowaliśmy aż do Azanello. Tam rozpalaliśmy sobie ognisko w ruinach, żeby podpiec chleb, który moja matka dała nam na drogę. Przez resztę dnia włóczyliśmy się po polach albo łąkach. Pod Comizzai wabiliśmy konie, siadaliśmy na nich na oklep i jak długo się dało trzymaliśmy się z całej siły ich grzyw, zanim nas wreszcie zrzuciły, a my spadaliśmy na ziemię ze śmiechem.

*

Te dni były jak sen, w którym wszystko wydaje się nam całkiem znajome, chociaż zupełnie nie potrafimy tego usytuować. Zawsze mi się wydawało, że przez te czternaście lat mojego życia w Pasiano poznałam je już na wylot, ale teraz, kiedy oprowadzałam Giacoma, miałam wrażenie, jakbym po raz pierwszy świadomie oglądała te swojskie strony. Pewne miejsca, które zawsze były mi drogie, nagle zaczynały mnie rozczarowywać, kiedy patrzyłam na nie tak, jak on musiał je widzieć. Starłam się mu wytłumaczyć, co tak bardzo mi się w nich podobało, ale kiedy to mówiłam, sama czułam, jak z moich własnych słów ulatuje gdzieś przekonanie. Inne z kolei rzeczy, na które nigdy specjalnie nie zwracałam uwagi, nagle zaczynały błyszczeć, ponieważ dla niego okazywały się warte zachodu. W jednej chwili odczuwałam smutek, zupełnie jakbym zdradzała swoje dawne „ja”, a w następnej znów nie posiadałam się z radości, że tak wzbogaciło się moje spojrzenie. Mój świat się powiększył, ponieważ podwoiła się moja świadomość. Czułam

to całkiem wyraźnie. Nagle zaczęła się składać nie tylko z moich własnych myśli, ale też z tego, co myślał, co uważał, czego pragnął i jakie miał nadzieje mój ukochany.

Każdego dnia po południu, kiedy było nam za gorąco, pływaliśmy w jezioroku pod Rivarottą, a potem suszyliśmy się, leżąc na brzegu. W tym czasie zadawałam mu pytania. Chciałam wiedzieć wszystko. Czasami, zaraz po tym, kiedy opowiedział jakąś anegdotkę, prosiłam, żeby zrobił to raz jeszcze, dokładnie, od początku do końca, wszystko w obawie, że mogłam przeoczyć jakiś szczegół, albo że może on coś pominął. A następnego dnia chciałam usłyszeć jeszcze raz to samo.

Giacomo prowadził bardzo szczególne życie, pełne przygód, które mnie oszałamiały. W Pasiano ludzie dożywali późnej starości, nie przeżywając nawet ułamka tego, czego on doświadczył, mając lat siedemnaście. Czasem tylko na wiosennym jarmarku w Sadle mogli usłyszeć coś podobnego, słuchając ulicznego śpiewaka opiewającego przygody Idziego Blasa, które pomocnicy solisty ilustrowali, ustawiając się w żywe obrazy.

W swoim krótkim życiu Giacomo zdażył już być w Konstantynopolu i na Korfu, a wszędzie, gdzie się znalazł, przychodziło mu walczyć i dokonywać bohaterskich czynów. Nie myślałam, że ktoś może naprawdę tyle przeżyć. Kiedy usłyszałam, że jego rodzice są aktorami, zaczęłam się zastanawiać, czy sobie tego wszystkiego nie zmyślił, ale wyglądało na to, że mówi poważnie. Zwłaszcza kiedy opowiadał o swojej matce, Zanetcie.

Pewnego dnia opowiedział mi, jak zostawiła go, kiedy był jeszcze dzieckiem, wybierając karierę w pewnej sztuce w Londynie, gdzie zaszła w ciążę z księciem Walii. Tak czy inaczej, budziła w nim wielkie emocje. Kochał ją, a jednocześnie jej nienawidził, co do tego nie było wątpliwości. Wydawał się zdeterminowany, by oczyścić nazwisko rodziny, zbrukane przez matkę aktorkę, i przywrócić mu dawną chwałę. Giacomo zamierzał zrobić karierę dyplomatyczną, jak wielu jego przodków, którzy przez ubiegłe trzy stulecia służyli całej plejadzie znakomitych panów, takich jak król Hiszpanii Alfons II, kardynał Pompeo Colonna i Krzysztof Kolumb. Jego zamiarem było zapisać się w dziejach tak jak oni. Dla syna komediantów osiągnięcie tak wysokiej pozycji było niemalże nie do pomyślenia, ale on się zawnął. Pierwsze kroki w tym kierunku już podjął w domu słynnego sena-

tora Malpiero przy Canale Grande, gdzie dorastał, spotykając moźnych tego świata. O swoich ambicjach opowiadał z pasją, która w jednym momencie przejmowała mnie łękiem, albowiem widać było, że gotów jest w tym celu iść po trupach, w następnym zaś budziła poczucie zazdrości, ponieważ ja sama nie miałam nic, czego pragnęłabym tak gorąco jak on, i zapewne nie osiągnę więcej niż zatrudnienie w jakimś warsztacie w Pordenone. W pewnych momentach czułam nawet, że to jego marzenie zagraża także mnie samej, chociaż nie pojmowałam dlaczego.

Giacomo mówił o czekającej go karierze jak o bitwie morskiej, której za nic nie wolno mu przegrać. Przygotował się do niej starannie i dokładnie wiedział, jakie musi zająć pozycje. Tej zimy miał zawrzeć w Wenecji kilka bardzo ważnych znajomości i spróbować uzyskać posłuchanie u Veniera, weneckiego ambasadora w Turcji, znanego mu z Konstantynopola. Opowiadając to wszystko, widział malujące się na mojej twarzy rozczarowanie. Przeprosił mnie mówiąc, że nawet sobie nie wyobrażam, jacy potrafią być weneccy- nie. Zaprzeczyłam gorąco.

- Hrabina opowiedziała mi wszystko o swojej córce. Przypadkowo wiem całkiem dokładnie, ile wyrzeczeń musi wziąć na siebie kobieta w tym mieście. Zmuszona jest bezustannie walczyć o swoje. A w dodatku wszystko tylko po to, żeby znaleźć małżonka, co w pierwszej lepszej wiosce dzieje się samo z siebie. Doskonale potrafię więc wyobrazić sobie trudności czekające mężczyznę, który musi sobie wywalczyć należną pozycję.

Kiedy to powiedziałam, mój ukochany spojrzał na mnie uważnie. Po raz pierwszy, od kiedy zaczął mówić o swojej przyszłości, tak naprawdę dotarła do niego moja obecność. Sprawilo mi to wielką przyjemność. Poczulałam dziecinna ulgę, zupełnie tak samo, jak wówczas, kiedy po tygodniu szukania zaginionego psa naszego ekonoma, nagle zobaczyłam zwierzaka. Jednocześnie owładnęło mną całkowicie dorosłe pragnienie, w którym utonęły wszystkie inne, jakie miałam. Po raz pierwszy pomyślałam sobie wtedy, że chcę, aby mu się to udało. Giacomo ma w sobie to coś, co pozwoli mu przeskoczyć samego siebie. Tak zostało postanowione przez siłę wyższą. Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna. W tym momencie poświęciłabym wszystko, żeby tylko mu się udało i żeby był szczęśliwy.

Potem opowiedział mi o wizycie, jaką jeszcze jako dziecko złożył ze

swoją babką na wyspie Murano u pewnej czarownicy, która wyleczyła go z krwotoków. W noc po owej wizycie odwiedziła go wróżka, a ja - jak powiedział - bardzo mu ją przypominam.

*

Jak to możliwe, przebiegało mi co jakiś czas przez głowę w czasie tych tygodni, że młodzieniec taki jak on traci czas na kogoś takiego jak ja? Chciałabym być dobrze zrozumiana: w jego obecności czułam się ładniejsza niż kiedykolwiek przedtem czy potem. Miałam się za mądrzejszą niż kiedykolwiek, a kiedy udało mi się sprowokować go do śmiechu, czułam się błyskotliwa i rezolutna. A jednak dziewczyna taka jak ja... po prostu wydawało mi się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nocą, kiedy leżałam w łóżku, lękałam się, że właśnie teraz w swoim pokoju odzyska rozum i ochłonie, a następnego ranka nie zada sobie nawet trudu, żeby mnie wezwać. Kiedy w końcu jednak zasypiałam zatrwożona, zanurzałam się ponownie w szczęściu, że już tak wiele mi podarował.

*

Pewnego ranka zadzwonił na mnie wcześniej niż zwykle. Ledwie świtało. Szybko narzuciłam coś na siebie. Włosy miałam jeszcze rozpuszczone, ale podbiegłam ku niemu z otwartymi ramionami, w takim samym uniesieniu jak zwykle. Stałam jak wryta w pół drogi. Przeraziłam się. Giacomo był blady, nieobecny, zasmucony.

-Co ci jest?

- Nie mogłem zasnąć.

-Dlaczego?

- Muszę pani coś powiedzieć - zaczął. - To dla mnie straszne, ale kiedy to powiem, nabierze pani dla mnie szacunku.

- Jeśli to główna nagroda tak cię gnębi, to możesz zagrać niżej. - Byłam zaniepokojona, ale udawałam bez troskę. - I powiedz mi, dlaczego nagle zwracasz się do mnie jak do damy, skoro jeszcze wczoraj zwracaliśmy się do siebie na „ty”? Co ja takiego zrobiłam, monsieur abbé. Pójdę teraz przynieść panu śniadanie, a kiedy już pan skończy, koniecznie będzie mi pan musiał wszystko opowiedzieć.

Sama nie wiem, jak trafiłam do kuchni i znalazłam stamtąd drogę z powrotem, z pełną tacą oraz dzbankiem wrzątku. Kolana mi dygotały. Nalałam mu kawy i wypił bez słowa. W tym czasie ogarnęłam jego pokój i zamknęłam drzwi, żeby nie było przeciągu. Potem wspierałam się do niego na łóżko, żeby nie uронić ani słowa. Wygłosił całą długą opowieść. Była najeżona argumentami, które wcześniej sobie wymyślił, i trwała co najmniej kwadrans. Nie należałam do tych, co myślą głową. Nie wierzyłam w coś takiego. Wiedziałam tylko, co czuję. Tak więc nie śledziłam jego myśli. To, co on nazywał logiką, dla mnie było głupotą.

- Jestem w tobie zakochany. - Do tego mniej więcej sprowadzał się w skrócie cały jego wywód. - Tak bardzo cię kocham, że nie potrafię tego dłużej w sobie tłumić. Dlatego nie powinniśmy się już więcej widywać.

Co można odpowiedzieć na coś takiego? Patrzyłam na Giacomę, jakby mówił do mnie po arabsku.

Chce mi się pić, więc się nie napiję.

Chce mi się jeść, więc będę pościć.

W Udine jest instytut, gdzie ludzi, którzy tak mówią, przywiązuje się do drewnianych ław, żeby przyszli do siebie.

Giacomo jednak wydawał się dobrze wiedzieć, co robi. Wzruszony do łez, odmalował przede mną straszliwości, jakie nas czekają, jeśli nadal będziemy się widywać. Do tego momentu udawało mu się pohamować, dzięki specjalnemu specyfikowi dla kleryków, po który sięgał kilka razy dziennie, ale, jak powiedział, przestał mu już on wystarczać. Nie odpowiada za siebie, a nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby mnie zhańbił.

To, że z góry wyraziłam gotowość wybaczenia mu tego, zdawało się nie mieć dla niego znaczenia. Rozplakał się. Ocierałam jego łzy rąbkiem koszuli,

lecz widok, jaki mu dzięki temu zapewniłam, tylko potęgował jego dylemat.

- Kocha mnie pan - powiedziałam - i dlatego mnie pan odpędza. Zastanawiam się zatem, co by pan zrobił, gdyby mnie pan nienawidził? - Teraz mnie też zachciało się płakać, ale się opanowałam. - Pan był na studiach. Ja zaś jestem tylko prostą dziewczyną. A jednak jestem trochę mądrzejsza, ponieważ wiem, że miłość to nie choroba. Mnie przynajmniej było dzięki niej lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Aż do dzisiaj. Zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz, ale nie potrafię przestać cię kochać. Jeśli dla twego wyzdrowienia konieczne jest, abyśmy się już więcej nie zobaczyli, to niech się tak stanie. Wolę, żebyś był zdrowy i żył beze mnie, niż przyglądać się, jak gaśniesz przy mnie. Tylko że za nic nie potrafię tego pojąć. Czy jesteś pewien, że nie ma żadnego innego rozwiązania, bo to, które proponujesz, sprawi, że umrę ze smutku.

To go poruszyło.

-Natura zna tyle argumentów silniejszych niż moralność oświadczył i wziął mnie w ramiona.

- Wymyśl coś, proszę - szepnęłam. - Wymyśl coś innego. Zaufaj Lucii.

I on natychmiast wymyślił inne lekarstwo.

Po godzinie przerwała nam moja matka, która przyszła powiedzieć, że bym się ubrała na mszę. Opuściłam mego pacjenta ze spokojnym sercem, na jego policzki powrócił bowiem zdrowy rumieniec.

*

Od tego momentu całowaliśmy się codziennie godzinami i wypróbowaliśmy wszystkie igraszki, jakie natura przewidziała dla ust. Zawsze kochałam życie, ale teraz doszedł jeszcze do tego głęboki i bogobojny szacunek za to, że daje nam coś tak boskiego. Byliśmy nienasyceń, Giacomo bowiem powstrzymywał się od tego jednego, co byłoby naruszeniem naszej czci. Jest to całkowicie jego zasługa. Bóg mi świadkiem, że próbowałam wszystkiego, aby odwieść go od tak dobrych chęci. Posunęłam się nawet do tego, że powiedziałam mu, iż owoc został już zerwany, na co Giacomo po-

łożył mnie i zbadał, godzinami badał mnie taką rozłożoną, doprowadzając do szaleństwa. Okazał się na tyle obznajomiony z kobiecością, że nie dał się zwieść.

Tak więc czułam się w jego rękach całkowicie bezpieczna. Zarazem jednak padałam ofiarą palącej rozkoszy. Właśnie któregoś z tych dni musiało się zdarzyć, że owe dwa uczucia zespoliły się ze sobą. Im bardziej otwierałam się przed moim ukochanym, im bardziej obnażałam przed nim zarówno duszę, jak i ciało, tym bardziej czułam się bezpiecznie. Zapominałam się tak całkowicie, ponieważ mogłam mu bezgranicznie zaufać. Także później rozkosz i poczucie bezpieczeństwa zawsze były dla mnie ze sobą połączone, co wywarło wpływ na taki a nie inny bieg mojego życia. W bezwstydyzie bowiem czułam się zawsze najbardziej bezpieczna.

*

W tym niebiańskim stanie trwaliśmy zatem aż do nadejścia października. Hrabina wracała do Wenecji i spodziewano się, że ostatni goście wyjadą wraz z nią.

Byliśmy niepokieszeni.

Giacomo wyraził gotowość rezygnacji ze wszystkich swoich planów na przyszłość. Napisał już nawet list z przeprosinami do senatora Malpiero. Podarłam go. Zaproponował, że zostanie w Pasiono, żeby zarabiać na życie pracą na roli. Zabroniłam mu tego. Nie było to z mojej strony poświęcenie. Wprost przeciwnie. Nigdy nie potrafiłam wzbudzić w sobie podziwu dla ludzi, którzy o sprawach serca decydowali rozumem. Nie, ja pozwoliłam mu wyjechać z egoizmu. Jego szczęście zawsze miało być zarazem moim szczęściem, czułam to bardzo wyraźnie. A żeby być szczęśliwym, on musiał podążać za swoim marzeniem. Nie byłam nieszczęśliwa. Ja też miałam już teraz swoje.

*

Umówiliśmy się, że następnej wiosny powróci, gdy tylko dobiegnie

końca sezon zimowy w Wenecji, tak abyśmy mogli się zaręczyć po okresie postu. Hrabina zamierzała nam dopomóc. Poprosiła męża, który czuł się niezbyt dobrze i na razie nie zamierzał wyjeżdżać do Mediolanu, aby przedłużyć okres zatrudnienia pana De Pompignac. Guwerner Adriany, którego rola zakończyła się z chwilą jej zamążpójścia i który już spakował walizki, był zachwycony, słysząc, że nadal będzie miał zajęcie. Z wielką wiarą w swoje możliwości wysłuchał kolejnego zadania, jakie nałożyła na niego hrabina, i przyrzekł jej wtłoczyć mi w głowę niezbędną wiedzę w czasie nadchodzącej jesieni i zimy oraz w pośpiesznym tempie przyswoić mi formy towarzyskie obowiązujące w *beau monde*, tak abym jako żona dyplomaty nie wypadła z roli. Co do tej jednej sprawy bowiem byliśmy wszyscy zgodni: następnego lata Pasiano znowu będzie sceną uroczystości weselnych, a mianowicie Giacoma i moich!

Nawet w noc przed rozstaniem mężczyzna, któremu zawierzyłam duszę i serce, nie dał się sprowokować do tego, czego tak pragnęłam. Zamiast tego płakaliśmy w swoich ramionach do samego rana, zapewniając się nawzajem o wierności tu, w życiu ziemskim, jak i po nim.

Machając za odjeżdżającymi powozami, usłyszałam nagle, jak stojący obok stary hrabia pociąga nosem. Po chwili zrobił to ponownie, zupełnie jakby czuł, że gdzieś się pali.

- Ty jesteś już dojrzała - stwierdził. - Nawet się nie wypieraj, potrafię to wyczuć. Nauczyłem się tego w swoim długim życiu. Ten słodki zapach. - Z wielkim ukontentowaniem nabrał powietrza. - Taak, od razu czuję, gdy jakaś dziewczę jest gotowe.

Wybiegłam przez bramę i ruszyłam drogą aż do Pozzo i jeszcze dalej, dopóki powozy całkiem nie zniknęły i nie rozwiął się obłok wznieconego przez nie kurzu.

7.

- Dlaczego cud nie może pozostać cudem tylko dlatego, że ktoś inny tego nie dostrzega?

Chevalier de Seingalt nadal stał zatopiony w myślach pod moimi drzwiami na zimnym holenderskim dżdżu. Peruka całkiem mu zmokła. Na drogiej jedwabnej kurcie utworzyły się mokre plamy. Wspomnienie dziewczyny, która dawno temu uniosła w górę szklanekę i zdumiała się nad zmiennością kształtów wody, zupełnie wytrąciło go z równowagi.

- Przysięgliśmy sobie wierność na wieki, wie pani? - powiedział nagle, jakby przebudził się ze snu. - Przyrzekła, że będzie na mnie czekać, ale kiedy przyjechałem się z nią zobaczyć niecałe pół roku później, już jej nie było, zniknęła.

- Może miała jakiś powód?

- Oczywiście, że miała - powiedział i raz jeszcze skłonił się na pożegnanie. - Była kobietą.

II

PRZEPIĘKNA UŁOMNOŚĆ

TLR

Niedaleko Pasiano na brzegu Livenzy mieszkał w beczce po winie stary jak świat pustelnik. Moja matka posyłała mnie tam czasem, żebym mu zaniósł dzban wody albo resztki chleba. Przez całe życie starzec zachowywał ścisły post i oddawał się modlitwie. Umartwiał się bezlitośnie, rezygnując z wszelkich ziemskich pokus. Wszystko to czynił w nadziei, że przynajmniej raz przed śmiercią uda mu się dokonać cudu i tak jak Chrystus przejdzie po wodzie. To był jego jedyny cel. Ćwiczył się w tym każdego dnia od wczesnego ranka do późnego wieczora. Przed jego schronieniem zawsze wisiało kilka suszących się habitów.

Pewnego dnia sznurek do wieszania ubrań był pusty. Starzec siedział na ziemi przed beczką i dogadzał sobie pieczenią jagnięcą oraz butelką labrusco.

- Udało się - opowiadał. - Dzisiaj w nocy ukazał mi się Zbawiciel. Stał na drugim brzegu i pomachał mi dłonią. Pewnie chciał zobaczyć, na co poświęciłem całe życie. Bardzo byłem przejęty, ponieważ nadszedł oto moment prawdy. Zrobiłem krok po wodzie, bardzo ostrożnie, i udało mi się! Szedłem. To był prawdziwy cud. Nie mogłem uwierzyć, ale krok za krokiem dotarłem do środka rzeki. Jezus z zadowolenia aż zaczął klaskać w dłonie! Potem poszło mi już lepiej i kilkoma długimi krokami byłem przy Nim na drugim brzegu. Padłem Mu w ramiona. „Dla tej chwili poświęciłem całe moje życie”, szlochałem, „zrezygnowałem ze wszystkich ziemskich przyjemności, żeby pewnego dnia móc przejść po wodzie na drugi brzeg”. Na obliczu Chrystusa pojawiło się współczucie. „Ach”, powiedział, „cóż za marnotrawstwo czasu, przecież paręset metrów dalej kursuje prom”.

Świat jest pełen ludzi, którzy przez całe życie szukają cudu miłości i nigdy nie udaje im się go zobaczyć. A miłość jest bardzo prosta i oczywista, ale ukryta przed tymi, którzy jej szukają.

Jedyne, czego trzeba, aby ją dostrzec, to inne spojrzenie.

A tego nie można ludzi nauczyć. Wszystko, co można, to opowiedzieć im swoją historię.

1.

Wtedy nie płakałam. Czasami tego żałuję. Kiedy tak patrzyłam za Giacomem, jak znikał za zakrętem drogi wiodącej między pagórkami Pasiano, nie uroniłam ani jednej łzy. Był to słodki smutek, po dziewczęcemu intensywny; głębokie pragnienie, by położyć się i umrzeć, w którym nie ma miejsca na nic innego, pragnienie tak absolutne, jak absolutna miała być euforia, jakiej mieliśmy doświadczyć w przyszłości przy powtórnym spotkaniu. A mogłabym wypłakać sobie płuca, złorzecząc okrutnemu losowi zamiast sobie. Następnego ranka wstałabym pewnie wzmocniona, może nawet gotowa przyjąć to najgorsze. Później - owszem, płakałam! Później już sama myśl o dłoni, którą mój ukochany na pożegnanie przyłożył do tylnej szyby powozu wystarczała, by mnie załamać, ale wtedy śmierć już raz mnie ominęła, nie oferując ukojenia.

*

Zaraz po odjeździe Giacomina zaczęło się dziać tyle nowego, że po prostu nie miałam czasu na żal. Jeszcze tego samego dnia, kiedy stałam w pokoju z tarasem, szlochając przy łóżku mego ukochanego, wszedł dawny guwerner Adriany. Moje tłuste włosy i przewiązana byle jak spódnica najwyraźniej zbiły pana De Pompignac z tropu, niemniej jednak opanował się i oświadczył, że następnego dnia oczekuje mnie w bibliotece o godzinie dziesiątej rano. Następnie poprosił, abym postawiła stopę na łóżku. Z niedowierzaniem przyglądał się mojej zrogowaciałej skórze, a następnie wyszedł ze smętnie zwieszonymi ramionami.

Podczas pierwszej lekcji chodziłam w butach. Były to buty mojej matki, trochę na mnie za duże, ale monsieur De Pompignac zwracał uwagę tylko na postawę. Nie był przykry, lecz raczej zrozpaczony. Krążył wokół mnie jak fryzjer madame de Maintenon wokół kundla. Zadawał mi pytania, a ja odpowiadałam na nie wedle swej najlepszej wiedzy. Od czasu do czasu wybuchał śmiechem, słysząc moje odpowiedzi, chociaż nie wyglądało na to,

żeby poprawiały mu humor. Ze swej strony opowiadał mi rzeczy, które z kolei mnie zupełnie nic nie mówiły. Nie chciałam go całkiem rozczarować i przez cały czas uśmiechałam się uprzejmie. W pewnym momencie zamilkł. Poprowadził mnie do okna, ujął moją twarz w dłonie i obracał ją w różne strony, tak aby światło różnie ją oświetlało. Stwierdził, że przynajmniej kształt kości jarzmowych mam do przyjęcia. Następnie chciał mnie odesłać z czterema oprawnymi w skórę tomami przygód Idziego Blasa, o których mielibyśmy następnego dnia rano porozmawiać tu, w bibliotece. Przekartkowałam je tylko i od razu oddałam. Powiedziałam, że oczywiście czytać umiem, nie w tym rzecz, ale po pierwsze niezbyt szybko, a po drugie przecież nie ma sensu próbować czytać czegoś, w czym jest tyle słów, których nie znam. De Pompignac gapił się na mnie z otwartymi ustami. Otworzył jedną z książek, jakby chciał się upewnić, że tekst jest napisany w moim ojczystym języku, a nie na przykład po aramejsku. Następnie odprężył się, a na jego twarz z wolna wypłynął uśmiech, dotarł bowiem do niego bezmiar mojej niewiedzy. Zawstydyłam się i próbowałam usprawiedliwiać, on jednak wcale nie zamierzał tego słuchać.

- Przez całe życie usiłowałam sklecić coś z resztek, jakie pozostawały po innych nauczycielach - oświadczył. - Uzupelnic luki, załatać dziury, posklejać pęknięcia, oszlifować krawędzie. A teraz, kiedy już myślałem, że nic więcej mnie nie czeka, teraz, po raz pierwszy w życiu mogę pokazać, co sam potrafię stworzyć z surowego bloku marmuru. Wszystko tu będzie moje, poczynając od pierwszego przyłożenia dłuta. Trudne to będzie zadanie. Bolesne, to prawda, ale czegoż się spodziewać? Czyż Pigmalion pozwolił, by go to powstrzymało? Będziemy płakać krwawymi łzami, lecz mamy do wyboru tylko teraz albo nigdy!

Chciałam uciec, on jednak kazał mi usiąść i położył przede mną różne teksty. Czytałam je tak, jak mi się wydawało, że powinny brzmieć. Poprawiał mnie i wyjaśniał właściwe znaczenia słów, ciągle od nowa, aż zaczęłam rozpoznawać określone zdania i mogłam odgadywać ich znaczenie. Spędziliśmy na tym kilka godzin. Zgłodniałam i zachciało mi się pić. Kazał przynieść wody i ciasto migdałowe, ale nie pozwolił mi zjeść spokojnie, tylko przy każdym kęsie musiałam powtarzać fragmenty odmiany, którą wbijał mi do głowy.

Kiedy słońce zachodziło pod koniec pierwszego dnia, oboje byliśmy

wyczerpani.

*

Tej nocy nie spałam.

Czytałam.

Analizowałam starannie linijkę po linijce, a potem próbowałam przeczytać całość na głos. Pamiętam dokładnie swoje zdumienie, kiedy jakieś słowo, które na papierze wydawało mi się zupełną abrakadabram, wypowiedziane głośno okazywało się znajome. Nagle zrozumiałam - teraz boję się nawet do tego przyznać, ponieważ od tamtego momentu nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że mogłam być aż tak głupia - że za wszystkimi znaczkami, nawet tymi, z którymi nie wiem jeszcze, co począć, kryją się te rzeczy, które od dawna są mi znajome. Tym samym zniknął lęk, jaki zawsze odczuwałam przed słowem pisanym. A wraz z owym lękiem pozbyłam się też szyderczego stosunku, jaki do tej chwili miałam wobec książek i ludzi, którzy się nad nimi pochylają. Niepewność, z której wynikało to szyderstwo, nadal oczywiście pozostała, ja jednak zamierzałam podejść teraz do niej inaczej.

Można przez całe życie zajadać się jakimś ciastem, nie mając pojęcia co w nim jest, pomyślałam sobie, zawsze jednak trzeba wtedy czekać, aż ktoś je dla nas upiecze. Jeśli wszakże raz podejmie się trud, żeby się dowiedzieć, jakie są w nim ingrediencje, do końca życia będzie już można piec je samemu.

Następnego ranka przeczytałam panu De Pompignac pierwszą stronę przygód Idziego Blasa.

Twarz mu się rozpromieniła.

- *Ma Galathee!* - wyszeptał.

Podniósł się z krzesła, ujął moją dłoń i ucałował, czego nikt jeszcze przed nim nie uczynił.

*

Nikt nigdy by nie uwierzył, że można uzyskać rezultaty, jakie nam udało się osiągnąć. Okazało się, że mam nieoczekiwane zdolności do nauki. Wykorzystywałam je maksymalnie, by sprawić przyjemność mojemu nauczycielowi. Ku wielkiemu smutkowi stajennych i posłańca L'Aigle już prawie w ogóle do nich nie wychodziłam. (Niedługo potem L'Aigle został przepędzony kijami za napastowanie jednej z podkuchennych, co uczynił ze smutku, że mnie już nie spotyka). Noce spędzałam nad książkami, broniąc się przed zaśnięciem myślą o wzruszeniu, jakie następnego ranka ujrzę w oczach starego pedagoga. Od kiedy zasmakowałam w zdobywaniu wiedzy, nie mogłam się wprost nasycić nauką. Za pocałunek hrabia Antonio zwolnił mnie z pałacowych obowiązków, tak że całe dnie mogłam poświęcić lekcjom. Gdy przychodził wieczór, też nie ustawałam. Zupełnie jakbym czuła, że tego roku muszę całkowicie wykorzystać chłodne miesiące, by się zahartować i uzbroić w wiedzę do obrony przed tym, co miało nastąpić, gdy na drzewach pojawią się pierwsze pąki. Nagroda w postaci dyplomu, która czeka na studentów uniwersytetu w Bolonii, z pewnością nie była nawet w połowie tak motywująca, jak moja myśl o zdumieniu Giacomina, kiedy przy naszym następnym spotkaniu znajdzie we mnie kogoś, kto intelektualnie mu dorównuje.

*

Od Lesage'a mój nauczyciel przeszedł do przygód Manon Lescaut, a następnie do dzieł licznych myślicieli naszych czasów. Próbowali się oni wyrwać z niewoli uczuć, tak samo jak ja próbowałam w tym momencie wyrwać się z niewoli mojego stanu. Podobał mi się sposób, w jaki panowali

nad swoim rozumem, którego siłę zaczynałam odkrywać równocześnie z nimi.

Im wyraźniej monsieur De Pompignac widział sens swoich wysiłków, tym wyższe zaczynał stawiać sobie zadania. Po zaledwie kilku dniach zaczął udzielać mi lekcji częściowo po francusku. Nie znałam tego języka w najmniejszym nawet stopniu, mój nauczyciel jednak zapewniał, że to głos nauki i przyszłość Europy, oraz że jestem wystarczająco inteligentna, by go sobie przyswoić. I rzeczywiście, po dwóch tygodniach potrafiłam już odpowiedzieć mu mniej więcej jego własnymi słowami, a wtedy linijka po linijce zaczęliśmy czytać kolejne dzieła, które po kolei przynosił: *Histoire de Venise* Naniego, *Dialogues des Morts* oraz *Pluralité des mondes* Fontanellego, Bossueta rozprawki o dziejach świata oraz *Histoire de l'Église de VEmpire* Le Sueura.

Bardzo szybko moje lekcje poszerzyły się o coś w rodzaju ćwiczeń cielesnych, mających poprawić moją postawę. Monsieur De Pompignac kazał mi siedzieć, jakbym była marionetką pociągana za sznurek biegnący w górę po mojej piersi i domagał się, abym zawsze chodziła drobnymi, sprężystymi krokami, trzymając się prosto. Robiłam mu tę przyjemność, starając się nie wybuchać przy okazji śmiechem, po pewnym czasie jednak sama zauważyłam poprawę, gdy coraz śmieiej czułam się w towarzystwie. Mój nauczyciel zrobił listę niedopuszczalnych słów, jakich nie wolno mi używać, a dla poprawienia wymowy kazał mi powtarzać z ustami pełnymi rzecznych kamyczków zdania, na których i bez tego można sobie było połamać język. Bardzo długo bałam się, że kiedyś się udławię. Przeklinałam w duchu swojego dręczyciela i płakałam, żeby wzbudzić jego litość, ciskałam tymi kamieniami w jego stronę, w końcu jednak wargi i krtań wzmocniły mi się tak bardzo, że nie nadwierzając głosu, mogłam mówić do niego w sposób słyszalny i zrozumiały, nawet kiedy stał po drugiej stronie szumiącej rzeczki.

Ćwiczyliśmy też mniej konkretne umiejętności, takie jak poszerzanie zasięgu oddziaływania mojej osobowości oraz zdolność przyciągania wszystkich spojrzeń na targu pełnym ludzi samą tylko dostojną, królewską postawą i spokojnym oddechem. Nie potrafię powiedzieć jak, ale sobie to przyswoiłam i potem ta umiejętność już przez całe życie przynosiła mi pożytek. Poza tym wszystkim pan De Pompignac znalazł jeszcze czas, by nauczyć mnie zarówno prostych tańców towarzyskich, takich jak *bourrée* czy

farandola oraz tych bardziej skomplikowanych, jak menuet czy gawot. Po-
siłki spożywaliśmy razem, tak że nauczyłam się jeść nie prosto ze wspólnej
miski, tylko z własnego talerza. Dowiedziałam się też, że nie wolno jeść
samymi rękami. Opowiedziałam mu o moim dziadku, który potrafił nabrać
polenty trzema palcami, uformować z niej na dłoni małą miseczkę, nabrać do
niej mięsa z sosem i zakleić. W taki właśnie sposób jadał przy wszystkich
eleganckich stołach, nie uroniwszy nigdy ani kropli. Całe życie ćwiczył,
żeby to osiągnąć. W naszych stronach coś takiego zjednywało człowiekowi
szacunek. Zawsze byłam zdecydowana dążyć do takiej samej sprawności i
biegłości jak dziadek, monsieur De Pompignac oświadczył jednak, że je-
dzenie nożem i widelcem jest cenione wyżej, chociaż każdy może się tego
nauczyć w czasie zaledwie jednego posiłku. Aby wzmocnić moje ambicje,
podarował mi srebrne sztucce podróżne, wyrażając przy tym nadzieję, że w
niedługim czasie dojdę do tego, by nie odbijało mi się przy jedzeniu.

*

Każdego dnia - strona po stronie, dzieło po dziele - otwierały się przede
mną nowe nieskończone obszary wiedzy. Byłam oszołomiona. Skakałam po
nich jak żreback, który po raz pierwszy znalazł się na łące, niczego wokół nie
dostrzegając. Dlatego zbyt późno zorientowałam się, że moi rodzice z coraz
większą troską przyglądają mi się spoza muru swojej prostoty. Kiedy wra-
całam wieczorem do domu, nadal tak jak dotychczas mówiłam im o
wszystkim, co widziałam i robiłam. Tyle tylko, że nie dotyczyło to już liści
tytoniu, zaczynających już żółknąć w suszarni, czy żmii spotkanej na
ścieżce, a więc swojskich spraw z ich własnego świata; teraz opowiadałam
im o córce króla Koryntu, która z zemsty na niewiernym, mężu zabija własne
dzieci, albo o nimfie, zamienionej w drzewo laurowe, aby mogła uniknąć
pohańbienia. Wysłuchiwali tego wszystkiego i początkowo nawet zdobywali
się na jakąś radę czy komentarz („Może to nawet i lepiej dla tej królowej, bo
spotka teraz jakiegoś ukochanego, z którym będzie miała nowe dzieci”), ale z
biegiem czasu już tylko przytakiwali z grzecznym uśmiechem, nie mając
wielkiego pojęcia, o czym mówię. Widziałam oczywiście, że mój zapał na-
pełnia ich smutkiem, nie rozumiałam jednak, dlaczego. Żeby nie sprawiać

przykrości rodzicom, przestałam im opowiadać o swoich nowych odkryciach. To przygnębiło ich jeszcze bardziej, ponieważ wydawało im się, że uważani, iż są za głupi, co nigdy nie przyszło mi do głowy. Był to tylko i wyłącznie dowód mej nieświadomości, nie dostrzegałam bowiem tego, co działo się na moich oczach. Kiedy ktoś bardziej wykształcony przestaje z kimś mniej wykształconym, zawsze obowiązkiem i przywilejem tego pierwszego, jest się dopasować. Jego nie usprawiedliwia coś, co ten drugi ma ze swej natury.

Pod koniec listopada zauważyłam pewne ożywienie w ich zachowaniu. Z czegoś się cieszyli i nie potrafili tego ukryć, kiedy jednak pytałam, nie chcieli powiedzieć, co się stało. W pierwszą niedzielę adwentu zaraz po przebudzeniu zobaczyłam rodziców, jak stoją rozpromienieni przy moim łóżku. Ojciec chował coś za plecami, co wręczył mi po nerwowym wygłoszeniu krótkiej, wyuczonej na pamięć przemowy. Wynikało z niej, że są ze mnie dumni i chcieliby mnie wspomóc w miarę swoich skromnych możliwości, ulalego też postanowili podarować mi pierwszą książkę, którą będę miała na własność. Odpakowałam ją z bibułki i od razu poznałam, co to jest. Chodziło o egzemplarz książki „Narodziny, Światło i Obietnica Chrystusa, naszego Pana Zbawiciela, objaśnione na-święty czas Adwentu”, krótkiej rozprawki Fra Onofrio, naszego wiejskiego proboszcza. Swoje proste refleksje w tej materii, których starczyło na cztery przeznaczone dla chłopów kazania, doprawił zapożyczonymi od innych terminami, przypadkowo dobranymi naukowymi banałami i nic nieznaczącymi ozdobnikami, kazał oprawić w cielecą skórę, żeby po niedzielnej mszy sprzedawać ją co znacznieszym parafianom, którzy bali się odmówić ze zwykłego strachu o zbawienie swojej duszy. Niecały tydzień wcześniej wmusił jeden egzemplarz panu De Pompignac. Śmiałyśmy się razem z pompatycznych sformułowań i głupoty tego dziełka. Przejrzałam je teraz ponownie pod pełnymi nadziei spojrzeniami rodziców. Poczulałam falę obrzydzenia do proboszcza, który dobrze wiedział, jak ciężko pracuje mój ojciec i jak wiele wyrzeczeń musieli ponieść on i jego najbliżsi, żeby zebrać wymaganą sumę na ten złocony na brzegach stek niedorzeczności. Okoliczność, że Fra Onofrio nie odradził memu ojcu zakupu swego dziełka, według mnie dowodziła słuszności słów Woltera, którego właśnie przerabialiśmy, o dogłębnej niegodziwości kleru. Obracałam książeczkę w rękach, nie wiedząc, co robić. Widziałam dwie możliwości: albo powiedzieć prawdę, odnieść kuriozalne dzieło szanownemu autorowi i za-

żądać zwrotu pieniędzy, albo udać przed matką i ojcem, że z przejęcia zapomniałam języka w gębie. Wybrałam to ostatnie i przyrzekłam sobie w dwójnasób zwrócić rodzicom pieniądze, które we mnie zainwestowali, gdy tylko wyjdę za Giacomą i otworzy się przed nią kariera. Rzuciłam się obojgu na szyję. W obawie, że nie będę umiała przekonująco udawać, wybiegłam, wołając, że koniecznie muszę od razu się pochwalić panu De Pompignac. W rzeczywistości za wszelką cenę starałam się ukryć przed nim to dzieło i robiłam wszystko, żeby nie dowiedział się o całej sprawie.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, jak bardzo oddaliłam się od moich rodziców przez ten krótki czas. Za bardzo, by kiedykolwiek odnaleźć drogę powrotną.

*

Widocznie monsieur De Pompignac od razu zauważył jakąś zmianę mojego nastroju, ponieważ tego dnia był dla mnie wyjątkowo łagodny. W czasie kolacji za temat naszej codziennej dysputy obrał grzech pierworodny.

- Adam i Ewa dobrze wiedzieli, że stracą przez to niewinność, a jednak zjedli owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego. Jak bardzo trzeba być niemądrym, Lucio, aby zrezygnować z raję?

- Nasi prarodzice nie mieli pojęcia o raję do chwili, kiedy ich stamtąd wypędzono. W takim sensie było rzeczą rozsądną złamać boski nakaz. Dzięki temu mogli dopiero docenić piękno miejsca, skąd przyszli.

- I myślisz, że ta wiedza uczyniła ich szczęśliwszymi?

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że lepiej żyć w niewiedzy

o tym, co dobre, niż wiedzieć, że gdzieś istnieje dobro i...

- ...mieć świadomość, że się je utraciło? Jakie jest twoje zdanie?

- Na pewno nie warto! - wykrzyknęłam oburzona, ponieważ całkiem niedawno mnie tego uczył. - Świadomość to nasze najwyższe dobro!

- Tak więc lepsze mozolne życie w wiedzy niż beztrioskie istnienie, którego nie przeżywamy świadomie?

- Wiedza daje pocieszenie - powiedziałam. - Nasz rozum potrafi uzasadnić smutek za utraconym rajem, a tym samym go złagodzić.

- Ale czy nie byłoby łatwiej po prostu nie mieć zmartwień?

- Kiedy tak się pana słucha, można by pomyśleć, że wiedza to ułomność, a nie osiągnięcie.

- Wiedza wskazuje nam, co utraciliśmy. Jest to zdobycz, ale jak każde bogactwo odbiera nam beztrioskę i niewinność, tak jak to się stało z Adamem i Ewą. - Tu zrobił pauzę, a potem podjął łagodnie: - Mam powody przypuszczać, że i ty właśnie doznałaś tego smutku.

Przed oczami znowu mignęły mi naznaczone pełnym nadziei wyczekiwaniem twarze rodziców, kiedy przeglądałam podarunek, kosztujący ich tyle wyrzeczeń.

- Istotnie zaczynam rozumieć, o co chodzi z tymi łzami, o których pan uprzedzał, gdy zaczynaliśmy lekcje.

- Gromadzenie wiedzy i nabycie umiejętności to dopiero pierwszy krok. To potrafi każdy, potem jednak przychodzi czas na prawdziwy sprawdzian, sprawdzian, który przechodzi pomyślnie tylko niewielu: trzeba znaleźć w sobie odwagę, spakować ten swój bagaż i wyruszyć z nim w świat, coraz dalej i dalej od innych.

Skinęłam głową.

- Ta świadomość to mój dyplom za te lekcje - powiedziałam z namysłem.

Tego wieczoru nie rozmawialiśmy już jak mistrz i uczennica, lecz tak otwarcie, jak przyjaciele, z tym że monsieur De Pompignac nie pozwolił mi mówić inaczej niż po francusku.

Moje życie w Pasiano w krótkim czasie uległo radykalnej odmianie. Nigdy więcej nie poszłam już do lasu czy na pola, które niedawno były mi tak drogie. Teraz czułam się swobodnie w samym pałacu, po którym wolno mi się było poruszać całkowicie bez przeszkód, tak że w zasadzie zapomniałam nawet, że to nie jest mój dom.

Pewnego dnia hrabia Antonio znalazł mnie w bibliotece. Wyraził zainteresowanie moją nauką, wyjmując pewien tom ze swej sekretnej kolekcji. Była to książka *Histoire de Dom Bougre, Portier des Chartreux*, bogato ilustrowana. Starszy hrabia stanął za moimi plecami i położył książkę przede mną na stole. Przewracając stronicę, od czasu do czasu przyciskał się do mnie. Powiedziałam do niego po francusku, że mi się to nie podoba.

- Jeszcze trochę i zmienisz zdanie! - odrzekł z rozbawieniem. Otworzył stronicę, na której kurtyzana zaspokaja językiem pewnego oficera. - Możesz się nauczyć wysławiać jak dama, ale jak myślisz, w jaki sposób takie kobiety zarabiają na wygodne życie? - Położył dłoń na rycinie i zaczął skrobać swoimi grubymi palcami po papierze, jakby włączając się do igraszek przedstawionych tam postaci.

- O, proszę, taka igraszka przynosi bez wysiłku jakieś trzy cekiny - powiedział jak najbardziej poważnie: - Warto, żebyś pamiętała. A nawet pięć, jak się ją dobrze zrobi.

Zerwałam się z miejsca i wybiegłam z biblioteki. Kiedy w drzwiach odwróciłam się na chwilę, arystokrata siedział pochylony nad swoim skarbem i wydawał się już o mnie nie pamiętać.

*

Z początkiem lutego monsieur De Pompignac zniknął bez słowa. Była to pierwsza przerwa w naszych lekcjach. Wolny czas spędzałam, studiując „Listy perskie” Monteskiusza, z których czerpałam zabawne doświadczenie spojrzenia na wszystko, co wydaje nam się takie oczywiste, oczami osoby stojącej z zewnątrz. Nawet nie przypuszczałam, że już niedługo sama się stanę taką osobą. Cztery dni później zjechał monsieur De Pompignac z

mnóstwem pakunków, w widoczny sposób wycieńczony, lecz z zadowolonym uśmiechem na twarzy. Jeszcze pół tygodnia ukrywał niespodziankę, dłużej jednak nie zdołał zataić przede mną całej sprawy.

Okazało się, że pojechał tam i z powrotem do Wenecji, nie bezpośrednio, ale przez Modenę, aby stracić możliwie niewiele z naszych lekcji. W ten sposób ominął tereny objęte w tej chwili kwarantanną, ogłoszoną przez Najjaśniejszą wedle oficjalnej wersji z powodów sanitarnych, w rzeczywistości jednak po to, by przywołać do porządku zbuntowane władze lokalne Friuli.

- Tak czy inaczej, całe przedsięwzięcie było z twojego powodu - powiedział ze śmiechem. - *Voilà!*

Z tymi słowami wręczył mi kartonowe pudło z wielką rozetą i rozpromieniony przyglądał się, jak je rozpakowuję. W środku była balowa suknia z granatowego aksamitu.

- Piękność taka jak twoja nie potrzebuje wprawdzie żadnej ozdoby - rzekł - lecz tak już jest, że ludzie, sięgając do misy z owocami, zawsze wybiorą gruszkę z ładnym listkiem.

Była to najcudowniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam. Nie pamiętam już, co wtedy pomyślałam: może, iż mam dokonać jakichś poprawek, przechować ją dla kogoś albo wyprasować, w każdym razie chociaż pan De Pompignac raz jeszcze powtórzył, że to prezent dla mnie, nie potrafiłam od razu pojąć, że on chce, abym włożyła na siebie coś tak drogiego. Kiedy to już do mnie dotarło, przerażona odrzuciłam suknię od siebie, zupełnie jakby złożono mi jakąś niegodną propozycję.

- Jeszcze długo nie będę osobą, którą chce pan we mnie widzieć - rzekłam. - I wzdramam się przed myślą, że miałabym się już za taką podawać.

Poprosił mnie, abym zaufała jego osądowi.

- Jeśli jest rzeczywiście za wcześnie, bardzo szybko się o tym przekonamy - uspokoił mnie. - W czasie karnawału hrabia Antonio wydaje bal. Będiesz tam gościem honorowym. Już to z nim omówiłem. Pan hrabia podziwia cię, chociaż nawet o tym nie wiesz, i wykazuje wielkie zainteresowanie twoimi postęпами. Nie mów ani słowa, zaproszono już wszystkich

notabli z całego okręgu, nie można ich teraz obrazić, odwołując bal. - Z tymi słowami zaczął wyciągać resztę mojej garderoby, sztuka po sztuce, z taką radością, jakby to były prezenty dla niego. - Pantofelki, trzewiki, spójrz! Rękawiczki, jedwabne koszule, dotknij, no dotknij przynajmniej, halka, gorset, wszystko nowiusieńkie!

Kiedy zorientował się, że perspektywa sprawdzenia się przed taką publicznością bardzo mnie przygnębiła, rzucił wszystko i usiadł przy mnie.

- Nie ma powodów do niepokoju, moja Galateo! Nikt nie będzie wiedział, że to ty. - Na koniec wydobył maskę ze skóry, jaką nosi się zwykle w czasie karnawału. - Przedstawię cię jako kuzy- neczkę... - Promieniał już na samą myśl. - „*Je vous présente ma niece, Galathée de Pompignac!*”.

- Zbyt wysoko mnie pan ocenia.

- Zobaczymy - zaśmiał się i ucałował mnie w oba policzki jak członka rodziny.

*

Niczego specjalnego nie zauważyliśmy.

Następnego ranka De Pompignac nie pojawił się o umówionej godzinie. W ciągu nocy spuchło mu gardło. Gorączka, której się obawiano, pojawiła się pod wieczór, a następnego dnia rano, tak jak się mogliśmy spodziewać, gardło i język chorego pokryły pęcherzyki. Były to oznaki ciężkiej ospy wewnętrznej, która zagnieżdża się w drogach oddechowych. Jak powiedział aptekarz, zważywszy na wiek pana De Pompignac, wszystko będzie kwestią dwóch, najwyżej trzech tygodni. Zarażenie przypisał głupocie nauczyciela, który zlekceważył wenecką kwarantannę.

Koniecznym chciałam dotrzymać towarzystwa mojemu dobremu przyjacielowi, ale rodzice mi na to nie pozwolili. Następnego dnia monsieur De Pompignac został przeniesiony do osobnego budynku na samym skraju posiadłości. Jego dobytek wyniesiono z pokoju, zrzucano na stos na polu i mój ojciec go podpalił. Chciał też wrzucić do ognia wszystkie książki, ale udało

mi się temu zapobiec. Powiedziałam, że zabobon, jakoby choroba mogła przenieść się na papier, jest niedorzeczny i został obalony przez naukę. Rodzice patrzyli na mnie z bólem, ale nie miałam wyboru. Po raz pierwszy rzuciłam w sporze na szalę mój świeżo zdobyty autorytet. Uczyniłam to bez zastanowienia. Dopiero kiedy pozbierałam książki, które nie zdążyły się spalić, i odeszłam, poczułam wielki smutek, że ci dwoje, którzy tak mnie kochali, zupełnie bez oporu uznali moje racje.

Potem nie mieli już odwagi po raz drugi zabronić mi wstępu do mojego nauczyciela. Byłam jedyną osobą, która bez lęku wchodziła do jego pokoju. Służba zostawiała jedzenie i wodę na progu. Ja wносиłam je do pokoju, siadałam na łóżku przy chorym i czytałam mu głośno fragmenty jego ulubionych dzieł. Całkowicie przejęłam nad nim opiekę. Robiłam to, dokładnie zachowując wszelkie obowiązujące w takich sytuacjach nakazy i dezynfekując starannie siebie i jego. Miałam na twarzy maseczkę nasączoną alkoholem, paliłam całe pożywienie i rzeczy, których dotknął, i wiedziałam, że nie muszę się niczego obawiać. Próbowałam też przekonać innych, że wedle ostatnich teorii choroba się wtedy nie przenosi, ale bez rezultatu. Nawet kiedy po kilku dniach stan chorego zaczął się szybko pogarszać, Fra Onofrio zgodził się udzielić mu ostatniego namaszczenia tylko przez okno.

- Jak myślisz, Lucia, komu jest lepiej - spytał pod koniec swych dni De Pompignac takim tonem, jakby miał jeszcze dość siły, by ze mną dyskutować - człowiekowi, który umiera niespodziewanie, czy skazańcowi, który odlicza dni do nieuchronnej śmierci?

- Obydwaj tracą to samo - odrzekłam sprytnie - bo tracą swoje teraz.

Moja uwaga sprawiła, że do tego stopnia zatopił się w myślach, iż aby go od nich uwolnić, dorzuciłam zaraz zwyczajowy komunał:

- Mnie też przecież w każdej chwili może przygnieść na górskiej ścieżce skalny blok.

- A jednak jest pewna różnica - powiedział monsieur De Pompignac pouczającym tonem - i jestem zdumiony, że tego nie widzisz: wyobraź sobie, że ty i ja stoimy pod tą samą skałą. Ty widzisz, jak ona się zsuwa, uskakujesz w bok i radośnie wracasz do domu. Ja też to widzę. Skała wisi dokładnie nade mną. Chwieje się i widzę, jak się przechyla. Wołam jeszcze do ciebie:

„Zaraz spadnie!”. Skąła leci w dół. Widzę, jak się zbliża. I przez cały czas stoję w tym samym miejscu, czekając na uderzenie, z nogą unieruchomioną w potrzasku.

Zawstydziłam się. W swoim pragnieniu, by uspokoić umierającego, sięgnęłam po wyświechtany banał, którym ludzie w takiej sytuacji próbują pokryć swoją bezradność.

- Nie przejmuj się za bardzo - powiedział De Pompignac. - Twoje uczucia zapanowały nad rozumem. Jest to dowód, że cała wiedza, którą ci wpoilem, nie stłumiła odruchów serca. Serce i rozum, taka kombinacja to najdoskonalsze, co może osiągnąć człowiek. Wspanialszego prezentu pożegnalnego nie mogłem sobie wymarzyć.

Próbowałam go nakarmić kaszką z miodem, jedynym pożywieniem, które mógł jeszcze przełknąć. Zjadłam trochę razem z nim moją srebrną łyżeczką i udawaliśmy, że to jeden z owych wielu posiłków, jakie dotąd wspólnie spożyliśmy.

Wreszcie De Pompignac musiał się poddać.

- *Mes félicitations*, Lucia - brzmiały jego ostatnie słowa - nareszcie przez cały posiłek ani razu ci się nie odbiło!

*

Z wdzięczności za starania, jakich dołożył monsieur De Pompi- gnac, by jej córka mogła zaznać szczęścia, hrabina Montereale osobiście przyjechała do Pasiano na pogrzeb. Ponieważ zatrzymano ją na kwarantannę, mój nauczyciel czekał na pochówek dłużej, niż nakazuje prawo. Wreszcie hrabina przybyła późną nocą. Aby zrobić niespodziankę mojej dobrodziejce, a także aby ostatni raz oddać hołd mojemu nauczycielowi, następnego ranka po raz pierwszy przywdziałam suknię, którą kazał dla mnie uszyć. Uczesalam włosy i upięłam je wedle najnowszej mody. Mimo żałoby określiłam się kilka razy w miejscu, jakbym była na balu i wypróbowałam reweransa, którym chciałam powitać hrabinę.

Kiedy weszłam do pokoju, hrabina siedziała jeszcze na łóżku. Najpierw w ogóle się nie zorientowała, że to ja. Nawet gdy wypowiedziałam swoje imię, nie mogło to jakoś do niej dotrzeć. Dopiero kiedy powiedziałam coś w moim dawnym dialekcie i jak za dawnych czasów wskoczyłam do niej na łóżko, uwierzyła że to naprawdę jej Lucia. Otworzyłam okiennice, aby mogła mnie lepiej zobaczyć i znowu weszłam do niej do łóżka. Przez kilka chwil widziałam, że ogarnęło ją uczucie wielkiego szczęścia, gdy próbowała pojąć ogrom metamorfozy, jaka we mnie zaszła.

A potem jej spojrzenie spoczęło na mojej twarzy.

W jednej chwili cała radość zniknęła. Hrabina odskoczyła z przestraszeniem w tył i zaczęła krzyczeć. Aby ją uspokoić, chwyciłam ją za rękę, ale to jeszcze pogorszyło całą sprawę. Jak zwierzę złapane w pułapkę zeszła tyłem z łóżka i uciekła jak najdalej ode mnie w sam róg pokoju, przyciskając się do ściany. Chwyciła chusteczkę, polała ją wodą kolońską i przyłożyła sobie do ust, gestykułując dziko, żebym się tylko do niej nie zbliżała. Wciąż jeszcze nie miałam pojęcia, dlaczego niespodzianka, z której tak się cieszyłam, okazała się czymś tak okropnym.

Rozczarowanie było dla mnie zbyt dotkliwie.

Osunęłam się na posadzkę i leżałam tak przygnieciona smutkiem, którego nie potrafiłam pojąć. Uciekając ze swojego pokoju, hrabina zatrzymała się jeszcze na moment w drzwiach i rzuciła mi ostatnie spojrzenie. Rozpłakała się i widać było, że cierpi nie mniej ode mnie.

- Kochane dziecko, biedne dziecko - mówiła wstrząsana szlochem - skarbeczku mój, kto jeszcze kiedykolwiek zechce obdarować cię miłością!

Zbyt wiele wiedzy o sobie samych czerpiemy ze spojrzeń innych. Wolimy wierzyć w to, jak nas widzą, niż w to, jak sami postrzegamy siebie.

*

Do pokoju wpadła moja matka. Nadal siedziałam na podłodze, szlochając. Matka, zaalarmowana przez hrabinę, uklękła przede mną. Ujęła moją twarz w dłonie i przyjrzała się dokładnie bąbelkowi na policzku. W jej oczach błysnęło szaleństwo. Wyczytałam w nich zarówno współczucie, jak i strach. Dopiero po chwili dotarło do mnie, jakie spotkało mnie nieszczęście.

Wtedy matka cofnęła dłonie i podniosła się. Przez chwilę stała nieruchomo jak posąg, trzymając ręce odsunięte od ciała, zupełnie, jakby je sobie czymś pobrudziła.

*

Tym razem żadne moje krzyki nie zdołały powstrzymać rodziców. Tom po tomie cała biblioteka pana De Pompignac, jaką mi zostawił, zniknęła w płomieniach. Potem ojciec nakarmił ogień moją balową suknią. Strzępy granatowego materiału wirowały w powietrzu razem z kłębami dymu. Na koniec, kiedy już prawie wszystko zamieniło się w popiół, znalazła się jeszcze skórzana karnawałowa maska, którą dla mnie przywiózł monsieur De Pompignac, i też wylądowała na stosie. Tłąca się skóra wydzielala mdły odór. Brudnożółty dym sączył się z otworów na oczy, policzki i nos pokryły się bąblami i zaczęły się kurczyć. W ten sposób pastwą

płomieni padły wszystkie prezenty od pana De Pompignac, a wraz z nimi moje plany na przyszłość. Byłam wdzięczna losowi, że monsieur nie musi na to patrzeć. Potem pomyślałam o ojcu i matce, którym przyjdzie teraz

oglądać z bliska mój upadek. Jak na okoliczności trzymali się nadzwyczaj dobrze. Umieszczono mnie w tym samym budyneczku na skraju posiadłości, gdy tylko wyniesiono stamtąd ciało pana De Pompignac i wykadzono pomieszczenia spalonym jałowcem. Położyłam się na łóżku, przy którym przesiadywałam przez ostatnie dni. Wtedy odzyskałam spokój. Zamknęłam oczy i ujrzałam Giacoma.

W myślach widziałam go, jak siedzi obok, przytula moje dłonie do policzków i uspokaja mnie, szepcząc, że nie mam się czego obawiać, ponieważ miłość wszystko pokona. Doskonale wiedziałam, że to tylko sen na jawie, ale i tak poczułam się nieco szczęśliwsza. Obliczyłam sobie, ile czasu musi upłynąć, zanim mój ukochany tak naprawdę będzie mnie mógł przytulić do piersi. Przyrzekł wrócić do Pasiano na Wielkanoc, żeby się ze mną zaręczyć. Choroba powaliła mnie kilka dni przed rozpoczęciem karnawału. Tak więc mój los, jak obliczyłam, rozstrzygnie się za mniej niż sześć tygodni.

W tamtym momencie brałam pod uwagę dwie możliwości: śmierć lub wyzdrowienie. Wyobraziłam sobie obydwie. Przyszło mi to bez trudu, mam bardzo żywą wyobraźnię. Każdą rozpacz czy ulgę, wszystko, co możliwe czy niemożliwe, potrafię sobie odmalować tak szczegółowo, że jeśli się potem zdarzy, mam wrażenie, jakbym to już kiedyś widziała. Ta słabość, na którą często cierpią wrażliwe natury, jest zarazem ich siłą. Z jednej strony taka dusza cierpi podwójnie albo bez powodu, z drugiej zaś strony w ten sposób hartuje się i jest przygotowana na najgorsze.

Przez dwa dni nie nastąpiła żadna zmiana. Potem, w nocy, przyszedł ból. Zwijałam się jak dźgana sztyletem. Na ramionach pojawiły się nowe krosty. A więc choroba przyjęła u mnie postać zewnętrzną. Zdaniem aptekarza w powiązaniu z młodym wiekiem zwiększało to moje szanse na przeżycie. W owym momencie dotarła do mnie także i trzecia - poza śmiercią i wyzdrowieniem - możliwość.

Ta myśl sprawiła, że zaczęłam odchodzić od zmysłów ze strachu.

Poprosiłam, aby mnie związano. Rodzice za nic nie chcieli dać się do tego nakłonić. Nakłaniałam ich, błagałam ze łzami w oczach, ale kiedy wciąż się wahali, zaczęłam przeklinać najgorszymi słowami, traktując ich jak ostatnie sługi, aż wreszcie kazałam im to zrobić w imię miłości do mnie. Leżałam na plecach z rozłożonymi nogami. Ojciec przywiązał mi kostki powrozem do

słupków w nogach łóżka. Matka okręciła mi przeguby jedwabnym plecionym sznurem i przeciągnęła go pod łóżkiem, gdzie naprężyła go klinem. Nakazałam im, aby pod żadnym pozorem mnie nie rozwiązywali, nawet gdybym nie wiadomo jak ich prosiła przez najbliższe dni, dopóki całkowicie nie wyzdrowieję, lub - jeśli Bóg tak zechce - nie dokonam żywota.

I w tej pozycji czekałam.

Z każdą godziną pojawiały się nowe krosty, podczas gdy dotychczasowe zdawały się jeszcze bardziej nabrzmiwać.

Po trzech dniach ból nagle zniknął. Po raz pierwszy przespałam całą noc, mimo niewygody i zeszywnienia mięśni.

Obudziło mnie swędzenie. Przesuwało się wzdłuż wewnętrznych partii ud. Z początku nie mogłam powiedzieć, żeby było nieprzyjemne i w czasie krótkiej drzemki przeżyłam nawet nader przyjemną sensację. Potem swędzenie zaczęło się rozprzestrzeniać, najpierw na całe nogi aż po spodnie części stóp i miejsca między palcami. Zaciskałam je i prostowałam. Szarpałam sznurami. Obcierały, ale nie przynosiły ulgi. Potem takie samo swędzenie zaczęło się między łopatkami. Ocierałam się, jak mogłam, o prześcieradła - bez efektu. Ten sam płomień lizał mi teraz szyję i przenosił się na ciało między piersiami. Stamtąd powędrował na same piersi, których skóra była naprężona do ostateczności od gromadzącej się w ciele wilgoci, ponieważ na całym tułowie nie miałam już ani centymetra zdrowej skóry. Wygięłam plecy i szarpałam ramionami, ale nie przyniosło mi to ulgi. Teraz swędzenie ogarnęło już moje ramiona, ręce i palce dłoni. Chwilami obawiałam się, że postradam zmysły, jeśli nie uda mi się podrapać.

Nagle poczułam drażnienie pod powiekami. Zaskoczyło mnie to. Całe moje ciało w tym momencie tak mnie już piekło, że nie spodziewałam się, iż moje męczarnie mogą być jeszcze większe. Ktoś, kto tego nie przeżył, na pewno nie uwierzy, ale do tamtej chwili rzeczywiście chyba nie zorientowałam się, że moja twarz, z powodu której kazałam się skrepować, została na razie oszczędzona. Z wolna swędzenie przechodziło i na nią.

Zrozumiałam, że nadeszła ta koszmarna chwila i spełniły się moje najstraszniejsze obawy.

Wpadłam w panikę, przez co ogień rozgorzał ze zdwojoną siłą, ogarniając

nowym płomieniem całe moje ciało. Czoło, wargi, uszy, podbródek i policzki, ba, nawet korzonki włosów wydawały się pełne dręczących mnie robaków. Wwiercały mi się w szyję, a stamtąd rozpełzały na wszystkie członki.

Zaczęłam krzyczeć. Przybiegła moja matka. Błagałam ją, by mnie rozwiązała. Robiłam to tym samym tonem, którym przedtem prosiłam, by mnie skrepowała, uprzedzając wówczas, by niezależnie od wszystkiego pozostała głucha na moje błagania. Biedna kobieta zatkała sobie rękami uszy i za nic nie chciała zrobić tego, o co ją prosiłam. Zmusiłam się więc do spokoju i spróbowałam załatwić rzecz sprytniej. Przez chwilę rozmawiałam z nią o czymś innym, a potem niby to przypadkiem napomknęłam, że na początku choroby trochę się pomyliłam i że krępowanie wcale nie jest konieczne, a w tym stadium może nawet doprowadzić do pogorszenia mojego stanu. Jeśli więc mnie kocha i chce dla mnie dobrze, to lepiej będzie jednak, jeśli naprawdę mnie teraz uwolni. Moja przemowa sprawiła, że matkę opadły wątpliwości. Widziałam to. W myślach już widziałam, jak uwalniam się ze sznurów i z westchnieniem ulgi drapię się do krwi wszystkimi dziesięcioma palcami. Opanowałam się jednak z wyrachowania i nie dałam po sobie nic poznać. Uśmiechałam się do matki uspokajająco, żeby dodać jej odwagi i przyspieszyć podjęcie decyzji. Milczała. Kilkakrotnie przeszła się nerwowo po pokoju tam i z powrotem. A potem raz jeszcze odmówiła. W tym momencie jakby diabeł we mnie wstąpił. Zasypałam ją stekiem najgorszych wyzwisk i obrzydliwości, tak że w końcu wybiegła z płaczem, nie spełniając żadnej z moich próśb.

*

Zdana na straszliwe tortury i gorączkę, wybrałam jedyną drogę ucieczki, jaką przed sobą widziałam. Był to spontaniczny impuls, nie budzący żadnych wątpliwości, tak jak nikt się przecież nie zastanawia, czy uciekać z płonącego domu. Oderwałam się od ciała i zostawiłam je za sobą. Naprawdę z niego uciekłam i znalazłam schronienie w umyśle. Tam się skryłam, drżąca i wciśnięta w kąt.

Najpierw widziałam tylko jakieś deliryczne fantazje. Ukazywały się jedna za drugą jak pędzone wichrem. A jednak wołałam je od rzeczywistości. Powoli zaczęłam rozpoznawać w tym wirze pewne powtarzające się wzory. Wyłaniały się z nich jakieś myśli, które starałam się chwytać i segregować, Z biegiem czasu udało mi się je rozróżniać. Nauczyłam się je rozpoznawać i przyporządkowywać: wspomnienia z dzieciństwa, moje dawne oczekiwania co do przyszłości, strach, którego trzeba się pozbyć, pożądanie, jakie czułam do Giacomina, uśmiech i dłoń mojego dziadka, psy łowczego i wspaniałe lekcje pana De Pompignac - te ostatnie coraz wyraźniejsze, ułożone według filozofów, których wspólnie omawialiśmy i którzy dopiero teraz naprawdę zaczęli oddawać mi przysługę.

Analizując w ten sposób każdy nowy koszmar i rozkładając go na czynniki pierwsze, by następnie określać je i układać na właściwym miejscu - nauczyłam się go pokonywać. Nie działało się to oczywiście bez trudności i wciąż jeszcze przebijały się do mnie myśli, które groziły, że mną zawładną, za każdym razem jednak tam, gdzie kapitulowały emocje, w sukurs przychodził rozum i je odpędzał.

W ten sposób chaos przemieniłam w ład i stopniowo, oczywiście nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ułożyłam encyklopedię swojego życia. Miała o wiele mniejszy zakres niż ta Chambersa, ale oparta była na podobnych założeniach co tamta czy na przykład rozpoczęty niedawno projekt Denisa Diderota, i służyła mi do tego, bym mogła pojąć samą siebie w nowej sytuacji i w ten sposób nad tą sytuacją zapanować. Zadziałało. Burza we mnie ucichła. Okiełznałam ją za pomocą rozumu, zupełnie tak samo jak szyprowie - wedle marynarskich opowieści - zamykają wiatr w żeglarskim węźle.

Był to punkt zwrotny. Skoro potrafię przetrwać taką próbę, tłumaczyłam sobie, to znaczy, że rozum wyratuje mnie z każdej opresji. W tym momencie moja choroba nabrała przez to jakiegoś sensu, zupełnie jakby wszystko było podporządkowane tej właśnie konstatacji. Wtedy właśnie przyrzekłam sobie, że jeśli przeżyję, to przez resztę życia kierować się będę rozumem. Podjąwszy tę decyzję, znalazłam w sobie odwagę, by opuścić bezpieczną fortecę w chmurach i powrócić do zgliszcz mego ciała.

Gorączka osłabła.

Swędzenie ustało.

Odzyskałam przytomność i zobaczyłam rodziców przy łóżku, a za oknem przerażoną twarz Fra Onofrio. Duchowny właśnie udzielał mi z bezpiecznej odległości ostatniego namaszczenia. Podziękowałam mu na głos i oznajmiłam, że nie mam zamiaru korzystać z jego usług.

Moje słowa przyniosły zdumiewający efekt. Ojciec rozplakał się, czego nigdy wcześniej nie widziałam, matka padła przede mną na kolana, a biała jak prześcieradło twarz duchownego zniknęła pod parapetem. Okazało się, że przeleżałam nieprzytomna trzy tygodnie, tak że wszyscy stracili już nadzieję i uwolnili mnie z więzów. Tymczasem w momencie, kiedy spodziewano się mojego ostatniego tchnienia, ja zamiast tego przemówiłam głośno i wyraźnie.

Fra Onofrio zawołał z ogrodu, że moje wyzdrowienie to znak od Boga, dany specjalnie na Niedzielę Palmową, i że jest to niezaprzeczalny cud, pierwszy w jakim zdarzyło mu się uczestniczyć w ciągu całej kariery duchownego. Odrzekłam mu, że jest głupcem a jego Bóg to tylko i wyłącznie idea, służąca objaśnieniu rzeczy niepojętych dla prostaków, na co Onofrio wziął nogi za pas, a moja matka trzykrotnie uczyniła znak krzyża.

Tak czy inaczej wyzdrowiałam i to akurat na Wielkanoc! Miałam więc przed sobą cały tydzień, aby nabrać sił do powrotu Giacomu. Od razu poprosiłam o bulion, owoce i surowe mięso, ponieważ wrócił mi apetyt, i zjadałam się teraz wszystkim, czego inni sobie odmawiali z powodu postu. Piłam, ile tylko mogłam i płukałam usta małym, by wypędzić z nich obrzydliwy posmak. Już samo to dochodzenie do zdrowia wyczerpywało mnie przez pierwsze dni w takim stopniu, że po każdym posiłku zapadałam w głęboki sen, aby dość do siebie, i za każdym razem budziłam się silniejsza.

Rankiem trzeciego dnia poczułam się już na tyle mocna, że spróbowałam przejść się parę razy po pokoju i umyć. Przyniesiono mi ręczniki i dzban wody, świeżą bieliznę i wykrochmaloną koszulę, szczotkę do włosów, mydło i wodę lawendową. Na koniec poprosiłam o lusterko.

Ojciec i matka wymienili spojrzenia.

Zauważyłam to i od razu wiedziałam wszystko.

TLR

Moja zapobiegliwość uchroniła mnie przed najgorszym. Ponieważ byłam skrepowana, nie mogłam się w swoim szale drapać, nie poraniłam się więc paznokciami. Z setek krost pokrywających moje ciało od stóp do głów tylko kilka zmieniło się we wrzody. Tu i ówdzie widać jeszcze było pojedyncze strupy. W tych miejscach na zawsze pozostaną mi w skórze małe wgłębienia, ale nie będzie to widok przykry dla oka.

Nie tyczyło się to jednak twarzy.

Rodzicie najpierw nie chcieli mi przynieść lusterka. By ich niepotrzebnie nie smucić, udawałam, jakby mi na tym niespecjalnie zależało. Gdy tylko wyszli, wyjęłam lustreczko, które dostałam na pamiątkę od dziadka. Było malutkie, ale wystarczające. Spojrzałam na siebie poprzez oczy świętej.

Sznury, którymi przywiązano mnie do łóżka, nie zapobiegły oszalałemu rzucaniu głową na boki. Dziko tłukłam policzkami o siennik i trąc twarzą o prześcieradło, usiłowałam jakoś oczyścić sobie zalepione ropą powieki. Matka opowiadała mi potem, że próbowała przytrzymywać mi głowę, która spuchła, robiąc się większa prawie o jedną trzecią, i starała się złagodzić gorączkę wilgotnymi okładami. Przez długi czas siedziała za mną, przytrzymując mi głowę między kolanami, żeby ochronić moją twarz. Na próżno. Swędzenie było zbyt intensywne, cierpienie zbyt wielkie. Nic nie mogło mnie powstrzymać. Podałam się temu, do czego zmuszała istota mojej choroby i tarłam się, o co tylko było można, policzkami, czołem, uszami, ustami i nosem, tak że nawet najbardziej miękka poduszka i najdelikatniejsze prześcieradło zamieniały się w oszpecające narzędzia.

Nawet teraz, po latach, z największym trudem przychodzi mi opisać rozpaczliwy widok, jaki ujrzałam w lustrze. Powiem więc tylko tyle, że sama siebie nie poznałam. Czerwona i napięta skóra pokrywała coś, co jeszcze niedawno musiało być jedną wielką, otwartą raną. Ta nowa skóra pewnie się kiedyś wygoi, jakkolwiek nierówno, tak że pozostaną głębokie doły i brzydkie zgrubienia. Lewa połowa twarzy była już raczej nieodwracalnie oszpecona ściągającymi skórę bliznami.

Siedziałam bez ruchu, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w luste-

reczko. Zahipnotyzowana własnym odbiciem nie potrafiłam już spojrzeć na wskroś przez szkło, aby zobaczyć, że słońce tak jak zawsze muska swymi promieniami umieszczone tam przez mojego dziadka ornamenty i że mienia się one także mimo tego przerażającego widoku.

*

Giacomo przybył wcześniej, niż się spodziewano, bo w Wielki Piątek. Przez te dni przed jego przyjazdem rozważałam wszelkie możliwe kroki, nie mogłam się jednak na nic zdecydować. Wiedziałam oczywiście, co muszę zrobić, jednak nie umiałam się jeszcze na to zdobyć.

Patrzyłam na mojego ukochanego przez szparę w zamkniętych okiennicach. Przechodził pośpiesznie przez dziedziniec pałacu w swoim najlepszym stroju, elegancki, przejęty, ponieważ powrócił i jak najszybciej chciał się ze mną zobaczyć.

Miałam wtedy piętnaście lat. Nawet osiemdziesiąt lat doświadczenia byłoby jednak zbyt mało jak na decyzję, którą musiałam podjąć. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam poza Pasiano. Daleki świat znałam tylko z książek. Jedynie życie w Wenecji miałam żywo przed oczami i znałam je może nawet aż za dobrze. Dzięki hrabinie byłam doskonale wprowadzona w bezlitosny w swoich ocenach świat weneckich wyższych sfer, gdzie wszystko opierało się na powierzchownych wrażeniach. Swoimi opowieściami „ciocia” chciała mnie swego czasu zahartować przed walką, jaka miała tam czekać moją prostoduszną i naiwną naturę, lecz teraz, kiedy choroba zmieniła wszystko, były to już tylko ostrzeżenia, które na dobre odcięły mi drogę do szczęścia.

To absolutnie wykluczone, aby owo miasto kiedykolwiek mogło mnie zaakceptować, skoro byłam tak oszpecona. Musiałabym tam żyć jak paria-ska. Ten sam los spotkałby Giacomą, gdyby zdecydował się mnie poślubić.

Kiedy dotarła do mnie ta świadomość, zanurzyłam się w jakimś osobliwym spokoju. Jeszcze niedawno, gdy leżałam w malignie, rozum okazał się moim ostatnim oparciem i postanowiłam teraz znowu udać się do niego po radę. Doskonale zdawałam sobie sprawę ze swoich uczuć, na Boga, jakże doskonale sobie zdawałam! Serce waliło mi jak oszalałe, moja dusza krzy-

czała. I przez cały czas widziałam go, jak idzie przez dziedziniec, a ja wypatruję go z ciemności za zamkniętymi okiennicami.

Giacomo wyprzystojniał od czasu, kiedy ostatni raz go widziałam, i zmienił się z chłopca w mężczyznę. Gdyby nie to, że powstrzymałam się z całych sił, pobiegłabym do niego i rzuciła mu się do stóp. Opowiedziałabym mu wszystko, co się wydarzyło, i błagałabym, by zechciał mnie przyjąć taką, jaka jestem.

Wszystko to w sobie stłumiłam. Kilka razy krzyknęłam w po-; duszkę głosem, który zdawał się pochodzić prosto z duszy. Wszystko we mnie stało się jednym wielkim bólem. Moje uczucie skapitulowało i było gotowe podporządkować się rozumowi. Po pierwszym szoku zimna kalkulacja wywarła na mnie dobroczynny wpływ, tak jak zimna kąpiel po chorobie sprawiła, że wszystkie blizny na moim ciele w pierwszym momencie skurczyły się ze strachu, tak że skórze łatwiej się było potem rozprostować.

Krótko mówiąc, mój dylemat wyglądał następująco: Giacomo był ucieleśnieniem mego szczęścia. Gdyby nie odepchnął mnie mimo oszpeceń, moglibyśmy się pobrać. Miałabym mojego ukochanego przy sobie przez resztę życia. On sam musiałby jednak wówczas zrezygnować ze swoich ambicji. Małżeństwo ze mną zamknęłoby mu drogę do jakiegokolwiek kariery. To by go unieszczęśliwiło, a mnie dręczyłoby przyglądanie się jego cierpieniu. Jego nieszczęście oznaczałoby zarazem moje nieszczęście. Idąc więc za głosem serca, skazałabym nas oboje na zagładę.

Jeśli postąpiłabym wbrew własnym uczuciom i pozwoliła mu odejść, mógłby podążać za swoimi marzeniami i je zrealizować. Ja byłabym wówczas nieszczęśliwa, ale znalazłabym pocieszenie w świadomości, że przynajmniej on jest szczęśliwy. Może przez jakiś czas będzie mu smutno z mojego powodu, ale z pewnością nie potrwa to długo, jeśli uda mi się wszystko tak rozegrać, żeby pomyślał, iż zdradziłam go dla innego. Wtedy byłby na mnie zły, przekląłby mnie i wreszcie zapomniał.

Tak sobie rozmyślałam.

W pierwszym wypadku obydwójce bylibyśmy nieszczęśliwi, w drugim tylko jedno z nas.

Wybór wydał mi się prosty.

Działałam mechanicznie, nie zważając na uczucie, które trzykrotnie głośno nazwałam na swój użytek umarłym.

Zrobiłam to, co musiałam uczynić, z determinacją, jaką, będąc jeszcze dzieckiem, widziałam u Zolda, pewnego wieśniaka z Portobuffolè, którego na moich oczach ukąsiła w nogę żmija. Żeby dodać mu otuchy, mówiłam coś do niego przerażona, starając się go uspokoić, ale wyglądał tak, jakby mnie nie słyszał. Żyły na nodze mu nabrzmiały i zrobiły się czarne. Ze spokojem żywego trupa zrobił to, co należało zrobić, by zapobiec najgorszemu. Wziął do ręki piłę, przyłożył sobie pod kolanem i piłował tak długo, aż został mu tylko kikut; wszystko bez jednej chwili wahania.

Z taką samą pewnością i paralizem uczuć poleciłam matce powiadomić Giacomę, że wyjechałam z Pasiano. Matka za nic nie chciała kłamać wobec człowieka, który kochał mnie jak siebie samego i odmówiła przekazania mu tej wiadomości.

Wtedy powiedziałam jej, że to, co dzisiaj jest kłamstwem, jutro będzie prawdą. Giacomo z pewnością tu jeszcze wróci. A więc ja i tak nie mogę zostać w domu.

Te słowa załamały ją do tego stopnia, że nie miała już siły dłużej stawiać oporu. Powiedziałam, że kiedy mój narzeczony zapyta o moje uczucia, to mają mu odpowiedzieć, że przestałam go kochać, że dałam się uwieść L'Aigle, temu posłańcowi, i bez słowa opuściłam Pasiano, tak że nie ma większego sensu, by trwał jeszcze przy jakiegokolwiek nadziei i próbował na mnie czekać.

Kiedy matka weszła do pokoju z tarasem, w którym został ponownie ulokowany Giacomo, była tak zapłakana, iż z pewnością musiał jej uwierzyć. Potrzebował całej godziny, by ochłonąć po otrzymaniu tej wiadomości. Potem matka przygotowała mu pasztecik dla wzmocnienia i dała trochę chleba oraz owoców na drogę powrotną.

*

Ja w tym czasie przywołałam na pomoc rozum i poprosiłam o widzenie u hrabiego Antonia, a następnie powiedziałam mu, że przyszedłam zarobić pięć

cekinów, jeśli jego propozycja jest nadal aktualna. Jego zaskoczenie trwało krótko. Spod zmrużonych powiek stary hrabia przyjrzał się szkodom, jakie choroba poczyniła na mej twarzy. Zastanawiał się przez moment, czy się nie targować, ostatecznie jednak zaniechał tego, otworzył komodę i położył na stole całą sumę. Odchylił się w fotelu, rozpiął spodnie i powiedział, że bym bardzo powoli się przed nim rozebrała.

Nie będę twierdziła, że czułam jakieś straszne obrzydzenie. Było to coś, co musiało się stać, to wszystko. Nie należę do kobiet, które z natury odczuwają wstręt do wszelkiej cielesności i potrafią się ku niej zwrócić wyłącznie z głębokiego uczucia. Wprost przeciwnie. Mam zwierzęcą naturę. Już bardzo wcześnie wiedziałam, że mam do tego zdolności.

W pewien sposób rzeczowość tej transakcji pasowała nawet do nowego obrazu mnie samej, jaki musiałam sobie stworzyć. Granice były jasno określone. Odpowiadało mi to. W ich obrębie czułam się pewnie. Co więcej, w tym momencie było dla mnie ważne, by się przekonać, że mimo straszego oszpeceńa mogę stać się obiektem czyjś niepohamowanego pożądania, a więc jako kobieta nie do końca jestem stracona.

Dałabym wszystko, aby po raz pierwszy odkryć tę przyjemność z Giacometem, lecz w obecnej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak pogodzić się z rzeczywistością. Staruch wszedł na mnie i zrobił swoje. Wcześniej nie mógł wprost uwierzyć swemu szczęściu, że jestem jeszcze dziewicą i w nieskończoność studiował z bliska to zjawisko, otwierając mnie jak najszerzej się dało swoimi grubymi paluchami. Kiedy w końcu znalazł się w środku, zaklaskał w dłonie jak dziecko.

Nawet najgroźniejsi mężczyźni przestają budzić przerażenie, gdy znajdują się w łóżku. Mogą być grubiańscy i bezmyślni, ale ich zapamiętałość nie pozostawia miejsca dla wyrachowania. Jeśli sprawiają kobiecie w łóżku ból, to z niezręczności, a nigdy umyślnie, tak jak to czynią poza łóżkiem, gdy nie są zamroczeni pożądaniem. Łatwo uczynić im przyjemność, zupełnie jak dzieciom, i są wdzięczni, kiedy się to uda.

Dałam więc hrabiemu Montereale tę przyjemność, sama też czerpiąc przy okazji pewną satysfakcję. Nie jestem z tego dumna, po prostu stwierdzam fakt. Także i później zdarzało mi się zadowalać mężczyzn, którzy budzili we mnie obrzydzenie. Sprawiałam przyjemność tym wszystkim wstrętnym,

kalekim czy starym bez żadnego specjalnego zamysłu poza nadzieją, że jeśli kiedyś ja znajdę się w potrzebie, ktoś zrobi to także dla mnie: chociaż raz da mi poczucie, że jestem piękna i godna pożądania.

Jeśli chodzi o spocone cielsko hrabiego Antonia, mój rozum po raz kolejny przyszedł mi z pomocą. Odkryłam, że można patrzeć na przelewające się ciało i nabiegłą krwią twarz, a nawet się uśmiechać, tak naprawdę wcale tego nie widząc. Także później owo przeżycie nigdy nie pojawiło się w moich snach jako koszmar.

Wyobraźnia to najlepsze schronienie.

Tam właśnie, i tylko tam, byłam razem z moim Giacomem, tej nocy i podczas wielu następnych.

THUR

3.

Opuściłam dom, zanim wzeszło słońce. Nie pożegnałam się z rodzicami, bojąc się, że ich smutek może mnie zatrzymać. Do tej chwili prowadziła mnie ich miłość. Dalej muszę iść sama. Razem z panem De Pompignac uczyniłam pierwszy krok. Przed uczynieniem drugiego szukałam oparcia w jego słowach: „czas spakować swój bagaż i wyruszyć w świat”. Z kuchni wzięłam jeden z wyplatanych koszy, w których myśliwi noszą ustrzelone bażanty. Dzięki szerokim rzemieniom na ramiona łatwo można w nim było dźwigać znaczne ciężary. Oczywiście nie miałam nawet tyle, by wypakować cały kosz. Moje ubrania zajmowały zaledwie trochę miejsca. Wykorzystując chwilę nieuwagi otoczenia, zakradłam się do biblioteki hrabiego. Wybrałam kilka tomów, które obiecałam panu De Pompignac kiedyś przeczytać. Pod wpływem impulsu wzięłam też z sekretnego schowka *Histoire de Dom Bougre, Portier des Chartreux*. To kosztowne dzieło nie było moją własnością, ale nie wahałam się ani przez moment. Sumienie podpowiadało mi, że na nie zasłużyłam. Może miałam nadzieję, że wskutek tej kradzieży hrabia dwa razy się zastanowi, zanim zmusi do oglądania pornografii inne dziewczynki. W każdym razie wiedziałam, że tego rodzaju ilustracje są rzadkością i w razie potrzeby zdobędę za nie pieniądze, które mogą mi się kiedyś przydać.

Tak obciążona wyruszyłam drogą do Vilotty. Dotarłam do wioski o świtaniu. Chłopi ciągnęli na pola. Większość z nich mnie znała, ukryłam się więc w przydrożnym rowie. Z wolna zaczęłam odczuwać trudy przygody, jaka mnie czeka. Ledwie zostawiłam za sobą ziemie należące do Pasiano, a już miałam nogi jak z ołowiu.

Rzemienie kosza wrzynały mi się w ramiona. Bałam się nawet, że dopadnie mnie sen, którego nie zaznałam ostatniej nocy, ale nic takiego się nie stało. Budziła się we mnie jakaś nieznana siła, mobilizująca do działania. Nie miałam żadnego planu ani konkretnego celu. A jednak nie czułam żalu ani strachu. Wprost przeciwnie, wypełniało mnie uczucie szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie zaznałam. Wydawało mi się to niemalże niewłaściwe. Zo-

stawiałam przecież za sobą wszystko, co miałam. Utraciłam wszystko, co było mi drogie. Dzisiaj na dobre porzuciłam moje dotychczasowe życie, tak jak wczoraj porzuciłam Giacomę, może i nierozważnie, ale z pełną determinacją. Niemalże się wstydziłam, iż mimo całego smutku czuję się tak rześka, i zadawałam sobie pytanie, jak to w ogóle możliwe. Owo poczucie swobody utrzymywało się przez całe tygodnie i dodawało mi otuchy przy pokonywaniu różnych przeszkód. Ruszyłam na południe, właściwie tylko dlatego, że Alpy wydały mi się niepotrzebną komplikacją. Najpierw doszłam do Rovigo, potem aż do Ferrary, a stamtąd z wieloma przystankami po drodze dotarłam do Bolonii. Przez cały ten czas me serce aż rosło ze szczęścia, oto bowiem życie ukazywało mi swoje prawdziwe oblicze. Stałam z nim oko w oko, jak dwaj rywale stający do pojedynku o świat, groźni, lecz nieustępujący sobie nawzajem pod żadnym względem.

Bolonia mi się spodobała. Mieszkało tu więcej ludzi, niż kiedykolwiek przedtem zdarzyło mi się widzieć. Dlatego mniej się rzucałam w oczy na ulicy. Kiedy zaczynano wytykać mnie palcami, znikałam wśród tłumu na rynku, a gdy zaczynała mnie gonić zgraja dzieciaków, uciekałam do któregoś z zatłoczonych zaułków. Życie było tu trudniejsze niż na wsi. Ludzie bez ogródek czynili uwagi na temat mojego wyglądu. To może boli trochę bardziej, ale wyrządza znacznie mniejsze szkody, niż kiedy dzieje się za plecami. Trudno też dostać jakąś pracę. Przy nadmiarze ładnych dziewcząt nikt nie wybierze brzydkiej, musiałam więc wykazać się czym innym. Przykładając się do pracy bardziej niż tamte, żądając mniejszej zapłaty i godząc się na więcej obowiązków, za każdym razem zdobywałam jakieś zajęcie. Przyszło mi nauczyć się przy tej okazji znosić upokorzenia i rubaszne docinki. Nauczyłam się tolerować rzeczy, które inne kobiety uważały za uwłaczające - lekcja, która miała mi się potem przydać. Niemniej nigdzie nie zatrudniano mnie na długo. Tylko raz, kiedy pracowałam w gospodzie, ktoś zawołał, że przez moją ospowatą gębę stracił apetyt, najczęściej jednak oznaki niechęci były subtelniejsze. W sklepach, w których stałam za ladą, spadały obroty; do jurysty, u którego protokołowałam, nagle przestała przychodzić część klientów, a w domu, gdzie przez krótki czas sprzątałam, dzieciom nie wolno było się do mnie zbliżać. Najczęściej nie czekałam, aż mnie zwolnią, tylko sama szukałam sobie nowego zajęcia. Kiedy teraz o tym myślę, właściwie nie mogę zrozumieć, skąd brałam tyle odwagi, ale ją miałam. Byłam młoda, a kiedy człowiek jest młody, nawet najgorsze niepowo-

dzenia go rozwijają.

Po kilku miesiącach znalazłam zajęcie, w którym mniej chodziło o powierzchowność a bardziej o efekty i w zamian za pracę dostałam ką u państwa Morandi Manzolini. Pan domu był związany z Accademia delle Scienze, prowadził tam wykłady anatomii. Ponieważ jednak za nic nie mógł przywyknąć do widoku krwi, preparowaniem zwłok zajmowała się za niego jego żona Anna. Z czaszek, które otwierała i narządów, wydobywanych z ciał nieboszczyków, sporządzała potem dokładne woskowe odlewy, a jej mążonek używał ich podczas wykładów. Przy okazji zajmowała się własnymi badaniami. W ciągu dnia gotowałam i prowadziłam dom, do czego signora nie miała głowy, a wieczorami miałam czas studiować. Moje czytanie zupełnie im nie przeszkadzało i po pewnym czasie udostępnili mi nawet swoją bibliotekę. Od czasu do czasu przyjmowali gości. Wtedy najmowałam dodatkowo jakąś pomoc, a państwo dawali mi do dyspozycji okrągłą sumkę, którą miałam wedle własnego uznania wydać na przygotowanie przyjęcia. W tej sytuacji bardzo łatwo mogłam ich oszukać.

- W jaki sposób ktoś zdołałby dowieść, że jest godny zaufania, jeśli mu go najpierw szczerze nie okażesz? - wyjaśniła mi signora, kiedy zauważyła moje zdumienie z powodu jej łatwowierności. - Jeśli złożysz odpowiedzialność w czyjeś ręce, to ją na siebie weźmie.

Następnie zrobiła mi wykład o przyczynach, które doprowadziły do tego, że kobiety od dłuższego czasu zapomniały, co to znaczy myśleć samodzielnie, ponieważ wszystkie decyzje podejmują ich małżonkowie, i w jaki sposób nowe zdobycze nauki wreszcie położą temu kres, gdyż jak mówią najnowsze teorie, zarówno kobiece jak i męskie umysły podlegają tym samym wyzwaniom. Wyciągnęłam z tego właściwe wnioski i nigdy więcej nie przychodziłam do niej ze sprawami domowymi.

Ze swoimi przyjaciółkami rozmawiała dokładnie w ten sam sposób. Większość z nich podzielała jej opinię, a wszystkie były szlachetnie urodzone. Popierały się nawzajem w przeświadczeniu, że kobiety same skazują się na to, co je spotyka, zbyt zawierzając swoim uczuciom, i że wolne będą dopiero wówczas, gdy raz na zawsze zamienią intuicję na intelekt. Dyskutowały o tym z pasją, która w sposób niezamierzony dowodziła prawdziwości ich twierdzeń. Nigdy nie mieszałam się do owych dysput,

jakkolwiek wielokrotnie pytano mnie o zdanie. Nawet jeśli odmawiałam, one wciąż nalegały. Tłumaczyłam, że nie godzi się zadawać takich krepujących pytań służącej, ale nawet nie chciały o tym słyszeć. Przepowiadały, że dni panów i poddanych są policzone, gdyż świat podzieli się na wykształconych i niewykształconych, i że będzie to ostatni z rodzajów nierówności, a w dodatku bardzo łatwo uda się go zniwelować, po prostu się ucząc.

Kiedy tak debatowały, ja wolałam spędzać czas w bibliotece. A jednak ślepy optymizm tych dam był zaraźliwy. Mimo że się z nimi nie zgadzałam, z przyjemnością chłonełam tę naładowaną oczekiwaniami atmosferę. Wzmacniała moje nadzieje, że w tym klimacie być może i moja przyszłość jeszcze się kiedyś obróci na lepsze.

Optymizm szerzący się wśród kobiet w mieście zaszczepił Prospero Lambertini, były arcybiskup Bolonii i kuzyn signory Moran- di Manzolini, który w tym czasie zasiadał na tronie papieskim jako Benedykt XIV. Wspierał hojnie miejscowy uniwersytet pod warunkiem, że będzie się tam doceniać „wiedzę i umiejętności kobiece” i korzystać z pracy kobiet uczonych. W przypadku niektórych z nich, na przykład Laury Bassi, serdecznej przyjaciółki mojej pani, jak i samej Anny Morandi Manzolini, Ojciec Święty myślał nawet o samodzielnej katedrze. Zdaniem signory był to widomy dowód, że nawet w Rzymie wiara w uczucia na dobre zastąpiona została przez wiarę w rozum. W tym czasie papieska komisja wraz z delegacją uczonych kobiet pracowała nad oficjalnym uznaniem przez autorytety cywilne i akademickie „inteligencji i rozumu kobiety”. Pewnego dnia byłam obecna przy układaniu deklaracji na temat tego dążenia, która miała zostać ratyfikowana przez wszystkie instytucje akademickie. Z tej okazji do domu państwa Morandi Manzolini zjechały *femmes savantes* z całej Europy, a ja serwowałam im sardynki.

Napracowałam się wtedy. Przez wszystkie te miesiące, kiedy służyłam w domu Manzolinich, nie widziałam tylu gości naraz. Bardzo się denerwowałam, ale od razu pomyślałam o matce, która w Pasiano niejednokrotnie odpowiadała za dziesięć razy więcej osób. Dla mnie jednak było to zupełnie nowe doświadczenie. Pomyłono moją wiedzę z dorosłością i otrzymałam zadania, z którymi zupełnie nie byłam obznajomiona. Musiałam sama zatrudnić dwanaście osób do pomocy na cały tydzień, a i tak nie miałam prawie chwili dla siebie. Po raz pierwszy to ja wydawałam polecenia, ufając, że

zostaną wypełnione. Ku swemu wielkiemu zdumieniu przekonałam się, że potrzeba do tego odwagi i wiary w siebie. A tego akurat w tamtym czasie za dużo nie miałam. Przeciwnie, komentarze, których przychodziło mi wysłuchiwać na ulicy od obcych, podkopały całą pewność siebie, jaką dali mi rodzice, otaczając mnie miłością. A to, co jeszcze zostało, unicestwił pewien przystojny student, który przez kilka dni zalecał się do mnie tylko dlatego, że dał się namowić kołegum, pu piosiu zrooiii zaKiao, co mi na koniec oświadczył w ich obecności i ku ich wielkiej uciechu. Tak czy inaczej w tamtym czasie przywiązywałam większą wagę do zdania innych niż do własnego. Odpowiedzialność, jaką powierzyła mi signora Morandi, okazała się dla mnie zbawieniem. Chwyciłam dłoń, którą do mnie wyciągnęła i ze wszystkich sił robiłam wszystko, by nie zawieść mojej pani. Początkowo tylko udawałam przewagę, jaką musiałam mieć nad moimi dwunastoma podwładnymi, zupełnie jak aktor odgrywający króla, mianowicie mówiąc gromkim głosem i wykonując władcze gesty, zupełnie jakbym mogła zakrzyknąć moją szpetotę. Bardzo szybko jednak zauważyłam, że tamci słuchają mnie o wiele lepiej, kiedy mówię do nich, jakbym mówiła do siebie samej i od czasu do czasu otwarcie przyznaję się do wątpliwości. Zauważyłam, że mogę zjednać sobie ludzi swoim wnętrzem, jeśli tylko postaram się zapomnieć o wyglądzie. Zdobywałam sobie szacunek innych proporcjonalnie do szacunku, jaki zaczynałam mieć dla samej siebie.

Otrzymałam instrukcje, by każdą z przybyłych pań traktować jednakowo, niezależnie od jej rangi i tytułu, ponieważ, jak stwierdziła signora, „wszystkie one są jednakowo światłe, a wiedza to nowa arystokracja”. Wiele z tych kobiet nosiło imiona, jakich nigdy wcześniej nie słyszałam i samo ich brzmienie napawało mnie szacunkiem, takie jak Zenobia i Urania, Alkmena, Celimena, Cleante czy Anamandra. Wywoływano je w ten sposób w czasie dyskusji. Lubiłam ich słuchać, roznosząc kawę, tak jak dawniej przed pójściem spać uwielbiałam słuchać imion elfów i czarodziejek z opowieści mojego ojca. Wyobrażałam sobie światy, w których te damy rządziły jako królowe umysłu.

Ich dzień trwał bardzo długo. Wczesnym rankiem wykladały sobie nawzajem tajniki dziedzin, w jakich były najlepsze, a wieczorami, już raczej nieformalnie, dyskutowały o swoich miłościach i życiu. W ciągu dnia zaś oddawały się wspólnemu biesiadowaniu. Stałam przy kredensie ukryta za

parawanem, zza którego przez niewielkie okienko uważałam, czy wszystko jest właściwie podawane i czy goście mają napełnione kieliszki. Oczywiście przy okazji słyszałam ich rozmowy, częściowo prowadzone po łacinie, większość jednak lepiej porozumiewała się po francusku. Każdego dnia dyskutowały o innych nowych odkryciach. Regularnie rozstawiały na stołach kolby, alembiki i retorty, aby przeprowadzać doświadczenia. Będąc bezustannie głodna wiedzy, usiłowałam zrozumieć ile tylko się dało. Poruszane przy stole tematy niejednokrotnie przekraczały moje możliwości pojmowania, a ponieważ nie miałam śmiałości prosić o wyjaśnienia, moje zainteresowanie słabło. Wtedy skupiałam się na obserwowaniu zebranych, ich wyglądu i reakcji.

Tylko jedna z dam zauważyła mnie stojącą w ukryciu. Pewnego dnia napotkała moje spojrzenie i patrzyła mi potem prosto w oczy, dość natarczywie, lecz bez niechęci. Była to pewna francuska hrabina, na którą już wcześniej zwróciłam uwagę. Była równie wytwornie odziana jak pozostałe i nie mniej od nich piękna czy elokwentna, a jednak wydawało się, że pozostałe nie do końca akceptują ją w swym kręgu. Zapytana, zawsze odpowiadała z wielką uprzejmością, lecz nigdy nie przejmowała w towarzystwie inicjatywy. Miała płomieniście rude włosy, upięte w górze jak korona. Aby nie zburzyć sobie fryzury, szyję trzymała zawsze sztywno wyprostowaną, a głowę lekko odchyłoną ku tyłowi, co wydawało się zarazem eleganckie i lekko wyniosłe. Kilkakrotnie słyszałam, jak wypowiedano imię tej damy, lecz w owym momencie tak bardzo przestraszyłam się jej spojrzeń, że zupełnie nie mogłam go sobie przypomnieć. W jej wzroku dostrzegłam jakiś niepokój, zupełnie jakby chciała ode mnie czegoś, czego nie pojmowałam. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że płacze. Jej oczy zwilgotniały i zobaczyłam, jak błyszczą, tymczasem twarz wyrażała coś zupełnie przeciwnego. Uśmiech miała pewny siebie, a postawę dumną jak u kogoś, kto jest przyzwyczajony do zwycięstw. Jakkolwiek miałam pełne prawo stać tu, gdzie stałam, by nadzorować służących, czułam się jak przyłapana na gorącym uczynku. Raz jeszcze przyjrzałam się całemu towarzystwu, zupełnie jakbym niczego specjalnego nie zauważyła, a potem skinęłam na jednego ze sług i poleciłam mu zająć moje miejsce, a sama zrejterowałam, kryjąc się wśród książek signory. Pozostałam tam skromnie aż do chwili, gdy wszystkie panie udały się na spoczynek i sprzątnięto ze stołów - a nawet dłużej. Nawet nie czytałam, tylko siedziałam otoczona mnóstwem ksiąg medycz-

nych, chirurgicznych i filozoficznych oraz astrologicznych rozpraw, pośród narzędzi medycznych oraz woskowych modeli różnych części ludzkiego ciała, uporządkowanych wedle funkcji, jakie pełniły. Na sięgających wysoko półkach stały księgi, w których znajdowały się opisy i rysunki wszystkich znanych zwierząt i roślin, podobnie jak i wszystkich znanych minerałów i pierwiastków wraz z wyjaśnieniami ich działania, zastosowania i pochodzenia, a także ponad trzydzieści atlasów z opisami i mapami Ziemi, gdzie były wszystkie kontynenty i oceany, wszystkie wioski i miasta wraz z prowadzącymi do nich drogami.

Spokój, którym tak się napawałam w bibliotece, nie pochodził wyłącznie z panującej tu ciszy. Zgromadzony tutaj papier nie tylko tłumił wszelkie dźwięki, ale też szum moich myśli. Ich niecierpliwość czerpała ukojenie z ogromu wiedzy zgromadzonej na półkach. Jak wiele z niej nigdy nie znajdzie się w mojej głowie. To mnie uspokaja i przypomina, że nie muszę wszystkiego od razu wiedzieć i pojmować. Tyle już napisano, a ja to wszystko mam na wyciągnięcie ręki. A więc nie muszę się już tym zajmować. I tak nigdy nie zdołam wchłonąć więcej niż jakiś ułamek owych faktów; one po prostu są, istnieją, świat jest skodyfikowany i jeśli kiedyś będę chciała coś zrozumieć, mogę po to sięgnąć. Jeżeli rzeczywistość jest taka uładowana i możliwa do zweryfikowania, to łatwiej się od niej uwolnić. Może taka jest właśnie korzyść z tych wszystkich pisarzy, że opisują to, co znajduje się poza mną, tak więc ja, mając ich wokół siebie, mogę poświęcić się temu, co żyje we mnie.

W myślach zaczęłam szkicować obraz moich uczuć i spróbowałam prześledzić drogę, jaką już przebyłam. Bądź co bądź minął już rok, od kiedy uciekłam z domu. W tym czasie przyszło mi poznać najbardziej zagubione ścieżki moich uczuć. Zmieniały się ich krajobrazy. Czasami brodziłam przez martwe jeziora, w których jad sparaliżował wszelkie życie. Przemierzałam jakieś najbardziej opustoszałe okolice, ze spojrzeniem skierowanym wprost przed siebie, niczym płochliwy koń prowadzony z klapkami na oczach przez nieprzyjacielski teren. Jako że patrzyłam wyłącznie przed siebie, mogłam wspinać się na szczyty i schodzić potem w doliny, nie czując strachu i unikając zranienia przez pociski wybuchające na prawo i lewo ode mnie. A zatem możliwe, że przeszłam całą tę drogę, nie tracąc otuchy i pozostając przy zdrowych zmysłach tylko dlatego, że nie zawsze uświadamiałam sobie istnienie przepaści, wzdłuż których wędrowałam. Nigdy przedtem nie mo-

głam sobie pozwolić, by się gdzieś zatrzymać i popatrzeć na siebie. Od kiedy opuściłam Pasiano, nie uroniłam ani jednej łzy Teraz, po upływie roku, wyglądało na to, że moja ścieżka stała się równiejsza. To, co kiedyś wydawało się obce, nagle okazało się swojskie. Poczulałam, że jestem już dostatecznie daleko od mojego smutku, by wreszcie móc się rozejrzeć.

W którymś momencie, kiedy tak sobie wędrowałam po krainie uczuć, musiał mnie zmorzyć sen. Gdy się ocknęłam i otworzyłam oczy, ujrzałam przed sobą francuską hrabinę. Stała pochylona nade mną, z jedną nogą opartą o sofę, na której leżałam, zupełnie jakby miała wsiadać na konia.

- Przyglądałam się twojej twarzy - rzekła. - Co to było? Ospa?

Wyprostowała się. Nie miałam jak uciec i opadłam z powrotem na poduszki. Jej oblicze odcinało się bielą od imponującej korony włosów, która wznosiła się nad głową wielka i płomienna niczym zachodzące słońce. Wciąż tkwiła nade mną, przesuając się z lewej strony na prawą, a potem z powrotem, by ocenić wielkość zniszczeń na mojej twarzy.

- W tej chwili sprawia ci to ból, ale niedługo będziesz za to wdzięczna. Uroda to więzienie, w którym wegetujemy, popadając w niepamięć. Tobie już udało się z niego wyrwać. Ta mądrość teraz jeszcze do ciebie nie dociera, ale później sama do tego dojdiesz. Proszę cię tylko, żebyś wtedy wspomniała osobę, która powiedziała ci o tym pierwsza.

Wyglądało na to, że jej ciekawość została zaspokojona. Zdjęła nogę z sofy i odwróciła się, jakby straciła dla mnie wszelkie zainteresowanie. Przez jakiś czas przechadzała się wzdłuż szaf, studiując tytuły woluminów. Od czasu do czasu wyjmowała któryś i przerzucała kartki. Wreszcie wspięła się na drabinkę, wyjęła jakiś tom z najwyższej półki, otworzyła go i zaczęła czytać, usiadłszy na szczeblu z nogą założoną na nogę i z podkasaną spódnicą jak chłopka w stodole. Było to tak nieprzystojne, że pomyślałam, iż pewnie zapomniała o mojej obecności. Żeby jej nie zawstydzić, wzięłam po cichu jedną z książek leżących na stole i chciałam się wymknąć.

- To ty czytasz? - spytała.

- Kiedy tylko mam czas.

- No proszę. Ponieważ służysz, wyszłam z założenia, że nie umiesz czy-

tać. - Zeskoczyła zręcznie z drabiny. - Tak łatwo popełniamy błędy, oceniając innych po tym, co widzimy.

- Dlatego właśnie uroda wydaje mi się raczej wielką zaletą.

- Widząc coś ładnego, każdy myśli, że to już wszystko. Zadowala się tym i nie patrzy głębiej, nie próbuje nic więcej zrobić. Boi się to naciąć, tak że nigdy się nie dowiemy, co tkwi pod powierzchnią. Całe to niewidoczne bogactwo nigdy nie zostanie wykorzystane. Dlatego opłaca się nie nosić swoich skarbów na wierzchu. Gdyby surowy diament nie był taki brzydki, nikt nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby go oszlifować.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziałam urażona. - Jak na osobę, której to nie dotyczy, jest pani bardzo wyrozumiała dla brzydoty.

Już chciałam odejść, ale zastąpiła mi drogę. Wyjęła mi książkę z ręki, przeczytała tytuł na grzbiecie i wyraźnie była pod wrażeniem, iż czytam po francusku.

- I to Kartezjusz! - Odstąpiła krok do tyłu i przyjrzała mi się od stóp do głów. Następnie spojrzała za siebie, jakby pragnąc się upewnić, że nikt nie weźmie jej za osobę niespełna rozumu i zaśmiała się, przygryzając zębami koniuszek języka. - Powiedz no mi, ale tak szczerze, gdzie signora Morandi cię wynalazła? - Chwyciła moją dłoń i potrząsnęła nią, tak jak to robią między sobą mężczyźni. - Mam na imię Zelida. A ty?

Byłam obrażona. W tak otwarty sposób mówiła o mojej ułomności, że czułam potrzebę ukrycia się przed nią. Ostatnie, czego bym chciała, to zdradzić jej moje prawdziwe imię. Dziewczynki o imieniu Lucia były w tym regionie taką samą rzadkością, jak muchy przy końskim zadzie. Chciałam zapobiec sytuacji, by hrabina wykorzystywała moje proste pochodzenie do uzasadnienia jakiejś swojej kolejnej arystokratycznej teoryjki.

- Mam na imię Galatea - odrzekłam w nadziei, że ją przebiję. Hrabina otworzyła usta, ale brnęłam dalej. - Galatea De Pompignac.

W tym momencie wybuchnęła śmiechem. Wyrwałam dłoń, wściekła obróciłam się na pięcie i chciałam odejść, ale mi nie pozwoliła. Złapała mnie za nadgarstki i ucałowała po kolei obie me dłonie, nie zważając na moje skrepowanie.

- No cóż, Galateo De Pompignac, o ciebie mogę być spokojna, co do tego nie mam wątpliwości. Ty już zaczęłaś szlifować diament, którym jesteś. Jesteś oszłamiająca! - Po tych słowach ucałowała mnie raz jeszcze. Tym razem w policzek. Ten oszpecony.

*

Następnego ranka, kiedy podawałam paniom śniadanie, Zelida pochwyciła moje spojrzenie i mrugnęła do mnie, zupełnie jakbyśmy były przyjaciółkami. Udałam, że tego nie widzę, ponieważ podejrzewałam, iż chce tylko zadziwić pozostałe damy tym, jak odnosi się do istot postawionych niżej od siebie. Później spróbowała raz jeszcze, z tym samym skutkiem. Wydawała się zagniewana moją obojętnością. Nie ruszywszy jedzenia ani picia, podniosła się z miejsca i wyszła do ogrodu.

Okolo dziesiątej przyniosłam zatopionym w dyskusji paniom ciasteczka i owoce, a potem jak każdego dnia zajęłam miejsce za parawanem, aby przysłuchiwać się rozmowie. Po kolei zabierały głos na temat, którym się dzisiaj zajmowały, a mianowicie pozyskiwanie energii z wody. Większość wygłosiła już swoje zdanie, tylko Zelida nie uczestniczyła w dyskusji, a kiedy spostrzegła, że wychodzę, żeby jeszcze przed południem zdążyć na targ przy piazza Maplighi, zamiast pozostać na miejscu, jak tego oczekiwano, pośpieszyła za mną do kuchni. Tam, widząc, że biorę koszyk, sama wzięła drugi i uparła się, że będzie go niosła na ramieniu, chociaż to zupełnie nie wypadało. Na straganach sprawdzała świeżość owoców, ważyła w dłoni puce mięsa i dyskutowała o ziołach, jakby się na tym znała. Przy okazji powiedziała mi, że jej ojciec był nauczycielem w jednym z prowincjonalnych miasteczek we Francji. Zupełnie jakby pragnęła mnie przekonać, że ma tak samo niskie pochodzenie jak ja. Nie wyprowadzałam jej z błędu. Była jedynaczką i ojciec nauczył ją wszystkiego, co sam umiał, ale dla niej to było za mało.

- Jestem po prostu bezwstydnie ciekawa - wyznała – wszystkich i wszystkiego. Czy nie sądzisz, że nauka to głównie brak pokory? Chorobliwe pragnienie, by dowiedzieć się wszystkiego, nawet rzeczy nieprzeznaczonych dla nas i takich, których dla spokoju ducha lepiej byłoby nie wiedzieć? Lu-

dzie poczytują to za zasługę, jeśli ktoś analizuje właściwości i zasady, jakimi rządzą się żywioły, ale przepędzą badacza, gdy spróbuje poddać takim analizom ich samych.

Swój tytuł Zelida zdobyła, poślubiając mocno podstarzałego hrabiego Montmorency. Z chwilą, gdy go pochowała, miała już do dyspozycji środki, by sprowadzać do swego domu w Vincennes nauczycieli z całej Europy. Od lat ściągala tam coraz więcej osób z coraz dalszych krańców Europy, ponieważ żądza wiedzy to głód, który tylko rośnie, w miarę jak się go zaspokaja.

- Zauważyłam - powiedziała Zelida, kiedy już dzięki wyprawie na targ trochę się poznałyśmy - że z zainteresowaniem przysłuchujesz się naukowym dysputom, jakie prowadzimy w domu pani Morandi. Nigdy się jednak nie przyłączasz.

- A jakżebym śmiała? Większość z tego, o czym rozmawiacie, ledwie rozumiem.

- To trzeba poprosić o wyjaśnienie.

- Mam zbyt wielki szacunek dla tej całej wiedzy, żebym mogła zabierać głos.

- Ach, gdyby tak niektóre z nas zechciały brać z ciebie przykład! Mówienie o czymś, czego się nie rozumie, to głupota, natomiast pytanie o to świadczy o mądrości. A czymże innym jest nauka, jeśli nie wychodzeniem z niewiedzy? Nauczyć można się zawsze tylko tego, czego się jeszcze nie wie.

- Zważywszy zatem, o ileż mniej wiem od pani - zauważyłam ze śmiechem - to z nas dwóch właśnie ja jestem większym naukowcem.

*

- Jutro rano wyjeżdżam z Bolonii - oznajmiła Zelida, kiedy wróciłyśmy z pełnymi koszykami. - Jadę do Neapolu. Rozpoczęto tam wykopaliska. U stóp Wezuwiusza odsłonięto kilka starorzymskich willi, całkowicie nietkniętych. To serce naszej epoki. Nareszcie zdmuchniemy popiół, który nas dusi i

wszystko wypłynie na powierzchnię. To, co niejasno tylko wiemy, ukaże się teraz w pełnym świetle. Nic nie pozostanie niewyjaśnione. Oto wyzwanie, jakie stawia przed nami nasz czas. Odkrywczy stanowią awangardę. Nasze miejsce jest tuż za nimi. Zamierzam przy tym być, a ty... ciebie chciałabym prosić, abyś mi towarzyszyła.

- Dlaczego?

- Jako moja sekretarka. - Zarumieniła się, szukając odpowiednich słów. W gronie tych wszystkich uczonych i bogatych kobiet nigdy nie traciła rezonu, pochlebilo mi więc, że to właśnie ja zbiłam ją z tropu.

- Jeśli postanowiła mnie pani wziąć pod opiekę z litości lub po to, aby mnie dalej kształcić, to nie mogę się zgodzić. - Byłam ostrożna, ponieważ nie pojmowałam, skąd taka jej przychylność dla mnie.

- A kto powiedział, że nauczysz się ode mnie więcej niż ja od ciebie? Zbożny cel, który mi przyświeca, to ja sama. Szybko się o tym przekonasz. A twój charakter pisma? - spytała. - Pisziesz w miarę ładnie? Mogłabyś pisać moje listy, szkice moich odkryć, rejestrować to, co zdarzy się po drodze. Powierzyłabym ci drobne sprawy osobiste. Mogłabyś je dla mnie załatwiać. A nawet więcej, jak mi się zdaje... - Spojrzała na mnie. - Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogły zostać przyjaciółkami.

4.

Może by mi ktoś kiedyś wyjaśnił, dlaczego ludzie są tacy przejęci, kiedy widzą jakąś ruinę! Co jest tak pociągającego w rozsypującej się budowli? Zelida musiała wysiąść przy każdym stosie kamieni, jakie mijaliśmy po drodze. Obszedłszy go dookoła, siadała, aby pogрузić się w rozmyślaniach. W tym czasie ja musiałam obmierzyć ów zabytek, zrobić szkic całości i dokładnie zaznaczyć na mapie, gdzie się znajduje. Wróciwszy do powozu, Zelida zaczynała filozofować na temat wielkości i przeznaczenia budowli, które właśnie widziała.

- Jakich znowu budowli? - burczałam czasem pod nosem. - Żadnych budowli tam nie było.

Bawiło ją to i prowokowało do jeszcze dogłębniej szych analiz starożytnej sztuki budowlanej, które trwały dopóty, dopóki nie natknęliśmy się na następne ruiny. Wskutek tego zdarzało nam się przemierzać dziennie niecałe osiem czy dwanaście mil, po czym wieczorem w zajeździe musiałam przypomnieć sobie jej teorie i wszystko porządnie zapisać.

Gdzieś w okolicach Pitigliano blok cementu skłonił ją do obliczania średnicy wielkiej kopuły i odpowiednio solidnej budowli ją podtrzymującej, mimo że nie jadłyśmy przez cały dzień i miałyśmy jeszcze spory kawałek drogi do najbliższej wioski.

- To wcale nie jest kopuła! - zaprotestowałam z uporem, ponieważ byłam głodna.

- Ale mogła być.

- A tamto mogło być kiedyś wspaniałym pieczonym kurczakiem - powiedziałam, wskazując leżące między kamieniami odchody pewnie jakiegoś pasterza - ale ja wolałabym oryginał.

- A ja nie - odpowiedziała Zelida ze śmiechem i powoli zaczęłam się domyślać, dlaczego uczone damy w Bolonii trzymały się od niej trochę z

daleka. — Kiedy widzę pieczone udko kurczaka, nic mi nie przychodzi do głowy, ale gdy widzę to, co po nim zostało, mam wolne pole dla wyobraźni. Nawet jeśli człowiek, który się tu wypróżnił, zjadł zaledwie suchy chleb, w myślach wyobrażam sobie całą ucztę. To żadne wyzwanie widzieć coś, co istnieje, prawdziwe wyzwanie to widzieć rzeczy, które mogłyby być.

Wreszcie dotarliśmy do Portici, gdzie wynajęliśmy na całą jesień skromne lokum nad Zatoką Neapolitańską. Udostępniła je nam Maria Amalia von Sachsen. Była to daleka kuzynka zmarłego małżonka Zelidy, od niedawna zamężna z królem Obojga Sycylii. Na terenie letniej rezydencji, jaką ów monarcha kazał wybudować dla swojej małżonki, Maria Amalia odkryła w czasie spaceru studnię, do której mieszkańcy pobliskiego miasteczka regularnie opuszczali się na linach, by po paru godzinach wrócić ze starożytnymi monetami i zapinkami. W skutek jej nalegań, królewski małżonek zatrudnił antykwariusza, a ten opuścił się do studni i w systemie podziemnych korytarzy natrafił na kilka marmurowych stopni, które kazał odsłonić i odkopać. Wyglądały one na koronę rzymskiego amfiteatru, całkowicie ukrytego pod ziemią.

W czasie, kiedy tam przybyliśmy, amfiteatr był już mniej więcej w jednej czwartej odkopany, łącznie ze znajdującymi się przy nim budowlami. Wszystko to leżało sześćdziesiąt stóp pod ziemią, i schodziło się tam po siedmiu wąskich drabinach. Zelida kazała uszyć specjalne spódnice z cienkiej bawełny, które na czas schodzenia mogłyśmy wiązać jak spodnie. Kiedy już byliśmy na dole, oprowadzał nas Marcello Venuti, razem z braćmi kierujący całym przedsięwzięciem. Z dumą pokazywał nam inskrypcję umieszczoną na murach teatru. Kiedy przejechał po marmurze wilgotną gąbką, litery wyglądały jak nowe. Napis głosił, że miasto, zdaniem Venutiego ukryte w całości pod wzgórzem, jest poświęcone Herkulesowi. Był to dla niego dowód, że znajdujemy się w jednym z miejsc, które jak wynikało ze starożytnych rękopisów, tuż po śmierci Chrystusa zostało zasypane popiołem w wyniku eksplozji Wezuwiusza i przez szesnaście wieków uważane było za zaginione.

Wszystko to zdawało się poruszać Zelidę jeszcze bardziej niż normalnie, zwłaszcza kiedy przespacerowałyśmy się starożytną ulicą wokół teatru. Ten fragment nie różnił się niczym od ulic, które znamy na co dzień i po których możemy sobie chodzić bez karkołomnego opuszczania się po drabinach.

Bracia Venuti pokazali nam małe sklepiki i gospody, gdzie starożytne naczynia stały dokładnie tak, jak je odkryto. Dzbany i kubki na ławie wyglądały jak we współczesnej gospodzie, gdy goście dopiero co podnieśli się ze stołków. Ten widok tak poruszył Zelidę, że nie mogła dojść do siebie. Żeby trochę ochłoneła, zaprowadzono nas do przyległej bazyliki, do której prowadziły spiżowe drzwi. Gdy byłyśmy w środku, przyniesiono nam świeżej wody i zostałyśmy na jakiś czas same.

W miarę jak oczy przyzwyczajały się do mroku, coraz wyraźniej dostrzegałam otaczające nas wspaniałości. W mdłym świetle sączącym się z góry przez niewielki otwór w kształcie gwiazdy, wycięty w sklepieniu kopuły, która poza tym cała była schowana pod ziemią, najpierw zamajaczyły dwa konne posągi. Potem odkryłam skomplikowane wzory na marmurowej posadzce, ułożone z różnokolorowych płytek, oraz błyszczące złote postacie na mozaikach ściennych, a pośrodku wielkiego pomieszczenia porfirowy basen dostosowany głębokością do wzrostu człowieka, gdzie mieściło się wystarczająco dużo wody, by można się wykapać. Pod ziemią było jak w oranżerii. Powietrze wisiało ciężkie i duszne. Nasze bawełniane stroje kleiły się do ciał. Zwilżyłam twarz i piersi, umyłam ręce i spryskałam włosy chłodną wodą. Tak samo orzeźwiłam moją panią, a nikły chłód wyrwał ją z zadumy, więc sama już rozpięła bluzkę, pochyliła się nad basenem i prze-myła sobie pachy i tułów. Jej rude włosy błyskały od czasu do czasu płomińście od promieni światła odbijających się w wodzie.

- Widzisz teraz, Galateo - powiedziała z westchnieniem - jak to, co minęło jest zawsze obecne? Skończone i gotowe. Istnieje, nawet gdy nie mamy o tym pojęcia. To, że my czegoś nie dostrzegamy, wcale nie znaczy, że gdzieś tego nie ma. - Wyprostowała się i stała przez chwilę z rękami uniesionymi w górę, tak by wyczuwalny w tej podziemnej sali prąd powietrza, swobodnie owiewał jej mokre ciało. - Tak jak ziemia kryje w sobie te wszystkie tajemnice, tak i każdy z nas nosi w sobie wszelkie odpowiedzi, nawet te, do których pytań nigdy nie poznamy.

Rozradowana jak mała dziewczynka podbiegła do mnie nagle i chwyciła mnie za rękę.

- Dziś się przekonałam, że tak właśnie jest, drogie dziecko! Nasz rozum jak szalony poszukuje wciąż nowej wiedzy, ale przy tym omija wszystko, co

już było. Cóż robi nasze *ratio* z wrodzoną wiedzą o rzeczach, jaką czasem znajdujemy w sobie, nie umiając podać na to konkretnych dowodów? Zupenie nic! Moje wielce uczone przyjaciółki pewnie by mnie wyśmiały, gdybym im na to zwróciła uwagę. Nie wierzą w nic, czego nie potrafią udowodnić, ale ja powiem tak: gdzie zatem podziewa się to wszystko, o czym intuicyjnie wiemy, że istnieje, chociaż nie potrafimy tego pokazać?

Uwolniłam się z jej uścisku, żeby jak najszybciej porobić trochę notatek, ponieważ zaczynałam już tracić wątek, a przecież po kolacji będę musiała połączyć te wszystkie fragmenty w sensowną całość. Zelida jednak nadal pragnęła, abym podzielała jej entuzjazm.

- Rozum to tylko zewnętrzna powłoka naszej świadomości. Pod nią kryją się uczucia. W środku, tam, gdzie nikt nas nie widzi, potrafimy im zawierzyć bez reszty i wiemy wszystko bez słów. Gdybyśmy nigdy nie musieli wychodzić na zewnątrz, ani przez moment nie wąpilibyśmy w intuicję. My jednak wychodzimy i chcemy, aby nasze wnętrze również prezentowało się nienagannie. A więc przeglądamy nasze myśli i je uładzamy. Pamiętasz jeszcze, jak będąc dzieckiem, instynktownie wyczuwałaś, co siedzi w ludziach, przy kim ci nie grozi, a kto może być niebezpieczny, co musisz zrobić, by zostać nakarmiona, by przeżyć i zaznać miłości? Uważam, że mnóstwo wiedzy, której tak szukamy, to znaczy, tych odpowiedzi na wszystkie ważne pytania, od chwili narodzin nosimy w sobie i tylko zapomnieliśmy, w jaki sposób się do nich dostać. Co więcej, o większości owych rzeczy zapomnieliśmy, że w ogóle istnieją. Tak jak przez całe wieki ludzie przechodzili tędy, mając pod stopami to miasto i nawet nie domyślali się, że ono cały czas tu się znajduje, tuż pod powierzchnią ziemi. Nasza intuicyjna wiedza, która jest najsilniejsza w chwili narodzin, kiedy najbardziej jej potrzebujemy, ponieważ nie dysponujemy jeszcze żadnymi innymi środkami pozwalającymi nam przeżyć, i która słabnie coraz bardziej, w miarę jak uczymy się myśleć zamiast odczuwać, otóż cała ta wiedza wcale nie zanika. Ona tylko leży gdzieś przysypana lawiną argumentów i rozumowań, których teraz potrzebujemy, by pojąć otaczający nas świat. Od czasu do czasu, jedynie we śnie, jedynie w chwili rozluźnienia, zdarza nam się niekiedy coś z niej odnaleźć. Artysta nazwie to natchnieniem, dla wierzącego będzie to objawienie. A dla nas, którzy staramy się myśleć racjonalnie? Może powinniśmy nazwać to pomysłem, ów moment jasności, kiedy nagle dostrzegasz

rozwiązanie problemu, którego dotąd nawet jeszcze nie sformułowałaś. Takie niespodziewane iluminacje zadziwiają nas. Aż tacy dumni jesteśmy z tego, że nauczyliśmy się myśleć indywidualnie, że zupełnie przestaliśmy brać pod uwagę, iż być może jesteśmy częścią jakiejś większej całości. W dodatku nie mówię tu jeszcze nawet o tych chwilach, które każdy z nas zna, a mianowicie, że zdarza nam się o kimś pomyśleć, tuż zanim zobaczymy, jak nadchodzi, albo mamy wrażenie, jakbyśmy widzieli przed sobą jakiegoś członka rodziny czy kogoś, kogo kochamy, w tym samym momencie, gdy ów ktoś gdzieś daleko, gdzie się w danej chwili znajduje, wydał właśnie ostatnie tchnienie. Takie szczątki intuicyjnej wiedzy leżą jak skorupy pod naszymi stopami. Powinno być przecież oczywiste, że w takiej chwili należałoby zacząć wykopaliska w nas samych, ale tego nie robimy, nasz rozum bowiem nie może być przy tym obecny, a wszystko, czego nie potrafimy wyrazić, napawa nas dzisiaj lękiem. Zamiast tego więc podnosimy taki rozbity fragment i chowamy do kieszeni w nadziei, że może kiedyś przypadkowo znajdziemy następny, który będzie do niego pasował. Tak właśnie pęd do wiedzy utrudnia nam zauważenie naszej prawdziwej wiedzy, naszej intuicji. A ona coraz bardziej i coraz głębiej znika pod warstwami faktów, jakie gromadzimy w miarę upływu życia; im starsi zaś jesteśmy i im więcej wiemy, tym trudniej przychodzi nam dostrzec bodaj błysk takiego okrucha.

Bracia Venuti z pewnością dostrzegli coś więcej niż błysk, kiedy pojawili się niespodziewanie, zanim ja i Zelida zdążyłyśmy doprowadzić do porządku nasze stroje. Stanęli w zalanym słonecznym światłem otworze drzwi i mogliśmy mieć tylko nadzieję, że ich oczy musiały się dopiero przyzwyczaić do ciemności, podczas gdy my pośpiesznie, drżącymi rękami zapinałyśmy bluzki i doprowadzałyśmy do jakiegoś takiego stanu fryzury. Marcello, zasuszony naukowiec, wyglądał tak, jakby zbyt wiele czasu spędzał pod ziemią, ale Ridolfino i Filippo byli w pełnym rozkwicie sił, spaleni na brąz i spoceni od pracy. Mieli podwinięte nie tylko rękawy koszul, ale też nogawki sięgających kolan spodni. Mokra ziemia kleiła się do ich nóg aż po same uda, których włosy kleiły się do skóry jak sierść zwierząt. Bezczelnie gapili się na te miejsca mojej sukienki, które wciąż jeszcze były mokre i pozwalały dojrzeć pod spodem o wiele więcej ciała, niżby wypadało pokazać.

Kiedy wieczorem tego dnia pojawili się świeżo wykąpani i spytali, czy zechciałybyśmy udać się razem z nimi na uroczystości ku czci świętego

Januarego, patrona Neapolu, nie wahałam się ani chwili. Bez skrepowania wzięli nas za ręce i pociągnęli na taras, skąd widać było ognie, rozświetlające miasto po drugiej stronie zatoki, od Castel dell'Ovo aż po Posilippo. Zelida jednak nie chciała z nami iść.

- To świetnie - próbowałam się z nią droczyć - tym więcej czasu panowie będą mogli poświęcić mnie.

Zupełnie na to nie zareagowała, tak że od razu poczułam się winna. Zaproponowałam, że ja też odmówię i podobnie jak w ciągu poprzednich wieczorów, będziemy mogły wymienić spostrzeżenia na temat naszych doświadczeń i przelać je na papier, ale moja pani nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że młodość zobowiązuje i muszę iść, życzyła mi dobrej zabawy i zapewniła, że sama uporządkuje wydarzenia dzisiejszego dnia.

*

Nie ma wspanialszego festynu niż święto w Neapolu i wróciłam dopiero nad ranem całkowicie upojona sukcesem. Ani Ridolfino ani Filippo nic sobie nie robili z mojej szpetoty - może dlatego, że z racji swego zajęcia przywykli oglądać zniszczone piękno - i także siebie nawzajem bracia wcale się nie wstydzili, tak że przeżyłam w ich ramionach coś, czego zwykła dziewczyna w moim wieku pewnie by się przestraszyła. Ja jednak, ponieważ od czasu choroby przywykłam do tego, że żaden młodzieniec ani myśli zwrócić na mnie uwagę - a wcześniej miałam do czynienia tylko z moim nazbyt uważającym Giacomo - z całego serca oddałam się bachanaliom, igraszkom, o których nigdy bym nie myślała, że kobieta może się im oddawać, nie robiąc sobie krzywdy, skoro nie widziałam ich na ilustracjach w moim *Dom Bougres*. Przyjemność, jakiej przy tym doznawałam, nie była natury cielesnej tylko jak najbardziej duchowej. Miałam wrażenie, jakby moja dusza - nawet nie wiem, jak to inaczej wyrazić - wskutek mego bezwstydu została uwznioślona do tego stopnia, że oderwała się od ciała, by obserwować z góry, kto tam na dole wije się w rozkosznych konwulsjach. Nade wszystko odczuwałam głębokie wewnętrzne wzruszenie, iż pożądanie obydwu braci właśnie ku mnie się skierowało. Zapewne po raz pierwszy i jedyny wzbu-

dziłam tak wielkie pożądanie u przystojnych młodzieńców, a udało mi się to jednocześnie z obydwojma, co było dla mnie naprawdę największym szczęściem. Przepelił mnie spokój. Zapomniałam o swojej ułomności. Przestałam myśleć i tylko czułam. Tak jest, naprawdę, jak długo się we mnie wdzierali, tak długo czułam pewność siebie. Kiedy gra się skończyła, nie chciałam pozwolić, by moje uniesienie osłabło i syciłam je wciąż od nowa i od nowa, napawając się wyrazem odprężenia i dziecięcej niemal wdzięczności, jaki malował się na spoczywających na moim brzuchu twarzach obydwu wyczerpanych do cna braci.

Zelida oczywiście spała, kiedy z ciężką głową wróciłam do domu, ale na jej sekretarzyku pełgał jeszcze płomyk oliwnej lampki, którą zostawiła zapaloną dla mnie. Obok leżał esej napisany, gdy byłam na tańcach. Ponieważ wciąż jeszcze brakło mi pewności siebie, pomyślałam, że umyślnie zostawiła ten dokument na tak eksponowanym miejscu, abym poczuła się winna swego próżniactwa. Ubodło mnie, że komuś aż tak nie w smak moje szczęście, a ponieważ szumiało mi w głowie od wina i byłam jeszcze w tym momencie zupełnie odurzona, zamierzałam ją obudzić i zasypać wyrzutami, że widocznie jest już za stara i za bardzo wysuszona, by sobie przypomnieć, jak potrafią kochać ludzie z krwi i kości. Szczęście od Boga, że moja ciekawość zwyciężyła gniew i najpierw przejrzałam stronicę, zapełnione jej pismem. Ku memu zdumieniu zawierały niewiele uwag na temat miejsca, które odwiedziłyśmy poprzedniego dnia, znalazły się tam natomiast niezwykle obfite reminiscencje tego, o czym rozmawiałyśmy w południe w bazylice. Zelida szeroko rozwodziła się o zaniku wiedzy intuicyjnej w związku z rozwojem rozumu. Były to szeroko zakrojone przemyślenia, których ton i zawartość merytoryczna nie mogły być bardziej odległe od banalnego stanu ducha, w jakim się w tym momencie znajdowałam. W każdym słowie odnajdowałam jej nadwrażliwą naturę, która wzdragała się przed oddaniem siebie pod surowe władanie rozumu. Pisała to wszystko prosto z serca bez zamiaru udowadniania czegokolwiek, bez odniesień do jakiegokolwiek dziedziny nauki, a tylko i wyłącznie na podstawie własnego doświadczenia. Było to jedno z jej najlepszych dzieł, które w nieco zmienionej i poszerzonej formie wraz z dwoma innymi, późniejszymi już rozprawkami na ten sam temat opublikowane zostało potem w Nancy pod tytułem *De l'origine du savoir*, opatrzone jej zwykłym pseudonimem M. de M. Mam jeden egzemplarz. Inny znalazł się w Bibliotece Królewskiej z rekomendacji M. Bignona z Akademii i o ile

wiem, po dziś dzień można go tam zobaczyć w dziale filozofii współczesnej.

Chociaż byłam zmęczona, przeczytałam esej jednym tchem jeszcze tej samej nocy. Ptaki zaczęły się już budzić. Wschodziło słońce. Bryza od morza zgasła płomień lampki i przyniosła z ogrodu woń dojrzewających na drzewach cytryn. Moje ciało i dusza były tak wyczerpane, że nie stawiały żadnego oporu teoriom, przeciwko którym normalnie z pewnością bym protestowała. W odurzeniu nie potrafiłam już oddzielić zmysłowego oszołomienia, którego echa jeszcze odczuwałam, od natchnienia słów Zelidy, jakkolwiek nie wszystko mogłam pojąć zmęczonym umysłem.

*

Chociaż o niczym innym nie marzyłam, tej nocy już nie poszłam spać. Nadal siedziałam przy sekretarzyku, choć dawno już skończyłam czytać. Czułam się całkowicie pusta. Nawet gdyby od tego miało zależeć moje zbawienie, nie zdołałabym zmusić ciała do jakiegokolwiek działania, nie mówiąc już o rozumie. Siedziałam tam bez żadnej myśli i patrzyłam w dal przed siebie ponad falami i konturami wysp. Do pokoju weszła Zelida i stanęła przy mnie. Nie powiedziała ani słowa o tekście, który leżał przed nami. Położyła tylko dłoń na moim ramieniu. Wtedy się rozplakałam. Stało się to po raz pierwszy, od kiedy naznaczył mnie los. Przez półtora roku nie uрониłam ani jednej łzy a teraz jeden przyjazny gest dokonał tego, czego nie mógł dokonać smutek. Płakałam długo i serdecznie. Przez cały ten czas ani Zelida, ani ja nie odezwałyśmy się słowem, tylko patrzyłyśmy w morze.

Zelida zamknęła swoją rozprawkę „O genezie wiedzy” porównaniem naszej wrodzonej, ale jeszcze nieodkrytej wiedzy z zasypanymi miastami wokół Wezuwiusza, których istnienia też nie podejrzewamy, dopóki przypadkiem nie znajdziemy się na starożytnej drodze i nie zaczniemy iść po antycznym bruku. Skoro może istnieć jedno, niezauważone przez wieki a przecież niezmiennione, wywodziła, to możliwe jest też tamto drugie. Wyglądało to już na zgrabne podsumowanie argumentacji, kiedy nagle, niejako w formie kil- kuzdaniowego dodatku raz jeszcze porównała jedno i drugie z miłością, której także nie sposób racjonalnie dowieść, ale która też - niekiedy

po długim czasie zapomnienia, gdy wydaje się już, że bezpowrotnie zaginęła - zawsze kiedyś objawia się w niepodważalny sposób: „Każdy z nas przecież czuje bez cienia wątpliwości, że jest w stanie dać miłość, a jednak nigdy nie mamy pewności, czy pewnego dnia rzeczywiście odnajdziemy kogoś, kto będzie wart tego podarunku”.

*

- No, chyba już dobrze - powiedziała w końcu Zelida, ocierając mi łzy z twarzy. Kazała nam przynieść kawy po turecku, a dla mnie pożywne śniadanie, na które nawet nie mogłam patrzeć: już sam zapach świeżo upieczonego chleba sprawił, że żółć podeszła mi do gardła. - Dostyc już zobaczyłam w Neapolu, wracam do Paryża. Jeśli nie masz innych planów, możesz dalej być u mnie.

O ile pamiętam, nie miałam wówczas żadnych planów, poza solennym przyrzeczeniem sobie, że już nigdy w życiu nie wypiję kropli wina. Zapewniłam Zelidę, że z wielką przyjemnością z nią zostanę, aczkolwiek w tym momencie jak najpoważniej liczę się z tym, że mam we krwi tyle trucizny, iż mogę nie przetrzymać wieczoru. Zelida zeszła do ogrodu narwać pomarańczy, które potem obrała, chociaż zapewniłam ją, że nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa.

- Nie wyobrażam sobie większego szczęścia niż mieć pewność twojej przyjaźni - szepnęła.

Następnie za warunek przyjaźni postawiła wmuszenie we mnie chociaż kilku cząstek owoców. Potem kazała zamknąć żaluzje, sama strząsnęła poduszki i ułożyła mnie na sofie, bym odpoczęła. Na głowę dała mi okład z chłodnej szmatki, tak że nieprzyjemne pulsowanie nieco zelżało.

- A więc wszystko ustalone - powiedziała, kiedy już mi się wydawało, że moje szanse na przeżycie wyraźnie wzrosły. - Jedziemy razem do Paryża. Wyślę wiadomość, żeby urządzono tam dla ciebie któryś z pokoi od strony ogrodu. Nowe meble, nowe obicia. Będzie dostyc czasu na przygotowanie wszystkiego, ponieważ po drodze zatrzymamy się jeszcze na kilka tygodni w

Wenecji.

Usiadłam chwiejnie na sofie. Obie ręce przycisnęłam do czoła, usiłując stłumić głuchoe echo gwałtownych uderzeń serca, które groziły rozsadzeniem mi głowy.

- W Wenecji?

- Tak - powiedziała, promieniejąc. - Na jakieś sześć tygodni, najwyżej. Czy może chciałabyś zostać tam dłużej?

TLR

5.

Zdechły pies dryfował w wodorostach, brzuch miał wzdęty od gazów. Nasz gondolier wiosłem odsunął martwe zwierzę, żeby przybić do brzegu. Napięta skóra pękła. Dwa kawały sierści przylepiły się do nabrzeża i gdy wychodziłyśmy na ląd, z pacnięciem odpadły na kamienne stopnie pod naszymi nogami.

Kiedy poznawszy Giacoma, myślałam sobie, jak to będzie zamieszkać w tym mieście, zorientowałam się, że nie mam o nim dokładnego wyobrażenia. Gdy będąc dzieckiem, podchwytywałam strzępy rozmów hrabiny z jej weneckimi gośćmi, Wenecja wyłaniała się z nich przede wszystkim jako jakieś wielce tajemnicze miejsce na ziemi, coś jakby wielka sala balowa pod gołym niebem, pełna dam, złodziei i dożów, śpiewaczek i komediantów, ogród zabaw czekający tylko na mnie, kiedy będę wystarczająco dorosła, by mnie tam wpuszczono. Możliwe też, że słysząc nazwę tego miasta, miałam przed oczami kolory, całe mnóstwo kolorów grubo nałożonych na siebie, roztańczonych ludzi i wszędzie mnóstwo słonecznego blasku, a także światła lampek na wodzie, oraz wielkie budowle z mnóstwem złota. Tak czy inaczej nigdy wcześniej nie widziałam prawdziwego weneckiego pałacu, więc wyobrażałam sobie wtedy, że to będzie coś takiego jak letnia rezydencja w Pasiono, tyle że ze stopniami opadającymi do wody, wszystkie pałace wzniesione jeden przy drugim, a między nimi piękne parki. Gdy słuchałam opowiadań Giacoma, leżąc z zamkniętymi oczami i trzymając głowę na jego kolanach, wyobrażałam sobie własny świat z placami i nabrzeżami, po których będziemy się przechadzać ramię przy ramieniu. Fasady domów w moich marzeniach raczej niewiele przypominały te prawdziwe, miały za to swojskie i bezpieczne portyki i wewnętrzne dziedzińce, ponieważ tam mieszkała moja miłość i od dziecka tam się bawiła.

Wszystko się zmieniło, gdy zrozumiałam, że nigdy nie będę jego, a zatem, że to miasto nigdy nie będzie moje. Od tej chwili ani jednej myśli nie poświęciłam placowi Świętego Marka czy Canal Grande. Pogodziłam się ze świadomością, że nigdy nie odwiedzę laguny. A kiedy zdarzało się, że

wbrew moim życzeniom zaczynały powracać miejsca, które opisywał mi Giacomo, odpychałam owe wizje ze wszystkich sił. Tam, gdzie było światło, zapanowała ciemność. To, że nie chcemy o czymś myśleć, oczywiście wcale nie oznacza, że w naszych myślach nie ma tego obrazu. On tylko już nie błyszczy, staje się szary i matowy. Kiedyś do środka wpadało przez witraże światło, teraz niebo jest zaciągnięte. Tam, gdzie jeszcze niedawno wszystko mieniło się różnymi barwami, widać tylko grube linie ołowianych spoin i gołębie odchody na szkle.

Rzeczywistość przebiła wszystko: błoto na mostach, stosy śmieci w uliczkach, odór potu stłoczonych ciał, szczury żerujące w stertach odpadków. Wokół Rialto wisiał smród z pobliskiego targu rybnego. Na stopniach schodów leżały ptaki z łebkami poukręcany przez sprzedawców kukurydzy. Zewsząd dochodziły krzyki i przekleństwa, ponieważ ulice były przepełnione ludźmi. Ludzkie masy wpadały na siebie w *sottoportegi*. Ludzie torowali sobie drogę łokciami, żeby w ogóle poruszać się do przodu. Pod kościołami siedzieli żebracy, podtykający przechodniom pod nos zaropiałe kikuty.

- Niesamowite, jak bardzo ci ludzie tutaj pozostali sobą - westchnęła Zelida - bez cienia ustępstwa na rzecz nowoczesnych wygod! Tutaj przynajmniej nadal wiedzą, jaką wartość ma ich istnienie, ponieważ każdy łyk świeżego powietrza muszą sobie wywalczyć. Niechby coś takiego miało się dziać w ogrodach Tuileries!

*

Z czystej ciekawości prawdziwego życia Zelida gotowa byłaby zamieszkać w gospodzie pośród garbarzy, na szczęście jednak wynajęła już wcześniej piętro w Palazzo Cini. Gdy tylko się tam znalazłyśmy, brudne miasto wokół nas jakby się oddaliło. Grube mury stłumiły tumult, ciężkie draperie nie dopuszczały dymu i smrodu, ponadto wszystkie pokoje były wyposażone w przemyślny system wentylacyjny, który sprawiał, że po jednym pociągnięciu sznura zaczynała wiać świeża bryza. Tutaj się zabarykadowałam. Raz dziennie wybierałyśmy się na drugą stronę kanału na Piazzettę do biblioteki, a czasami płynęłyśmy na San Lazzaro obejrzeć in-

dyjskie miniatury i egipskie rękopisy przechowywane tam przez Ormian. Towarzystwom też Zelidzie w krótkich wypadach w konkretne miejsca, gdzie nie groziło mi, że niespodziewanie wpadnę na Giacoma, czyli do jej krawca lub do łaźni. W tej ostatniej trochę się odprężyłam. Zelida wybrała łaźnię w Cannaregio, niedaleko getta, odwiedzana głównie przez zwykłe kobiety z okolicy. Kilka razy w tygodniu płynęłyśmy tam zamkniętą gondolą i kryłyśmy się na mniej więcej dwie godziny w ciepłej parze, podczas gdy leciwa Ormianka masowała nasze ciała i nacierała je olejkiem. Były to bardzo cenne popołudnia, kiedy tak siedziałyśmy w milczeniu obok siebie, wolne od wszelkich myśli. Kolacje jadałyśmy przeważnie w domu, a jeśli byłyśmy gdzieś zaproszone, albo kiedy Zelida zapragnęła udać się do domu gry Ridotto, zawsze wynajdowałam jakiś pretekst, żeby z nią nie iść. Kiedy przyjmowała gości w domu, zostawałam w łóżku, mówiąc, że źle się czuję. Za oknami mego pokoju, wysokimi i wąskimi jak w' kaplicy, rozciągało się miasto ukryte w błękitnej poświacie lub błyszczące w jaskrawym słońcu, zawsze jednak dostatecznie odległe, abym mogła sobie wyobrazić, że jest to tylko odbicie w lustrze albo jakiś chwilowy sen, który zaraz się skończy.

On jednak trwał. Kuszący. Czyhający. Kiedy słyszałam ludzi śmiejących się na wodzie, zaczynałam uważać, że śmieją się z mojego tchórzostwa. Gorzej: słysząc jakiś głos przypominający głos Giacoma - a wydawało mi się tak dziesiątki razy dziennie - z największym trudem powstrzymywałam się, żeby nie podbiec do okna. Siedziałam na swoim miejscu rozdarta. W nadziei, że ból zmusi moją duszę do zapomnienia, wbijałam sobie paznokcie w ciało aż do krwi. Nie miało to sensu. Im bardziej próbowałam się odgrodzić, tym wyraźniej stawało mi przed oczami, że gdzieś wokół placów i targowisk, wśród skórek z jarzyn i okrawków mięsa mogłabym jeszcze znaleźć okruchy mojego szczęścia.

Kiedy już mi się wydawało, że ostatecznie postradam rozum, jeśli nie opuszczę natychmiast tego miasta, przyszedł ratunek. Zaczął się sezon teatralny. Pewnego dnia Zelida wróciła do domu rozradowana z biletem wstępu do loży Teatro Chrisostomo oraz kostiumami na galowy wieczór inauguracyjny. Nie od razu pojęłam, jakie to rozwiązanie samo wpada mi w ręce. Oczywiście odmówiłam, ponieważ jeśli gdzieś z pewnością mogłabym się natknąć na Giacoma, to właśnie przy takiej okazji, kiedy mógł spotkać ludzi ważnych dla swej przyszłej kariery. Ale gdy Zelida ubrała się w ko-

stium i przyszła mi się w nim pokazać, włożywszy trójgraniasty kapelusz oraz maskę, wtedy dopiero to do mnie dotarło: od października do grudnia, jak długo otwarte będą teatry, wolno chodzić po Wenecji zamaskowanym. W ten sposób będę mogła nierozpoznana wmieszać się między ludzi. Może nawet uda mi się jeszcze raz ujrzeć z bliska Giacoma, upewnić się, że jest szczęśliwy, może nawet zobaczyć z nim, oraz dostrzec, czy upragniona przezeń kariera, której tak pragnął, zaczęła już przybierać jakieś konkretne formy. Zelida, która nie miała pojęcia o duchu nawiedzającym mnie przez minione tygodnie, cieszyła się jak dziecko, że udało jej się przywrócić mnie do życia. Wcisnęła mnie w kostium, który kazała mi uszyć, zawiązała wszystkie tasiemki i tak jak robiłam jej zawsze przed wyjściem, mocno wyszczypała mi piersi, aby się zaróżowiły. Wybrała dla mnie *morette*, zakrywającą całą twarz maskę z czarnej skóry, którą przytrzymuje się na miejscu, ściskając zębami specjalny guzik. Nie dawało mi to niezbędnej pewności. Bałam się, że ze zdenerwowania ją upuszczę i w ten sposób zdradzę swoją tożsamość, ale Zelida z miejsca zgodziła się ze mną zamienić. Wyszło więc na to, że będę miała ładniejszą z dwóch masek. Była z białego aksamitu, wokół otworów na oczy ozdobiona małymi diamentkami. Dla mnie liczyło się tylko to, że dobrze zakrywała mi całą twarz, a mocowało się ją do włosów spinkami, tak że nawet w czasie najdzikszych tańców nie miała prawa spaść.

*

Nie zobaczyłam Giacoma. Przedstawienia też. Nie mogłam oderwać spojrzenia od tłumów wchodzących do teatru i wychodzących stamtąd. Oczywiście nikt z obecnych nie zwracał uwagi na treść samej sztuki, będącej jakąś lekką przeróbką przygód Marco Polo, bohatera republiki, którego dom rodzinny stał kiedyś w miejscu, gdzie teraz znajdował się teatr. Każdy był zajęty zdobywaniem odpowiedniej pozycji na zaczynający się sezon, albo w miarę możliwości jej polepszeniem. Hrabina Montereale nic a nic nie przesadziła, opowiadając mi w Pasiano o takich wieczorach. Otwarcie sezonu stanowiło jak najlepszą okazję, aby dopomóc swemu szczęściu, i każdy robił co mógł, starając się odebrać pierwszeństwo innym. Ściągając teraz na siebie

uwagę pięknnością lub bogactwem, ciętym komentarzem czy złośliwą plotką, można było sobie zapewnić na najbliższe miesiące zainteresowanie wszystkich i wstęp na wszystkie *soirées*. Z drugiej jednak strony wystarczyło jedno potknięcie, *faux pas* czy lapsus, by utracić wszelkie łaski, jakie zdobyło się w poprzednim roku. To właśnie było powodem, dla którego w Wenecji nosiło się maski. Nie ma w tym nic radosnego czy odświeżającego, jak myślą ci, którzy patrzą z boku. Tylko kryjąc się pod maską, można jakoś umknąć krepującej kontroli otoczenia i samemu wybierać, przed kim się odsłoniemy, a przed kim nie. Nierzadko jest to sprawa życia i śmierci. Człowiek, który zhańbi się w oczach innych, traci wszystko. Wówczas pozostaje mu jedynie samobójstwo albo dobrowolna banicja. Tylko niezłomnie obstając przy tym, że nie jest się osobą, za którą nas biorą i że pod maską kryje się ktoś inny, niż wszystkim się wydaje, można jeszcze jakoś zapobiec skandalowi i uniknąć najgorszego. Taki ktoś przeważnie nie odzyska już reputacji, ale przynajmniej nie straci życia.

W pewnym sensie uspokajało mnie, że na własne oczy widzę, jak bardzo ludzie w tym mieście dbają o rzeczy powierzchowne; utwierdziłam siebie w ten sposób w przekonaniu, że postąpiłam słusznie, odchodząc od Giacomina. Ani jednego dnia nie utrzymałby swojej pozycji, gdyby choć raz wyszło na jaw moje oszpecenie. Tym bardziej byłam ciekawa jego sukcesu. Im większy będzie, tym bardziej słuszna okaże się moja ofiara. A skoro już mniej będę żałować, to kto wie, może zelżeje też smutek na nowo rozniecony pobylem w tym mieście?

Tego wieczoru nie dostrzegłam ani śladu Giacomina. Wzbudziło to moje obawy, że być może przez ostatnie półtora roku nie osiągnął żadnego sukcesu. Zebrałam się na odwagę i zaczęłam rozpytywać o młodego *abbé* Casanovę. Większości pytanych nic to nazwisko nie mówiło. Tylko trzy osoby o nim słyszały; jedna twierdziła, że Giacomo przez czas jakiś był żołnierzem w forcie Sant'Andrea, druga, że próbował szczęścia w Rzymie, a zdaniem trzeciej przebywał teraz albo na Korfu, albo znalazł się w rękach muftiego Konstantynopola, takiego papieża Turków. Ponieważ żadna z owych osób nie miała pewności, starałam się nie wpadać w niepotrzebny niepokój.

Wtedy ujrzałam Adrianę! Była z mężem i kilkorgiem przyjaciół. Odruchowo rzuciłam się w jej stronę i już stałam przy niej, nie mogąc złapać tchu, kiedy jej zdumione spojrzenie uświadomiło mi, że przecież nie może mnie

poznać. Z przerażeniem pomyślałam, że jeśli regularnie widuje Giacomą, na co miałam nadzieję, to gdyby mnie poznała, na pewno bardzo szybko powiedziała mu o mojej obecności tutaj. Zachowałam więc anonimowość, wymieniałam z nią kilka zdawkowych uprzejmych słów, a potem spytałam niby to mimochodem o młodego *abbé*, którego zaprosiła swego czasu na ślub. Słyszając jego nazwisko, zaśmiała się lekko, jakbym była już kolejną damą, która o niego pyta. Dawno go już nie widziała, ale podała mi adres jego brata Francesca. Znała go dobrze, ponieważ studiując architekturę teatralną, zarabiał na życie jako artysta i przyozdobił jej kilka ścian obrazami przedstawiającymi bitwy morskie. Nie przedłużając konwersacji, pożegnałam się krótko i obojętnie, chociaż z radością oddałabym nawet rok życia, żeby tylko móc porozmawiać z Adrianą o panu De Pompignac i wspominać letnie miesiące w Pasiano, jej ukochaną matkę i moich własnych rodziców.

*

Następnego ranka wzięłam się na odwagę i około południa, ku zdumieniu Zelidy, wyszłam sama do miasta, oczywiście w masce Wynajęłam *traghetto* do San Samuele i szybko znalazłam wielki dom, w którym Giacomo stracił ojca. Tak ciepło mi o tym domu opowiadał, że miałam wrażenie, jakbym go znała; rzeźbiony anioł nad drzwiami, omszałe schody o zbyt wysokich stopniach, z marmurową głową lwa na szczycie, mocno wytarta, ponieważ każdy, kto wchodził, gładził dłonią grzywę. Zastałam Francesca w jego atelier na *piano nobile*. Jedna ściana była pokryta wielkim płótnem, na którym malował właśnie bitwę pod Lepanto. Wszędzie stały makiety jego dekoracji teatralnych i niezliczone modele najbardziej wymyślnych schodów i schodków, wykonane z drzewa orzechowego i palisandrowego, jedne wielkości kciuka, inne z kolei niemal człowieka. Francesco siedział, szkicując. Udawałam, że chciałabym coś zamówić i rozglądałam się wokół. Tak jak to przećwiczyłam w domu, pytałam o ceny i pomysły na plafon. Moje słowa brzmiały o wiele pewniej, niż się czułam, ale on i tak wiedział, o co chodzi.

- Pani szuka mojego brata, tak?

- Dlaczego pan tak sądzi?

- W atelier odwiedza się Tintoretta. Gdy ktoś chce, żebym mu coś namalował, to po mnie przysyła, i jeśli nie zjawię się w ciągu godziny, po prostu zleca pracę komu innemu. Jedyne osoby, które zadają sobie trud, by tutaj przyjść, są obrzydliwi starzy lichwiarze, którym jestem winien pieniądze, albo piękne młode kobiety, które pytają o Giacoma. Ma pani pecha. Nie ma go w mieście.

- Brzmi to jak odpowiedź, której udziela pan wszystkim dziewczętom.

Zaśmiał się.

- Ale tym razem tak jest w istocie.

Zmrużył oczy, jakby zamierzał namalować mój portret i spojrzał na mnie tak bezczelnie, że odruchowo sprawdziłam, czy maseczka na pewno jest na swoim miejscu.

- Czy my się aby nie znamy? - spytał.

- Nie wydaje mi się.

- Jest coś takiego w pani postawie...

Usiadłam. Francesco przyniósł coś do picia i położył przede mną na stole list. Sam sięgnął po arkusz papieru i zaczął coś szkicować, dając mi czas na spokojne przeczytanie. Poznałam charakter pisma Giacoma; list był skierowany do brata, wysłany całkiem niedawno z Turcji. Ton był taki jak między młodzieńcami, zupełnie inny od tego, jaki pamiętałam, i wprost nie do przyjęcia; Giacomo pisał, jak to oszukał dragomana przy wymianie pieniędzy, jak nauczył się palić nargile z tytoniem *zamanda*, i jak nie wolno mu było się nigdzie ruszać bez asysty janczara; jak ten ostatni pozwolił mu zajrzeć do haremu, a potem wyśmiał jego niewiedzę co do moralności muzułmańskich kobiet i udzielił mu lekcji na ten temat; następnie Giacomo zaczął się naśmiewać, że tamtejsze kobiety wolą obnażyć przed nim całe ciało niżli twarz, która wedle prawa musi zawsze pozostać zakryta.

- Giacomo ma skłonność do ładniejszego opisywania wszystkiego, niż my byśmy to zrobili - objaśnił Francesco, kiedy odłożyłam list, nie doczy-

tawszy go nawet do końca. - W tym, co pisze, nie ma nic złego. Po prostu postanowił brać z życia, co tylko się da, a jeśli zdarzy się dzień, w którym nie dzieje się nic szczególnego, to sobie coś wymyśla. Nie ma w tym nic nagannego.

- Oczywiście, że nie, bo i dlaczego? - zgodziłam się.

Poprosiłam Francesca, aby mi opowiedział, co słychać u jego brata. O ile zdążyłam się zorientować z odpowiedzi, kariera Giacomina nie rozwijała się tak szybko, jak zapewne by sobie tego życzył. Nie da się jednak zaprzeczyć, że mimo swojego niewysokiego pochodzenia, dzięki czarowi osobistemu oraz erudycji udało mu się w krótkim czasie zdobyć przychylność wielu wpływowych osób, zarówno w obrębie Republiki Weneckiej jak i w Watykanie, tak że wszystko zdawało się wskazywać na to, że po powrocie gwiazdy powinny mu sprzyjać.

- A co w miłości?- chciałam zapytać. - Czy jego przymioty i w tej dziedzinie pozwalają mu odnosić sukcesy?

Nie zdobyłam się jednak na odwagę i wstałam, by odejść.

- Co się tyczy jego miłości... - zaczął Francesco. Nie kończąc zdania, położył na stole rysunek, który szkicował, gdy czytałam list Giacomina i odwrócił go w moją stronę.

- Ładne - przyznałam. - Kogo przedstawia?

Moja sukienka, moje włosy, moja postawa. Tylko maski nie narysował. Zamiast tego widniała moja twarz taka, jaka była kiedyś, jaką zapamiętał ze swej wizyty w Pasiano i jaka w jego wyobrażeniu nadal była. Udało mi się nie zdradzić, przestudiowałam uważnie portret i odsunęłam go od siebie, nie wykazując większego zainteresowania.

- A jego miłości?

- Są tutaj.

- Bardzo ładne.

- Pod każdym względem.

- No proszę - rzuciłam, odwracając się, by umknąć jego spojrzeniu, gdyż

cały czas się we mnie wpatrywał. Stałam teraz przy obrazie przedstawiającym bitwę morską; zaczęłam go studiować, zupełnie jakbym się na tym znała.

- Chwyta jedną po drugiej, czasem nawet kilka naraz.

Fale były czerwone od krwi. Turecka flota została rozbita. Jej dowódca tonął między wiosłami weneckiego trójrzędowca. Rozwiązany turban dryfował po powierzchni niby długa złota wstęga.

- Jak pani myśli, dlaczego tak się dzieje? - spytał Francesco napastliwie.

- Słucham?

- Jak pani się zdaje, czemu mój brat jest taki nienasycony?

- Mnie pan pyta? A skąd właśnie ja miałabym to wiedzieć?

- Naprawdę?

- Naprawdę. Wiem tylko, iż bardzo się cieszę, że przynajmniej miłości mu nie brakuje.

- Jest pani pewna?

Stałam tak blisko wielkiego płótna, że aż zadrżało na blejtramic; przez całą jego szerokość przebiegła drobna zmarszczka. Opanowałam się i chciałam się pożegnać, lecz Francesco kontynuował pełnym wyrzutu tonem:

- To nigdy nie trwa długo, taka fascynacja. Jedną noc, najwyżej kilka, a potem jego spojrzenie pada na następną.

- Ma pan taką minę, jakby to miało być jakieś straszne cierpienie dla młodzieńca.

- Nie dla niego. Wprost przeciwnie. W ten sposób Giacomo zawsze o krok wyprzedza rozczarowanie. Tego zdążył się już nauczyć.

Teraz naprawdę chciałam wyjść i pobiegłam do drzwi. Francesco ruszył za mną. W dłoniach trzymał rysunek, na którym mnie sportretował. Wahał się przez moment, nieporadnie obracając szkic w dłoniach, jakby chciał mi go podarować, ale nie wiedział, czy może. Wskazał na przedstawioną tam postać.

- A więc nie zna jej pani?

Pokręciłam głową przecząco. Wtedy podarł rysunek i wrzucił strzępy do kanału. Odpływały powoli.

- Na wszystkie świętości zapewniam, że nie ma drugiej osoby, która by tak wyglądała.

Papier szerniał. Tusz rozmazał się pod wpływem wody.

TLR

6.

Powoli wszystko się rozmywało. Kontury bladły. Światło załamywało się na mgiełce pary, tak że kształty wokół traciły ostrość. Czasem widziałam błysk nagiego ciała, słyszałam oddalone westchnienie czy chlupot wody. Pomiedzy jednym a drugim takim odgłosem miałam poczucie, że jestem tu sama. Moje myśli ulatywały. Zanurzone w parze, rozpuszczały się jak głowa cukru w wodzie. Nie żeby znikwały, tylko pojawiał się w nich jakiś ruch, były mniej surowe i twarde. Nabierały lżejszego charakteru, już przez samo to, że nie zbijały się w jeden kłęb, tylko rozchodziły, zupełnie jakby troski rozprzestrzeniały się równo po całym moim ciele, zamiast leżeć mi całym ciężarem na żołądku. Niekiedy mgiełkę przerywał podmuch gorącego oddechu i odsłaniał Zelidę. Siedziała naprzeciwko mnie i od czasu do czasu na moment rozdmuchiwała dzielący nas biały welon mgły, żeby sprawdzić, czy jeszcze tu jestem, i co się ze mną dzieje.

Kiedy zdenerwowana powróciłam do palazzo Cini z mojej wyprawy, czyniąc sobie wyrzuty, że przez moją nędną ciekawość sama więcej zdradziłam, niż chciałam, żeby mi zdradzono, Zelida stała przed domem na wąskim mostku wiodącym do San Vio, zupełnie jakby na mnie czekając. Zdjęła mi maseczkę. Wystarczył jej jeden rzut oka. Pojęła wszystko, nie zadając żadnych pytań. Nawet o tym nie wiedząc, postępowała w sposób oczywisty, tak jak matka, która kiedy dziecko się przewróci, pociesza je nie poprzez głaskanie stłuczonego miejsca, tylko wczuwając się w ból malca i już przez to samo przynosząc mu ulgę. Łagodnie, ale ruchem nieznoszącym sprzeciwu posadziła mnie^w gondoli i popłynęłyśmy do łaźni w Cannaregio. Tam rozebrała mnie i obmyła, a potem owinęła prześcieradłem i powiodła do strefy z parą. Wdrapałam się na jedną z kamiennych ław w kącie i objęłam rękami podciągnięte pod brodę kolana.

I tak siedziałam.

- Wstyd to jeden z najniższych popędów - powiedziała Zelida. - Umieszczam go na drabinie kultury gdzieś między zemstą a zazdrością. To

destrukcyjna siła, żywiąca się strachem. - Słyszałam ją tuż obok, ale nie mogłam jej dostrzec. - Nosimy to niebezpieczeństwo w sobie, tak jak zawsze dźwigamy ze sobą wszystkie naturalne obciążenia, ale musimy je zwalczać. Musimy!

O, jest. Jej twarz niespodziewanie znalazła się tuż przy mojej.

- Co tu widać? - Jej spojrzenie. Poczułam się nieswojo.

- To żadne wyzwanie widzieć to, co jest... - szepnęła. Patrzyłam jej w oczy. Chyba nigdy przedtem nie byliśmy tak blisko siebie. Po jej czole spłynęło kilka kropel, jedna zawisała na czubku nosa. - Nie chciałabyś stoczyć tej bitwy, Galateo? Bitwy ze wstydem? Bardzo proszę. Teraz to jeszcze możliwe. Pomogę ci, jeśli zechcesz. - Ujęła na chwilę moją dłoń i ucisnęła dla dodania mi otuchy. - Skoro ja bez żadnego trudu potrafiłam dostrzec, o co chodzi, to czy nie myślisz, że inni też mogą?

I odeszła. Pozostawiła za sobą ślad w oparach i położyła się na ławce naprzeciwko, plecami do mnie. Przeciągnęła się i westchnęła odprężona.

- Dlatego lubię być naga, bardziej jeszcze wśród innych, niż kiedy jestem sama. Czy ty tego tak nie czujesz? Właśnie wśród innych! To przewyciężenie naszej natury, kiedy czujemy, że wolno nam tak się zachowywać.

Potem zapadła długa cisza i pomyślałam sobie, iż może Zelida zasnęła. Para gęstniała. Wtedy usłyszałam, jak się odwraca, mokra skóra przyssała się na moment do gładkiego kamienia.

-Naprawdę, cnotliwość to coś wyłącznie dla najniższych warstw. Tacy ludzie są niewykształceni i bojaźliwi. Aby jakoś zrozumieć swój świat, potrzebują nakazów i zakazów. W lepszych sferach tego nie ma. Jeszcze nigdy nie byłam na dworze, gdzie ktoś przejmowałby się kwestią cnotliwości.

Potrafię. Jak najbardziej potrafię. Czy będę jeszcze kiedykolwiek miała szansę doświadczyć takiej przyjaźni? Odwinęłam prześcieradło i odłożyłam je na bok. Kilkakrotnie mocno dmuchnęłam, aż wreszcie zobaczyłam ją przed sobą i pozwoliłam jej spokojnie patrzeć na to, czego od tak dawna pragnęła. Co chwila tak dmuchałyśmy, żeby między nami nic nie było.

*

Już wtedy była chora. Jady zżerały ją od środka, tak że jej wygląd pozostał niezmienny aż do samego końca i przez długi czas niczego się nie domyślałam. Kiedy zaczęły się bóle, ukrywała je przede mną, jak długo się dało, w obawie, że poszukam zajęcia gdzie indziej. Zostałam u niej jeszcze cztery lata. Przez cały ten czas mieszkaliśmy w Vincennes. Pierwsze miesiące były prawdziwym świętem. Całymi dniami chodziłyśmy razem po Paryżu.

Z dumą właściwą wszystkim Francuzom Zelida pokazywała mi cuda swojego miasta. Była popularna w najznajniejszych kręgach. Odwiedzaliśmy wielu uczonych profesorów, którzy pragnęli usłyszeć o jej podróży i odkryciach pod Neapolem. Przedstawiała mnie jako równą sobie, serdeczną przyjaciółkę, którą zawsze tak bardzo pragnęła mieć. Dlatego oczekiwano, że będę zabierać głos we wszystkich omawianych kwestiach, przez co nauczyłam się konwersacji na modłę francuską, wymagającej bezustannej zonglerki słowami i argumentami. Kiedy zaczęły się krwawienia i Zelida musiała pozostać w łóżku, mnie jedynej wolno było się nią opiekować. Ten stopniowy upadek trwał całe trzy lata. Na koniec sama przygotowałam ją do pochówku i pogrzebałam. Zelida zostawiła testament, w którym zostałam uwzględniona. Większą część fortuny pochłonęły eksperymenty i badania - „została roztrwoniona”, jak określił to notariusz. Reszta zgodnie z prawem przypadła dzieciom jej zmarłego męża. Mnie zostawiła całą metalową i szklaną aparaturę, gromadzoną przez lata do eksperymentów. Wypełniała ona wszystkie wozownie i maneż. Trzy miesiące zajęło mi zinventaryzowanie mego spadku. Wreszcie znalazłam kotlarza, który zgodził się kupić całość za pięć luidorów, akurat tyle, bym mogła przeżyć jakoś dwa miesiące.

*

W miarę utraty sił Zelida coraz rozpaczliwiej czepiała się „nauki”, cho-

ciaż jednocześnie coraz mniej było jasne, co przez to rozumie. Jej niechęć do stawiania rozumu ponad uczucia często przybierała karykaturalne formy nieuzasadnionego entuzjazmu oraz irracjonalnych zainteresowań. Obstawała przy swoim w sposób, który coraz bardziej oddalał ją od znajomych i przyjaciół. Rzucała się w najdziwniejsze przedsięwzięcia, zupełnie jakby miała nadzieję, że może jednak znajdzie w nich uzdrowienie. W tym samym czasie nauka stała się w Europie tak bardzo modna i tak namnożyło się dziedzin, w których dokonano nowych odkryć, że sprawiało to wrażenie, jakby zajmowali się nią już wszyscy, coraz trudniej więc było odróżnić poważnych uczonych od pospolitych oszustów i różnej maści spryciarzy. Wielu z nich zerowało na łatwowierności Zelidy i nawet jeśli ich przejrzała, to nie przedstawiała finansować, ponieważ im bardziej czuła zbliżający się koniec, tym ważniejsze było dla niej mieć jakąś nadzieję, niż spojrzeć prawdzie prosto w oczy.

Chociaż robiłam, co w mojej mocy, by oddzielić ziarno od plew, i udało mi się wygnać spod drzwi niejednego szarlatana, to jednak Zelida oddawała się niezliczonym mrzonkom, które ją tak uskrzydlały, że nie miałam sumienia owych nadziei jej odbierać. Jedną z nich była obsesja na temat przemieszczania się bez wysiłku i bez korzystania z wierzchowca. W tym celu zakupiła od spadkobierców Papina oryginalne plany jego statku parowego, który zamierzała kazać zbudować na Marnie. Aby wytworzyć niezbędną ilość pary, pojazd musiał zabrać na pokład tyle drewna, że prawie nie było już miejsca dla załogi, nie mówiąc już o tym, by mógł on przewozić jakieś ładunki, ale jej to nie przeszkadzało. Sprowadziła z Anglii inżyniera, by zapoznał ją z zasadami działania pompy parowej Newcomena, ogromnej maszyny z wielkimi zaworami i cylindrami, liczącej sobie już prawie pół wieku i zarzuconej, jako nieprzydatnej. Kiedy także holenderska maszyna parowa Meijera i pompa powietrzna nie spełniły pokładanych w nich nadziei, Zelida kazała opróżnić salon, tak aby można tam było zamontować urządzenie elektryczne, które za pomocą tak zwanej butelki lejdejskiej wytwarzało energię elektrostatyczną. Był to przerażający spektakl, a schodziło się nań pół Paryża. Tygodniami przyjmowałyśmy gości pragnących, by zademonstrowano im owo zjawisko, aż wreszcie Zelida zamknęła drzwi swego domu na dobre, rozgniewana, że goście widzą tylko rozrywkę w wynalazku, w którym ona upatrywała ratunek dla człowieka. Sfrustrowana, że w żaden sposób nie potrafi wykorzystać dla dobra ogólnego elektrycz-

ności, którą widzi na własne oczy oraz że, co gorsza, nie potrafi podać rozsądnej przyczyny czy wyjaśnienia jej istoty, zwątpiła w resztki swej zdolności sądenia. Jej credo brzmiało teraz *Observe ergo est*

- postrzegam, a więc tak jest! Tym samym otworzyła drogę wszelkiej maści szarlatanom, którzy potrafili wzbudzić jej entuzjazm dla wszystkiego, co potrafili przekonująco zademonstrować. I tak na przykład przez czas jakiś gościliśmy pewnego młodego człowieka z Neuchatél, który budował androidy, mechaniczne lalki grające w szachy, piszące i komponujące, niejakiego hrabiego Saint Germain, który dowiódł skuteczności swego eliksiru życia, opowiadając o tym, jak towarzysząc Jezusowi, był naocznym świadkiem cudu w Kanie Galilejskiej, oraz pewnego medyka, przekonanego, że potrafi wyleczyć chorobę Zelidy za pomocą tyromancji, czyli inaczej odczytywania przyszłości z kawałka sera.

*

Z początku wciągała mnie we wszystkie swoje eksperymenty, bardzo szybko jednak zaczęła żyć nimi we własnym świecie. Mój sceptycyzm ją drażnił. Nasze rozmowy stały się mniej osobiste, a w końcu bardziej byłam już dla niej pożyteczna jako służąca niż jako przyjaciółka. Mogła wówczas skorzystać z mojej pomocy, kiedy tego potrzebowała, nie musiała już natomiast słuchać rad, których nie przestałam jej udzielać nawet jako służąca. W ten sposób obie byłyśmy zadowolone i nie przeszkadzałyśmy sobie nawzajem. Dopiero w ostatnich tygodniach jej życia znowu prowadziłyśmy tak osobiste rozmowy jak dawniej. Już nie wychodziła z łóżka, pracowała jednak więcej niż kiedykolwiek, rysując na specjalnym pulpicie, który zawsze miała pod ręką. Projektowała różne statki powietrzne, jeden po drugim, czasem trzy a nawet cztery dziennie, każdy inny w kształcie i sposobie działania.

Ten pomysł przyszedł jej do głowy całkiem niedawno, kiedy siedząc nad stawem na dziedzińcu, zobaczyłyśmy rybę, która wynurzyła się, połykając powietrze. Wypełniła się powietrzem prawie do kształtu kuli, tak że bez trudu utrzymywała się na powierzchni wody. Kiedy już miała dosyć, pozwoliła, żeby powietrze z niej uszło i z powrotem opuściła się na dno.

- Skoro ta zasada działa w wodzie - powiedziała nagle Zelida - to dlaczego nie miałyby działać poza nią.

Była święcie przekonana, że wychodząc z tego założenia dokona odkrycia, dzięki któremu przez wieki będzie się wspominać jej imię, jeśli tylko wystarczy jej czasu na dopracowanie tej myśli. Każdy inny człowiek podszedłby do zadania praktycznie i racjonalnie, formułując na początku prawa rządzące przebiegiem tego zjawiska, Zelida natomiast, słysząc już głośnie tykanie swojego zegara, dla ułatwienia przeskoczyła ten etap. Intuicja mówiła jej, że jest na właściwym tropie. To jej wystarczyło, więc aby nie tracić niepotrzebnie czasu, zaczęła od razu fantazjować na temat zastosowania nowego wynalazku. Zapełniała całe arkusze papieru rysunkami sprężyn, kółeczek oraz zagadkowymi wzorami. Jeśli tylko pojawiał się problem jakichkolwiek technicznych zasad działania, to ukrywała newralgiczne miejsca za kolorowymi balonami albo ozdabiała je ornamentami, od których można było dostać zawrotów głowy. Do najdrobniejszego szczegółu dopracowała rysunki załogi swoich statków powietrznych. Lotnicy nosili sztywny mundur, a pasażerowie opierali się swobodnie o balustradę.

Kiedy zawracałam jej głowę pytaniami, w jaki sposób maszyny miałyby się wznieść w powietrze, była urażona. „To tajemnica!”, mówiła, zdradzając tylko, że będą napędzane czymś, co nazywała *soupe*. Był to jakiś płyn, który trzeba było aktywować inną, jeszcze bardziej tajemniczą cieczą. Tę ostatnią, koloru zielonego, trzeba było zmieszać z wodą i - jak pokazywała jedna z ilustracji - wypuszczać kroplami na rozżarzone węgle, wskutek czego powstawał różowy gaz, odrywający po prostu maszyny od ziemi. Przypuszczałam, że być może choroba dotarła już do mózgu i zaatakowała go od wewnątrz. Na zewnątrz Zelida była wciąż równie piękna, miała jednak gorączkę, postanowiłam więc, że już nie będę konfrontować jej z rzeczywistością.

Oczywiście zdarzały się momenty jaśniejsze. Wtedy Zelida wybuchła płaczem, jakby sama sobie uświadamiała, że w swojej wędrówce zgubiła gdzieś drogę. W owych godzinach siedziałam przy niej, tak jak ktoś starszy siedzi przy dziecku.

- Co będziesz robić? - spytała któregoś razu.

- Teraz każę nastawić bulion, a potem spróbujemy razem trochę go zjeść.

- Nie chodzi mi o teraz - ucięła szorstko, ponieważ nie chciała już marnować czasu na czcze pogaduszki. - Myślę o potem. Kiedy mnie już nie będzie. Co wtedy zamierzasz?

- Lepiej zapytaj, czego nie będę robiła! - Mój lekki ton wywarł skutek zupełnie odwrotny od zamierzonego i przez chwilę myślałam, że Zelida znowu wpada w melancholię.

- Może to właśnie jest najgorsze - wymamrotała cicho pod nosem - właśnie, najgorsze, że wszystko będzie sobie szło dalej, a ja już się nie dowiem, jak się skończyło.

- Nie martw się o mnie. Świat stoi przede mną otworem. Wszystko jest możliwe. Gdy przyjdzie czas, zacznę się zastanawiać.

Zelida próbowała usiąść prosto. Pomogłam jej, podsuwając poduszki pod plecy. Nagle schwyciła mnie za rękę.

- Człowiek może w nieskończoność wybierać spośród wielu rzeczy, ale między nimi zawsze jest ta jedna, której pragnie najbardziej. Pamiętaj o tym!

Obiecałam, że będę pamiętała, ale nie spodobał się jej mój ton. Na pewno się zorientowała, że mówię to tylko z uprzejmości, tak jak w ostatnich dniach wiele rzeczy mówiłam tylko po to, aby sprawić jej przyjemność i oderwać jej myśli od choroby. Tym razem nie dała się zwieść i na chwilę odzyskała dawny ogień.

- Rozum podsuwa nam mnóstwo możliwości w jednym i tym samym czasie. Intuicja bezbłędnie wybiera spośród nich najlepszą. Jeśli zachowasz tę zdolność, nigdy się nie pomylisz i zawsze będziesz dokonywała właściwych wyborów.

-Zawsze?

- Zawsze!

- Nawet w sprawach serca?

-W nich najbardziej! Nie bądź niemądra. Ach, to przecież takie proste, a tymczasem ludzie potrafią przeżyć całe życie, nie dostrzegając tej sprawy. Posłuchaj: to kwestia zamknięcia oczu i zrobienia tego, co pierwsze przyjdzie ci na myśl. Słyszysz? To wszystko. Człowiek zawsze może chcieć tylko

jednej rzeczy naraz.

Długo siedziałyśmy potem, trzymając się za ręce. Było to nasze pożegnanie i obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę. Chociaż żyła potem jeszcze kilka dni, to był ów moment, kiedy rozeszłyśmy się bez słów. W końcu wstałam, aby kazać przynieść bulion. Ucałowałam ją jeszcze w czoło, ale miała już w dłoniach podkładkę i rysowała kolejny statek powietrzny. Z koniuszkiem języka między zębami szkicowała podróżującą parę małżeńską, pijącą herbatę w chmurach przy stoliku na zewnętrznym pokładzie. Zelida napisała obok, że stół ma być nakryty adamaszkowym obrusem, a sztucce muszą być z prawdziwego srebra.

*

Cały rok 1749 był nadzwyczajnie ciepły. W sierpniu zrobiło się wręcz nie do wytrzymania. Za dnia lał się z nieba żar, noce prawie nie dawały ochłody. Opuściłam Vincennes, mając ze sobą kilka książek i tyle ubrań, ile mogłam na siebie włożyć, ale i tak zanim jeszcze doszłam do gościńca, musiałam zdjąć wierzchnią warstwę i zostawić gdzieś w zagajniku.

Skończyłam wtedy dwadzieścia lat, żadnej rodziny ani bliskich nie było w pobliżu, a jako bagaż miałam niewiele więcej ponad lekcje, jakich zechcieli udzielić mi Zelida i monsieur De Pompignac. Ponieważ obydwójce już nie żyli, doszłam do wniosku, że w każdym razie ani jej egzaltacja, ani jego rozsądek nie na wiele się zdały. Wszystkie drogi stały przede mną otworem. Kilka lat temu, opuszczając Pasiano, udałam się na południe. Tym razem wybrałam kierunek przeciwny.

Ciągnęło mnie do Amsterdamu. To była pierwsza nazwa miasta, jakiej nauczył mnie pan De Pompignac. Co chwila się na nią natykałam, zwłaszcza w książkach, jakie dawał mi do czytania. Wszystkie najważniejsze były drukowane w Holandii, kraju, w którym -jak powiadał monsieur De Pompignac - znaleźli spokojną przystań Kartezjusz i Spinoza. Od czasu do czasu z wielką estymą otwierał jakiś wolumin na stronie tytułowej, pokazywał nazwisko drukarza i wychwalał Holendrów za swobodę myśli. Uważał lud

Batawów za bogaty, porządny i tolerancyjny, chrześcijański lud, co brało się z tego, że traktowano tam wszystkich jako równych i nikt nie wahał się wypowiedzieć własnego zdania. Ponieważ Batawowie prowadzili handel na całym świecie, wraz z pieprzem i herbatą przywozili też poglądy innych narodów. Znaleźli w tym kraju schronienie ludzie tacy jak John Locke czy Pierre Bayle i wychwalali tamtejszą atmosferę, gdyż pozwalano im swobodnie myśleć i swobodnie się przemieszczać. Z biblioteki signory Manzolini w Bolonii znałam *Systema Naturae* oraz *Fundamenta botanica* z owymi wszystkimi kwiatkami i źdźbłami, które Karol Linneusz studiował w amsterdamskim Ogrodzie Botanicznym. Już na samą myśl o tym mieście wyobrażałam sobie raj, gdzie pośród kwiatów całego świata rozkwita także ludzki umysł i wszelkie nauki.

Przy drodze między Paryżem a Vincennes drzewa były przycięte wedle najnowszej mody. Ledwie dawały trochę cienia ptactwu, które siedziało pod nimi z otwartymi dziobami i rozpostartymi skrzydłami, próbując jakoś przetrwać. Daremnie wypatrywałam pojazdu, aby zabrać się z nim do Mairais, skąd jeździły powozy na północ. Zanim jeszcze przebyłam pierwszą z sześciu mil dzielących mnie od miasta, już kąpałam się w pocie. Znalazłszy się przy mostku nad rzeczką, nie wahałam się więc ani chwili i zanurzyłam w wodzie, szukając ochłody w cieniu fiiarów. Potem włożyłam na siebie tylko tyle rzeczy, by wyglądać w miarę przyzwoicie. Ze spodniej bielizny zrobiłam tobołek i upchnęłam jakoś pozostałą sztukę odzieży. Kiedy wdrapałam się z powrotem na górę, zobaczyłam zbliżającego się drogą człowieka. Szedł zatoniony w myślach, przekładając jakieś kartki, i w ogóle na mnie nie patrzył. Był już oddalony zaledwie o dziesięć kroków, gdy niespodziewanie stanął jak wryty. Wydał z siebie okrzyk i złapał się za głowę, jakby ktoś go uderzył kamieniem, ale to tylko słowa, jakie właśnie przeczytał mało go nie zmiażdżyły. Z trudem łapał powietrze, jakby był ciężko ranny, i po omacku szukał rękami oparcia. Podbiegłam doń i pomogłam mu usiąść. Zupełnie nie zareagował, kiedy się do niego odezwałam. Pomyślałam, że może to z gorąca i

pobiegłam, żeby zaczerpnąć trochę wody, ale kiedy wróciłam, mężczyzna był w zbytnej euforii, by myśleć o picciu.

- No bo to chyba prawda? - wykrzyknął, chwytając moje dłonie, jakby chciał puścić się ze mną w tany. - Cóż to za ciekawość chcieć wiedzieć, jak się rzeczy mają? Kalkulują wszystko z chciwości i gdyby nie byli nieprawi, nie byłoby potrzeby studiowania prawa! No bo pomyśl, bez wojen i spisków nie byłoby nawet historii!

Powiedziawszy te słowa, wybuchnął szlochem. Zrozumiałam, że jest gorzej, niż mi się zdawało i próbowałam się uwolnić. Kiedy ów człowiek zobaczył mój strach, zaczął mnie usilnie przeproszać.

- Bardzo przepraszam, idę właśnie do Vincennes... Mój przyjaciel - mówił, zacinając się - siedzi w więzieniu. Właśnie do niego idę i sobie czytałem... Mogłem wziąć każdą inną książkę, a tymczasem dzisiaj rano zupełnie przypadkiem wybrałem właśnie tą. Czy to nie zdumiewające? I czytam sobie tutaj... tak ni stąd, ni zowąd czytam coś takiego! - Nie mógł więcej powiedzieć, tylko wcisnął mi w rękę *Mercure de France* i wskazał wydrukowane tam ogłoszenie. Wykorzystałam tę sposobność, by się uwolnić i szybko zostawiłam go za sobą całkowicie oszołomionego na skraju drogi.

Dopiero później, kiedy już miałam pewne miejsce w powozie i ruszyliśmy stępa na północ, przeczytałam, co tak zdruzgotało tego szaleńca. Było to ogłoszenie Akademii z Dijon zapraszające do wzięcia udziału w konkursie na rozprawę. Proponowany temat brzmiał: „Czy postęp w nauce i sztuce przyczynił się do upadku czy poprawy porządku moralnego?”. Nie mam pojęcia, w każdym razie nie pewno nie przyczynił się do zwiększenia poczucia bezpieczeństwa na drogach. To przerażające, ilu wariatów się dzisiaj spotyka. Z wdzięczności, że wyszłam z tego spotkania bez szwanku, odmówiłam modlitwę. Gazetę wyrzuciłam z powozu przez otwarte okno, lecz aż do Senslis prześladował mnie nieokreślony smutek. Najbardziej kojarzył mi się on z bezsilnością, jaką odczuwałam pewnego wieczoru w Pasiano, będąc małą dziewczynką, kiedy leżąc w łóżku, przysłuchiwałam się rozmowie dorosłych na tarasie. Z brzmienia ich głosów domyślałam się, że omawiają jakieś pasjonujące sprawy o niezwykłym znaczeniu, ale mimo najszczerzych wysiłków zbyt mało wiedziałam o tym, co mówili, by cokolwiek pojąć.

III

THEATRUM AMATORIUM

TLR

Każdej jesieni moi rodzice spędzali jakieś dwa tygodnie u wuja i wujenki w Belluno. Żyło tam podobno więcej dzików niż w Pasiano, a jelenie były mniej płochliwe. Ponadto, jak powiadano, na polach zbierały się całe stada kuropatw i pierzchały myśliwym spod nóg. Kiedy ojciec wychodził ze swoim bratem na polowanie, moja mama ze szwagierką szły do lasu szukać jagód, jeżyn i grzybów.

Po południu wszyscy schodzili się, żeby oprawić i nasolić upolowaną zwierzynę, umyć i wysuszyć grzyby oraz ugotować i zakonserwować zebrane w lesie owoce.

Radość z powrotu rodziców zawsze przewyższała smutek, jaki odczuwałam pod ich nieobecność. Potem ojciec z matką rozpakowywali w kuchni przywiezione przez siebie ciężkie torby. Układali w spiżarni wszystkie smakołyki, które miały nam potem wystarczyć aż do wiosny, i pozwalali mi spróbować kandyzowanych orzechów i konfitur z czerwonych jagód, a mama opowiadała - dopóki jeszcze dawałam się na to nabierać - że wuj i wujenka mieszkają w Krainie Pieczonych Gołąbków na cukrowej górze w pobliżu jeziora pełnego wina.

Kiedy miałam już sześć lat, rodzice uznali, że jestem wystarczająco duża, żeby następnego roku z nimi pojechać. Górę porastał gęsty las, a jezioro było czarne od gnijących liści. Na jego brzegu znajdowało się malutkie gospodarstwo. Wuj i wujenka byli prostymi ludźmi. Mieli syna, Geppo, którego kochali nad życie. Miał

o jakieś dziesięć lat więcej ode mnie i był niedorozwinięty. Od młodości trzymano go na łańcuchu. Kiedy rankiem wychodziliśmy do lasu, żeby zbierać te wszystkie wspaniałości, słyszeliśmy, jak kuzyn szarpie łańcuchem, chcąc z nami iść. Ilekroć ten odgłos niósł się przez las, wujenka z trudem powstrzymywała się, by nie wrócić do syna i go nie pocieszyć. Wujostwo nie mieli odwagi pozwolić mu poruszać się swobodnie, tak bardzo się bali, że coś mu się przytrafi. Po południu ustawialiśmy niedaleko niego wielki stół, przy którym siadaliśmy wszyscy, a on cieszył się naszą obecnością. Czasami siadał przy nas i pomagał przebierać orzechy.

W ciepłe dni lubił sobie popływać. Była to jego największa radość, za którą oddałby życie. Potrafił godzinami bez chwili odpoczynku szaleć w jeziorze. Był szeroki w barach, silny i wydawał się niezmordowany, gdy tam się znalazł. Mimo to za nic nie chciał wejść do wody, jeśli nie został przewiązany w pasie mocną liną. Drugi koniec liny trzymał mój wuj i jeśli poczuł jakieś nieoczekiwane szarpnięcie, gdy mój kuzyn za głęboko zanurkował, albo odpłynął zbyt daleko od brzegu, mógł natychmiast pośpieszyć synowi na ratunek, chociaż tamten był lepszym pływakiem od niego i nigdy nic mu w wodzie nie groziło.

Przez pierwsze dwa lata bałam się sama podejść do Geppa. Ale następnej jesieni poznałam go bliżej. Skręciłam sobie nogę w kostce na skalnej ścieżce i nie mogłam iść z dorosłymi do lasu. Z nudów przekuśtykałam przez całe obejście, żeby przyjrzeć się mojemu głupiemu kuzynowi. Pomachał do mnie, żebym podeszła i próbował złapać mnie za nogę. Kiedy mu wreszcie pozwoliłam to zrobić, okazało się, że ma bardzo delikatne dłonie. Chyba przez parę godzin masował mi stopy i opuchniętą kostkę. Robił to z całkowitym oddaniem, jakby na całym świecie nic poza tym nie było, a kiedy skończył, mogłam stanąć na nogach bez żadnego bólu.

W ciągu następnych dni zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Opowiadałam mu o Pasiano, o tym, jak tam żyliśmy, o pani hrabinie i panu hrabim, i o ich gościach. Pod koniec pierwszego tygodnia Geppo nagle mi przerwał. Przestraszyłam się, bo jeszcze nigdy przedtem nie słyszałam, żeby się odezwał, ale mówił zrozumiale, chociaż najczęściej nie było wiadomo, o co mu chodzi, a w dodatku na końcu każdego zdania niepowstrzymanie śmiał się z własnych słów.

Przez cały następny tydzień bawiliśmy się razem, i kiedy chciał popływać, pływałam razem z nim, dopóki się nie zmęczyłam.

W pewnej chwili powiedziałam z westchnieniem, że to straszne, że rodzice trzymają go na łańcuchu. Jak zwykle nie zareagował i zdążyłam już nagadać się o mnóstwie innych rzeczy, kiedy nagle przerwał mi w pół zdania:

- To prawda - powiedział głośno i wyraźnie - dlatego mnie tak lubią, że mam taką ubogą głowę. - Zaczął się z tego śmiać, aż się zakaszłał, a kiedy już doszedł do siebie, dokończył: - Bo wtedy lepiej wiedzą, jakie bogate są ich

własne głowy.

Kiedy następnego roku przybyliśmy do Belluno, wuj i Geppo nie żyli. Pewnego letniego dnia utopili się obaj, gdy lina Geppa zaczepiła się o podwodny konar. Najpierw przytrzymała pod wodą chłopaka, a kiedy wuj chciał ratować syna, również został wciągnięty pod wodę. Ojciec sam chodził na polowania, a ja z matką dotrzymywałam towarzystwa wujence. W mojej obecności trzymała się jakoś. Tylko raz widziałam, jak płacze. Moja mama gotowała jagody, ja je dosładzałam, a wujenka przecierała przez stalowe sito. Mimo ogromnej rozpaczyny nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, widziałam tylko wielkie łzy kapiące do owoców.

- Tak wiele zostało mi dane - powiedziała bardziej do siebie niż do nas - Byłoby przecież niewdzięcznością, gdybym nie trzymała tego szczęścia obiema rękami.

Po tych słowach ocknęła się z rozmyślań, zobaczyła mnie przy sobie i przycisnęła mnie do piersi tak zachłannie, że całe włosy miałam w owocach. Nigdy więcej nie okazała swojej rozpaczyny, ale kiedy zimą skosztowałyśmy przetworów z jagód, okazały się słone.

1.

AMSTERDAM 1758

Kobiety siedziały na niskich stołeczkach, w miarę możliwości zwrócone plecami do widzów. Głowy trzymały nisko, ramiona miały uniesione, z obawy, żeby nie dosięgnął ich jakiś twardy przedmiot. Właściwie powinny się raczej odwrócić, żeby móc zobaczyć, kiedy i z którego kąta grozi im atak, ale spojrzenia, jakimi obrzucali je odwiedzający były boleśniejsze niż pociski. Oficjalnie nie wolno już niczym rzucać w więźniarki, ale tradycyjnie punktem kulminacyjnym rozrywki jest jak najboleśniejsze uderzenie wystawionych na widok publiczny nieszczęśnic. Za niewielką dopłatą do biletu wstępu wpuszczający zadba, by widzowie mogli w tym celu wnieść jakieś niezbyt szkodliwe przedmioty. Oprócz zwiniętego w kule papieru i obierek z warzyw, widzowie przemycali też nierzadko niedojrzałe jabłka albo jeszcze coś gorszego. W końcu chcieli mieć przecież jak najlepszą rozrywkę za swoje pieniądze, a nie ma większej zabawy niż wówczas, gdy uda się zmusić którąś z ladacznic do wrzasku. Jeśli komuś uda się zranić którąś do krwi, zostaje przez gawieź okrzyknięty bohaterem. Dochodzi tu wręcz do współzawodnictwa i zawierane są zakłady. A kobiety siedzą skulone nad pracą, jakby ich to zupełnie nie dotyczyło.

Karna przedziałnia w Amsterdamie, podobnie jak te w Delftach, Lejdzie czy Hadze przyciąga całe rzesze gawiedzi. Za jedyne pięć centów można się tutaj bawić do woli. Zawsze trafi się paru aroganckich młodzieńców, którzy obrzucając wyzwiskami i przekleństwami więźniarki, mają nadzieję zrobić wrażenie na swych wybrankach serca, ponieważ nie wiedzieć czemu, niektórym kobietom takie zachowanie imponuje. Ponadto owo miejsce jest polecane w każdym przewodniku podróжным, tak że nie ma cudzoziemca, który opuściłby Amsterdam, nie odwiedzając tej typowo holenderskiej atrakcji.

- Niepojęte, że nigdy tu jeszcze nie byłaś - zaśmiał się mister Jamieson. -

Przecież mieszkasz tuż za rogiem! - Powiedział to, nie odrywając wzroku od wystawionych na widok publiczny kobiet, tak więc nie dostrzegł wyrazu moich oczu. - Gdzież indziej na świecie znajdziesz takie przedstawienie?

Następnie zapytał mnie, jakich metod nawracania na drogę cnoty używa się w tym przybytku i w jaki sposób można odróżnić, które z tych kobiet są złodziejkami, a które ladacznicami, ponieważ dla niego wszystkie są jednakowo szpetne.

Mister Jamieson myślał, że sprawia mi tym przyjemność.

Przez minione miesiące zakosztowaliśmy już w Amsterdamie wielu rozrywek, zawsze niewinnych i jak najzabawniejszych. Mister Jamieson to bardzo konkretny mężczyzna, który mało pyta i zadowala się prostymi rzeczami. Przez całe lata sam musiał polować, a potem zdzierać i garbować skóry zabitych zwierząt, przez co ręce miał szorstkie jak pumeks i potrafił być czasem nieokrzesany. Lecz, jak sam powiada, jego futra i skóry są sławne w całej Europie i nosi się je na wszystkich dworach, a wszystko dzięki sekretnej technice, umożliwiającej idealne wygładzenie najdrobniejszych nierówności, żyłek i fałdek. Od kilku lat ma monopol na polowanie na bobry i niedźwiedzie w dolinach Hudsonu, a od jesieni przebywa w Holandii, by nadzorować stąd dystrybucję na całą Europę.

Widujemy się, jak już powiedziałam, w każdy czwartek. Pojawia się wtedy około południa, udajemy się na spacer, a potem idziemy gdzieś coś zjeść. Czasami zaprasza mnie też na tańce albo na jakieś *soiree*. Nie umawialiśmy się co do tego, po prostu samo się utarło. Kiedy zdarzało się - tak jak wówczas, gdy los postanowił ze mną poigrać - że nie może przyjść z powodu podagry, czułam prawdziwe rozczarowanie i przez długi czas chodziłam markotna, zupełnie jakby cały dzień stracił przez to sens. W końcu jednak udawało mi się przemówić sobie do rozumu - Jamieson jest przecież ode mnie o dwadzieścia lat starszy, mało pociągający i w żadnym wypadku nie stanowi dobrej partii - a wtedy stroiłam się i szłam do Teatru Francuskiego. Tak czy inaczej w taki dzień uświadamiałam sobie, jak bardzo potrzebne mi są owe drobne oznaki sympatii, jakie Jamieson mi okazywał, po których oprowadzał mnie, uśmiechając się skrycie na myśl o czekających go przyjemnościach.

Dlatego też nie miałam najmniejszego powodu przypuszczać, że nie-

spodzianka, jaką tym razem dla mnie przygotował, okaże się tak nieprzyjemna. Przyszedł po mnie do mojego domu. Udaliśmy się spacerkiem całkiem niedaleko, wystarczyło przejść kawałek Ouderzijds Achterburgwal. Kiedy minąwszy kilka kamienic, zatrzymał się, było już za późno. Spoglądał na mnie z promiennym uśmiechem, stojąc pod monumentalnym wejściem do przędzalni.

Na parterze w wielkiej klatce wystawiano na widok publiczny ladacznice razem z innymi kobietami, które przebywały w tym przybytku. Udzieliłam Jamiesonowi wyczerpujących wyjaśnień, ponieważ nalegał, abym opowiedziała mu wszystko, co wiem o tej instytucji. Uczyniłam to krótko i zwięźle, ponieważ zdenerwowały mnie jego okrzyki współczucia i nie chciałam, aby te kobiety go słyszały.

Kiedy powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia, zamilkliśmy, tak jak milczały więźniarki, które nie śmiały się odzywać w obecności odwiedzających. Ich kara nie polegała już na przedzeniu, jak dawniej, tylko na obrębianiu i obszywaniu płótna. Większość z nich miała poobwiązywane palce, ponieważ nici tak głęboko wrzynały im się w skórę, że niekiedy przecinały ścięgna. W ciszy, jaka panowała przez chwilę, słyszeliśmy tylko pracujące dłonie, przeslizgiwanie się płótna między palcami i od czasu do czasu trzask jak z bicia, kiedy składały sztuki płótna krótkimi gwałtownymi ruchami.

Pozostałym widzom raczej to nie wystarczało. Jeden z nich zaczął się wydzierać, że jeśli kobiety dalej będą się tak cicho zachowywały, to zażąda swoich dwóch pięciocentówek z powrotem. Zawtórował mu drugi, wołając, że ich siostry na ulicy nie są takie leniwe i za te same pieniądze chętnie służą przechodniowi „pomocną dłonią”. Na te słowa do akcji wkroczyli kobieta i mężczyzna, małżeństwo dogląające pracy upadłych kobiet. Szturchali je kijem w bok, żeby śmieiej pokazały się publiczności. Większość skazanych poddała się i z niechęcią odwróciła twarze w naszą stronę, za co zostały obrzucone jeszcze okropniejszymi wyzwiskami. Widzowie na cały głos dawali wyraz swojemu rozczarowaniu brzydotą ladacznic i wyśmiewali się z ich klientów, którzy musieli być pewnie ślepi albo niespełna rozumu, skoro decydowali się robić użytek z tych ludzkich śmieci.

Tylko jedna kobieta wciąż nie chciała pokazać twarzy. Aby uniknąć

spojrzeń pozostałych, cały czas wpatrywałam się w jej plecy. Drżała, wczepiając kurczowo palce się w oparcie krzesła, jakby była w ogromnym napięciu. Wielkimi haustami nabierała powietrza, aż rozpierało jej boki. Nie minęło wiele czasu, a tłum zaczął szukać większego wyzwania i odkrył krnąbrną samotnicę. Żeby pokazać jej, kto tu rządzi, zaczęto obrzucać kobietę najbardziej ordynarnymi wyzwiskami, starając się za wszelką cenę ją sprowokować.

Całe to widowisko było nie do zniesienia. Chwyciłam pana Jamiesona za ramię. Poszarzał na twarzy ze wstydu i bardzo przeproszał, że przez niego muszę w czymś takim uczestniczyć. Próbowaliśmy przecisnąć się przez tłum do wyjścia, ale tłuszcza poczuła już zapach krwi i nikt nie kwapił się, by nas przepuścić. Mój towarzysz zainkasował nawet przy tej okazji jakiś cios, a ja zostałam przyparta do palisady oddzielającej widzów od więźniarek. W tym momencie tamta samotna kobieta, która nadal była odwrócona do nas plecami, została uderzona kawałem drewna, które ktoś przemycił do środka. Na chwilę zabrakło jej tchu. Potem podniosła się z krzesła i widać było, że każdy nerw jej ciała jest napięty do ostateczności. Stała tak przez chwilę, a wrzaski tłumu ucichły w oczekiwaniu tego, co się stanie. Jakiś łajdak zebrał się na odwagę i splunął w jej stronę, trafiając flegmą w szyję. Kobieta nie otarła się nawet, tylko stała nieruchomo jeszcze przez kilka chwil.

Wykorzystałam ową chwilę, żeby przecisnąć się między ogrodzeniem a tłumem w stronę wyjścia. W tym właśnie momencie kobieta odwróciła się raptownie i skoczyła do przodu. Całym ciężarem rzuciła się jak oszalała na sztachety, z takim impetem, że aż wszystko się zatrzęsło. Jej prześladowcy szarpnęli się przestraszeni w tył. Ja również, ale nie na wiele mi się to zdało, ponieważ więźniarka wysunęła ręce między prętami, złapała mnie za ramię i pociągnęła do siebie, jakbym to ja była główną sprawczynią jej bólu. Na początek owionął mnie zgniły odór, jaki rozsiewała, bo tylko woalka dzieliła mnie od jej zepsutego oddechu. Spojrzałam jej prosto w oczy. Zobaczyłam przerażającą twarz, z nosem wyjedzonym niemal całkowicie przez syfilis, o policzkach zapadniętych i tak zrytych, jakby sam diabeł tańczył po nich podkutymi buciorami. Ta kobieta wymagała pomocy. Była już w bardzo zaawansowanym stadium choroby i z pewnością umrze, jeśli nie zacznie łykać rtęci.

- O, Boże! - wymamrotałam. - Biedactwo. Tak mi przykro.

Nie spodziewała się współczucia. Jej uścisk zelżał, a z twarzy zniknął wyraz napięcia. Patrzyła teraz na mnie wielkimi dziecinnymi oczami i usiłowała dojrzeć przez woalkę, czy mnie przypadkiem nie zna. Kiedy chciałam wykorzystać ten moment i próbowałam się wywinąć z uścisku, nagle znowu wstąpiła w nią furia. Z nieoczekiwaną siłą jeszcze głębiej wpiła mi się palcami w ramię i zaczęła mnie przyciągać do swego rozkładającego się ciała, a ja poczułam się jak młynarz, który dostał się między młyńskie kamienie i wie, że niechybnie zaraz zostanie zmiażdżony. Z przerażenia krzyknęłam o pomoc w moim ojczystym języku. Krzyknęłam pierwsze słowo, jakie mi przyszło do głowy, i było to akurat to imię, którego od czasów dzieciństwa nigdy jeszcze nie wypowiedziałam na głos, więc teraz nie zastanawiając się nawet, powtarzałam je i powtarzałam bez końca.

*

Kiedy rozpoznałam w tym jedwabnym Francuzie mojego Giacomu? Gdy później się nad tym zastanawiałam, nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak to możliwe, że nie stało się to od razu w operze podczas naszego pierwszego spotkania, a nawet wcześniej, jak tylko usłyszałam jego głos nad kanałem. W każdym razie wiedziałam już o tym na pewno, kiedy w czasie wichury nad Amstelą podmuch zerwał mu perukę. A jednak, nawet gdy znałam już prawdę, minął jeszcze jakiś czas, zanim sama w to uwierzyłam. Szok był bowiem zbyt gwałtowny. Zupełnie jak u kogoś, kto właśnie otrzymał wiadomość o czyjejś śmierci, sytuacja była dla mnie jasna, zanim jeszcze dotarły do mnie jej waga i znaczenie.

Ilekcroć przez te wszystkie lata wspominałam swojego ukochanego, zawsze pojawiał się bez trudu w moich myślach z tymi swoimi szeroko otwartymi oczami w oliwkowej twarzy, z odrobiną delikatnego ciemnego meshku na policzkach, tak, jak wyglądał, kiedy widziałam go po raz ostatni.

A teraz jego dojrzałe rysy zaburzyły mój dotychczasowy obraz młodeńca. Jego dźwięczny śmiech, jego figle, wszystkie te wspomnienia, które tyle lat były na wyciągnięcie ręki, teraz przy najlepszej nawet woli już nie chciały się dać przywołać.

Mężczyzna zastąpił młodzieńca. Powinnam mieć to za złe im obu. Rozum podpowiada mi, że to irracjonalne, a moje uczucia mówią, że to jak najbardziej na miejscu, ponieważ w takim samym stopniu należałoby winić każdego z nich, czy młodego, czy starego, czy będzie miał na imię Jakob, Jacques czy Giacomo. Ale tak naprawdę nie mogę winić nikogo poza sobą samą. To ja zatrzymałam Giacomą w czasie. Ponieważ nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczę, nie miałam najmniejszego powodu, by dopasować jego wizerunek do upływających lat. Wprost przeciwnie, było moim pocieszeniem, że pozwoliłam mu pozostać niezmiennym. Zima, w której przez cały czas żyłam, była tak surowa i bezlitosna, że przestałam spodziewać się odwilży.

To, że jego wygląd nie zgadza się z obrazem, który nosiłam w sercu, to jedna sprawa. Błada cera, ostry nos, pełne, wydęte usta, jastrzębie spojrzenie, spoczywające na mnie jak na zdobyczy - do wszystkiego tego mogę jeszcze przywyknąć. Mogę odstąpić krok w tył i przekonać się, że w sumie wszystko to wciąż jeszcze tworzy pociągającą całość. Bezczelne wyzwanie. No i dla czegożby nie? Chociaż to nie ta sama twarz, do której przemawiałam w najcięższych chwilach, ale w żadnym razie nie jest niemiła. To po prostu wynik sumowania, które dotąd zapominałam wykonać.

Co innego jego wnętrze. Nawet sobie tego nie uświadamiając, stworzyłam sobie także jego wyobrażenie. Nie miało ono żadnych konkretnych rysów ani konturów, a jednak rozpoznawałam w nim mego ukochanego. Obojętne, czy jednocześnie wyobrażałam sobie przy tym jego twarz, czy nie, zawsze i przez wszystko przebijała ta jedna oczywistość, a mianowicie, że Giacomo kochał bardziej niż ja. Jego miłość była większa, lepsza, piękniejsza. W końcu przecież sama miałam okazję się przekonać. Przyjęłam, że on rozumie lepiej niż ja, co znaczy kochać. Więcej nawet: że to on jest miłością. Dla kogoś, kto nie potrafi zrozumieć, brzmi to zapewne mętnie i mało konkretnie, ale każdy, kto jest taki jak ja, wie że to równie konkretne jak grunt, po którym stąkam. To taka nienazwana i nienazywalna wiedza, bardziej przypominająca cichą pewność przyszłej matki, która czując nowe życie wypełniające jej brzuch, ani przez moment nie musi zadawać sobie pytania, czy będzie kochała to dziecko i czy to dziecko kiedyś będzie ją kochało. Tego rodzaju uczucie nigdy nie powstaje w świadomości. Ono tylko do niej przenika w momencie, gdy mamy nieszczęście je utracić. Dopiero utrata

zmusza nas do myślenia o tym, co posiadaliśmy. Nasze rozczarowanie przypomina nam o oczekiwaniach, jakie żywiliśmy. W ten sposób przybierają one kształt i możemy je sobie objaśnić. Boleśnie i z niepotrzebnym okrucieństwem rozum zaczyna górować nad uczuciem.

*

Tak właśnie było tego wieczoru, kiedy dorosły Giacomo na moich oczach zabił Giacomina z młodych lat. Stało się to pod drzwiami mojego domu, gdy żegnaliśmy się w padającym deszczu.

- Była kobietą - powiedział tylko.

Tak brzmiało jego wyjaśnienie, czemu nie zastał mnie w Pasiano po swoim powrocie.

- Była kobietą.

Bez słowa zamknęłam drzwi, nasłuchując jego oddalających się kroków.

*

Przez parę następnych dni nie miałam pojęcia, co zrobić. Nocami sen nie przychodził i snułam się po mieszkaniu, za dnia nie mogłam sobie znaleźć miejsca i zostawałam w łóżku. Ubieranie się, jedzenie, mycie - wszystko to wydawało mi się czymś nieistotnym. Okiennice cały czas pozostawały zamknięte.

- *Ma signora, avanti!* - próbowała Danae, kiedy wpadały do mnie z Giovanną po pracy, by załatwić nasze sprawy. Robiła wszystko, by mnie jakoś pocieszyć: - Naprawdę musi pani jutro iść na tańce, bo miasto jest smutne bez pani! Niech pani popatrzy, jak pani wygląda, pani, która zawsze taką wagę przywiązuje do stroju! Co się z panią dzieje?

Czułam się poniżona. Wstyd był większy od smutku. Jak to możliwe, że

ja, tak zaprawiona w trudach życia, dałam się tak przygnieść czemuś, co jest tak oczywiste, mianowicie, że lata, które minęły, zmieniły mego ukochanego bardziej niż mnie. Każdego dnia musiałam przewyciężyć tyle niepewności, by w ogóle przeżyć, że znajdowałam oparcie tylko w mojej przeszłości, którą uważałam za absolutnie pewną i niezmienną. Nie da się jednocześnie żyć i rozmyślać nad życiem. Refleksja to luksus, na który można sobie pozwolić dopiero wówczas, gdy człowiek już nie musi myśleć o przyszłości.

Ponieważ dobre wspomnienia były u mnie taką rzadkością i są mi tak drogie, utrwaliałam je sobie w myślach, tak jak malarz utrwał obraz na płótnie. Któż się zastanawia, że po skończonej sesji malarskiej obraz zostaje przykryty, światło zgaszone, a modele udają się do domu? Kogo obchodzi, że postacie schodzą ze swoich miejsc, przeciągają się, klnąc na czym świat stoi i biegną do wychodka, żeby po załatwieniu potrzeby zdjąć odświętne stroje i pójść się upić? Wiadomo: przedstawia się Ostatnią Wieczerzę, a nie posługacza, który po zakończeniu biesiady zbiera brudne talerze, nie skórki owoców czy przewrócone kieliszki z winem, nie plamy na obrusie czy kota wylizującego resztki z misek.

To oczywiste, że po naszym pożegnaniu Giacomo nie przestał żyć. Bogu dzięki nie przestał. Przecież cały mój zamiar polegał właśnie na tym, by o mnie zapomniał i znalazł nowe szczęście. A to, że przy okazji życie go zmieniło, było przecież nieuniknione, jakoś się i z tym pogodziłam. Ale ta gorycz w jego słowach, gdy mówił o zdradzie, jakiej dopuściła się jego pierwsza ukochana, ta pogarda dla kobiet w ogóle! Mówił to z wyrzutem wobec samego siebie, zupełnie jakby nasza wspólna przeszłość, która tak wypełniała bez reszty moje życie, stanowiła dla niego jedynie nauczkę, jaką musi kiedyś dostać każdy mężczyzna i na pewno by się jej wtedy spodziewał, gdyby tylko był choć trochę bardziej doświadczony...

Żeby się jakoś uspokoić, powtarzałam sobie, że przecież nie wie, kim naprawdę jestem, i że na pewno użyłby łagodniejszych słów, gdyby wiedział, kogo ma przed sobą. Ale czy wtedy nie byłoby jeszcze gorzej? Teraz przynajmniej mówił otwarcie i szczerze o swoim rozczarowaniu, prezentując mi wersję, którą dzielił się z przyjaciółmi w Wenecji i w przydrożnych gospodach, gdzie przy dzbanie wina wypijanego z przygodnymi towarzyszami podróży sprowadzał dramat mojego życia do poziomu ordynarnego oszustwa. Niemalże słyszałam, jak po wygłoszeniu puenty całej opowieści śmieje

się szyderczo razem z innymi, tak jak robią to mężczyźni, gdy we własnym gronie opowiadają o kobietach. Kto wie, czy nie rozmawiał też o mnie ze swoimi kochankami, by je ostrzec, że doskonale zna się na kobiecych sztuczkach.

Winiłam siebie za tę jego metamorfozę. Czy zakochany Giacomo zmieniłby się w cynicznego Seingalta, gdybym w Pasiano, znalazłszy się na rozstajach życia, poszła jednak za głosem serca? Gdybym nie stłumiła swego gorącego uczucia rozumem i zdobyła się na odwagę, by pokazać mu się po chorobie, gdybym dostatecznie zaufała naszej miłości, by poddać go tej próbie, jednym słowem, gdybym pozwoliła zdecydować życiu i miłości, zamiast poświęcać się jak jedna z tych głupich operowych bohatererek? Wówczas tylko ja byłabym oszpecona. A tak jesteśmy oboje.

*

Przez trzy dni trwałam pogrążona w tych rozważaniach. W myślach bez końca powtarzałam co boleśnieszkie zdania z naszej konwersacji w domu nad Amstelą, zwłaszcza te, w których dowodził, że w każdym wypadku bez wyjątku to on padał ofiarą kobiecej przebiegłości. No i to najgorsze zdanie: że tak naprawdę nigdy nikt go nie kochał. Tak bardzo skupiałam się właśnie na owym zdaniu, że dopiero czwartego dnia przyszedł mi do głowy zupełnie inny fragment naszej rozmowy. Naprowadziło mnie to na pewien pomysł, do którego od razu się zapaliłam i który obudził mnie z powrotem do życia.

Wykąpałam się, ubrałam i wyszłam. U Izaaka Duyma, mającego sklep przy południowej stronie ratusza, kupiłam piątą część ryzy najelegantszego papieru listowego i kazałam go sobie przyciąć na odpowiednie arkusiki. W domu papier leżał na stole aż do wieczora, podczas gdy ja chodziłam naokoło, nie wiedząc, jak zacząć, wreszcie jednak znalazłam takie oto słowa:

Jaśnie Wielmożny Panie, drogi kawalerze!

Nie tak dawno postawił Pan przede mną podwójne wyzwanie.

Pierwsze: pozwolić Panu zalecać się do mnie, abym sama mogła się

przekonać, iż rzeczywiście należy Pan do tego szczególnego gatunku mężczyzn, którzy nie myślą tylko o sobie - co mnie wydaje się mało prawdopodobne.

Drugie: wskazać Panu kobietę, która cierpiała z powodu Pańskiej miłości - coś, co Pan z kolei uważa za wykluczone.

Pragnąc nieco rozpędzić dręczącą mnie nudę, gotowa jestem przyjąć Pański zakład. Ostrzegam Pana jednak, że niezależnie od wyniku to ja wyjdę zwycięsko: gdy zawiedzie Pan jako mężczyzna, przyjdzie panu zapłacić, a ja zainkasuję wygraną. Jeśli sprosta Pan wymogom reputacji, jaką Pan sobie przypisuje, wówczas nagrodą dla mnie będą spędzone z Panem szczęśliwe godziny. Jeżeli potem rozejdziemy się zadowoleni jak przyjaciele, tak jak Pan obiecuje, nic wtedy nie stracę, kiedy jednak po spędzonym wspólnie czasie zostanę sama i nieszczęśliwa, stanę się wówczas pierwszym wyjątkiem od Pańskiej reguły. Mój smutek zagwarantuje mi wówczas wygraną w drugiej części naszego zakładu i znów będzie Pan musiał mi ją wypłacić.

O ile nie odstrasza Pana perspektywa z góry przegranego zakładu, jestem gotowa obdarować Pana, tak jak Pan prosił, przywilejem mej miłości.

*Pozostaję z wyrazami głębokiego szacunku
Galatea de Pompignac*

*

Następnego dnia otrzymałam zaproszenie od Seingalta, bym zechciała pójść z nim do teatru na sztukę „Arlekin Hulla”, a następnie pozwoliła zaprosić się na kolację. Trochę mnie to zirytowało, ponieważ komedię, o której wspomniał, grano tylko w soboty, a list od niego dotarł do mnie w czwartek. Nie nawykłam, by kazano mi czekać. Ostatecznie jednak postanowiłam, że nie będę sobie psuła przyjemności i zdecydowałam się całkowicie poświęcić czas Jamie-sonowi, bo w końcu czwartek to jego stały dzień. Byłabym na pewno mniej uważająca, gdybym wiedziała, że mój amerykański znajomy właśnie ma dla mnie w zanadrzu wizytę w karnej przedzalni.

Ladacznicą, która złapała mnie za ramię, wcale nie zamierzała mnie puścić. Jej paznokcie wbijały się w moje ciało jak szpony. Mister Jamieson próbował oderwać jej palce, ale kobieta w swym szaleństwie wydawała się silniejsza. Na mój krzyk doskoczył do nas nadzorca. Złapał tę harpię za ramiona, a kiedy to nie pomogło, oparł kij na gardle rozszalałej kobiety i obiema rękami z całej siły odciągnął ją do tyłu, żeby puściła mnie z obawy przed uduszeniem. Jej uścisk osłabł, dopiero gdy niemal wyzionęła ducha, ale i tak miała dość siły, by raz jeszcze próbować mnie złapać. Tym razem chwyciła tylko bluzkę i oderwała mi kilka haftek, ale szarpnęła się jeszcze po raz ostatni i dosięgła mojej woalki, zdzierając mi ją z twarzy ku uciesze gawiedzi. Dopiero wtedy osunęła się na ziemię, ciężko dysząc. Jednak teraz dalej świdrowała mnie zza krat oszalałym wzrokiem, szarpiąc za końce welonu.

Stałam tak bezbronna, wystawiona na spojrzenia gapiów.

Mister Jamieson nigdy wcześniej nie widział moich blizn. Patrzył jednak na nie bez wstrętu. Nawet pochylił się na moment w moją stronę, jakby chcąc przyjrzeć się dokładniej.

- Ach - powiedział bez cienia dezaprobaty czy współczucia, a wręcz z ulgą, że oto wreszcie znalazł to, czego od dawna szukał. - Ach, cóż.

Potem na moment położył dłoń na moim policzku. Wydała mi się chłodna, aż zadrżałam. Przez wszystkie te lata nikt nigdy nie dotknął tego miejsca. Zaraz potem mister Jamieson otulił mnie szalem, tak że znowu mogłam ukryć swoją hańbę. Otoczył mnie ramieniem i poprowadził do wyjścia.

- Tak, tak, uciekaj! - wrzeszczała za mną furia. - Uciekaj jak najdalej! Prawda i tak zawsze cię dopadnie! Przyszłaś się pośmiać, wstrętne zdiro, tak? I co, nie udało się! Bo cię zobaczyli, słyszysz? Zobaczyli i rozpoznali!

2.

W Holandii ladacznice przyrównywało się do koni. Powiadano, że konie pociągowe to ulicznice, bo ciężko harują. Konie do fiakra to lepsze dziewczęta i te z domów uciechy. Konie zaprzęgane do dwukółek i powozów to kotki salonowe i utrzymanki, które mają lepiej niż reszta. Wierzchowiec zaś miewa się na własność, niemal zupełnie jak kobiety zamężne.

W ciągu tych kilku lat przeszłam przez każdą z tych stajni. Musiałam. Nie było takiego wozu, do którego bym się nie zaprzęgå. Mówię to tak po prostu, bo to prawda.

*

Nie należy zapominać, że kiedy przybyłam z Paryża do Amsterdamu, wciąż jeszcze chodziłam niezamaskowana. Woda w tym mieście, czarna i gładka, ukazywała moje odbicie, prześladowające mnie na każdym moście i na każdym nabrzeżu. Dotychczas było tak: gdy ktoś spojrzał na mnie, najpierw dostrzegał moje oszpecenie, a dopiero potem mnie. Spojrzenie każdego zwyczajowo prześlizgiwało się po bocznej powierzchni twarzy i szyi. Upływała chwila, nim taki człowiek orientował się, co robi. Jedni musieli opanować przestach, inni chęć okazania współczucia - to ostatnie zawsze znacznie dla mnie boleśniejsze. Dopiero potem tacy ludzie patrzyli mi w oczy, z przesadną intensywnością, zupełnie jakby musieli się zmuszać, by nie dostrzegać ruiny mojej twarzy. W ten sposób spoglądano na mnie przez całe lata. Rzadko kiedy bywało lepiej i od dawna przestało mnie to już świadomie dotykać.

W Holandii wyglądało to zupełnie inaczej. To mały kraj, w którym wszyscy mieszkają blisko jedni drugich. Aby nie utonąć w tej masie, każdy

lubi się czymś odróżniać od sąsiada. Taki pęd tutejszych mieszkańców do indywidualizmu sprawił, że nie było tutaj tendencji do tuszowania różnic z uprzejmości, tylko raczej do ich podkreślania, zwłaszcza u obcych i nowo przybyłych. W dodatku tego rodzaju osobliwość, jak moja, niezwykle rozjaśnia wyobrażenie o własnej doskonałości. Ludzie tolerują fakt, że ktoś jest inny, tak długo, jak długo objawia się to w sposób widoczny. Moje bliźni były w tym sensie wręcz zbawieniem. Pokazywano na nie i otwarcie o nich rozmawiano, nie tylko między sobą, ale także ze mną. Zupełnie nieznanymi ludziom, których po raz pierwszy widziałam na oczy, zadawali mi niezliczone osobiste pytania zarówno na temat przyczyny mojego oszpececia, jak też smutku, jakim musi mnie napełniać, zupełnie jakby każdy tę moją inność chciał jak najdokładniej oszacować. Uznałam, że to pewnie jeden z przejawów owej sławetnej tolerancji, która przywabiła tutaj wszystkich wielkich wolnomyślicieli, niemniej onieśmiało mnie to i potrzebowałam czasu, by przywyknąć do tej holenderskiej otwartości.

Tak więc nieco dłużej trwało, zanim dostrzegłam coś, co sami Holendrzy wiedzieli już od dawna, a mianowicie, że tolerancja to zupełnie nie to samo co akceptacja, tylko wręcz jej przeciwieństwo, i że stanowi ona bardzo przemyślny środek ucisku. Ktoś, kto traktuje nas jak równych sobie, niejako obejmuje nas ramieniem bez żadnych zastrzeżeń, raz na zawsze. Lecz dając komuś do zrozumienia, że się go toleruje, sugerujemy niejako tym samym, że tak naprawdę jest uciążliwy jak ćmiący ból albo nieprzyjemny zapach, który gotowi jesteśmy jakiś czas znosić. Pod powłoką tolerancji czai się groźba: przyzwolenie może w każdej chwili wygasnąć. Taka sklasyfikowana już jednostka powinna grzecznie trzymać się swojego miejsca, opatrzonego czytelną etykietką, jak buteleczki z trucizną w szafce aptekarza. Podejrzewam, że to właśnie jest prawdziwy powód, dla którego Holendrzy tak wielką wagę przywiązują do indywidualności i niezależności. Pozwala im to umieścić wszystko, co wydaje im się obce i inne, w czytelnych i pozwalających na porównania kategoriach, dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej dla zabawy próbują to zrobić z kobietami publicznymi i końmi.

*

Sporo wysiłku kosztowało mnie nawiązanie znajomości w tym nowym

mieście. Każdy żył tutaj praktycznie dla siebie. Również i to tłumaczyłam sobie panującą tu wolnością. Ludzie zawsze odczuwają większą więź z innymi, gdy zmuszeni są zginać karki pod brzemieniem surowych zasad. Amsterdamszczyki ze swej natury nie dopuszczają nikogo zbyt blisko. Nawet ludzie, z którymi miło sobie gawędziłam w czasie moich codziennych spacerów, nigdy nie zapraszali mnie do swoich domów. O ile w innych krajach Europy z łatwością udawało mi się żyć z dnia na dzień, o tyle tutaj z trudem udało mi się zapuścić korzenie. Złote czasy dla miast minęły. Było o wiele więcej rąk do pracy niż zajęć. Miałam nadzieję zarobić na życie lekcjami, nie udało mi się jednak znaleźć zatrudnienia w żadnym z zamożnych domów, nawet jeśli mówiłam po francusku lepiej od głowy rodziny. Opowiadałam, że wychowałam się w wielkiej posiadłości i wiem od matki, jak się administruje czymś majątkiem. W odpowiedzi słyszałam, że kamienice nad kanałami są skromne i nie ma wolnych miejsc. Nie udało mi się dostać do żadnego eleganckiego domu nawet w charakterze damy do towarzystwa czy choćby pokojówki. Początkowo przypisywałam te odmowy mojemu wyglądowi, ale kiedy dałam temu kiedyś wyraz, usłyszałam urażoną odpowiedź, że takie myślenie jest obce mieszkańcom tego kraju. Sądząc po wyrazie zaskoczenia na kolejnych twarzach, mój wygląd powinien być raczej zaletą niż wadą, niestety jednak tak się pechowo składało, że zawsze wszystkie miejsca były już zajęte.

Bardzo szybko musiałam się pożegnać z moim eleganckim hotelem przy Oude Zijds. Wprowadziłam się do pewnej wdowy przy Oude Waal, która oferowała noclegi w oficynie. Próbowałam znaleźć zatrudnienie w którymś z licznych sklepików. Przyjęto mnie nawet do pracowni, gdzie wykonywano tanie kopie gandawskich koronek. Spędziłam tam półtora dnia, ale się nie sprawdziłam. Miałam całkiem pokłute palce, a robione przeze mnie koronki były poplamione krwią. Akurat tych umiejętności, których oczekuje się od dziewczyny, nie nabyłam w Pasiano w dostatecznym stopniu, a później zupełnie je zarzuciłam. W jednej z wozowni przy Kerkstraat zatrudniono mnie na trzy dni przy czesaniu koni, ale po bliższym zastanowieniu właściciel uznał jednak to zajęcie za nieodpowiednie dla kobiety. Mimo wszystko podobała mi się praca fizyczna i zaczęłam rozpytywać, czy nie ma gdzieś w pobliżu jakichś majątków ziemskich, gdzie mogłabym pomagać w pracach leśnych albo na polowaniach, ale okazało się, że wszędzie naokoło są tylko bagna i morze. W tej sytuacji próbowałam się zatrudnić jako pokojówka albo

służąca w gospodzie. Tam przynajmniej powiedziano mi wprost, że mój wygląd już od drzwi odstraszałby nowych gości i psuł apetyt tym, którzy są już w środku. Co za ulga. O ileż szczerłość jest mniej bolesna od litości. Wreszcie spotkałam na targu rybnym kogoś, kto zgodził się wciągnąć mnie na listę, tak że miałam zostać powiadomiona, gdy do portu wpłynie więcej statków i będą potrzebne kobiety do patroszenia śledzi. Lecz połowy musiały być widocznie kiepskie, a życie było drogie. Sprzedałam księgę o *Dom Bourge* hrabiego Antonia znacznie poniżej wartości. Za uzyskaną kwotę przeżyłam jakoś sześć tygodni, w końcu jednak musiałam udać się do lombardu. Zastawiłam tam wisiorek, który zrobił dla mnie dziadek, małe lustro z oczami świętej. Suma, jaką mi zaproponowano, była o wiele za niska, a termin wykupu o wiele za krótki. Zebrałam się jednak na odwagę, raz jeszcze ucałowałam pamiątkę i przysięgłam; że nie pozwolę, by przepadła.

Gdy wychodziłam, ktoś mnie zaczepił. Było to dość niezwykle w Holandii, toteż miałam się na baczności, ale okazało się, że to jakiś dżentelmen. Przedstawił się jako chirurg, mówiąc, że zainteresowała go moja fizjonomia, którą bardzo chciałby zaprezentować swoim studentom, jako przykład deformacji po ospie. Zaproponował za to zapłatę.

*

W teatrze anatomicznym było ciemno, kiedy tam weszłam. W powietrzu unosił się drażniący zapach alkoholu i kamfory. W przyległym pomieszczeniu, gdzie zdjęłam ubranie, zobaczyłam niepokojące cienie wypchanych zwierząt i szkieletów, ale wzięłam się w garść i pomyślałam o zapłacie. Dopiero kiedy otwarto górne okiennice budynku, w którym kiedyś mieściła się miejska waga, zobaczyłam, że stoję pośrodku amfiteatru. Wokół siedziało mniej więcej dwudziestu słuchaczy. Jak mnie zapewniono, byli utytułowanymi chirurgami i członkami gildii, oswojonymi z ludzkim ciałem. Profesor przemawiał do mnie uspokajająco i zanim cokolwiek zrobił, prosił mnie przedtem o zgodę. Najpierw przetłumaczył w skrócie to, co wcześniej omówił po łacinie, specjalnie dla mnie. Kiedy już przywykłam do jego wymowy, oznajmiłam ku zdumieniu wszystkich, że dostatecznie dużo zro-

zumiałam, by obyć się bez tłumaczenia. Generalnie chodziło o przestudiowanie deformacji skóry oraz różnic między zeszeconymi miejscami a tymi, gdzie pierwotne pęcherzyki ospy wygoiły się, nie pękając. Oglądali także moją szyję i ramiona. Tam profesor wskazał miejsca, w których choroba przeniosła się do środka, pustosząc ciało pod skórą. Poprosił mnie o wykonywanie określonych ruchów, które rzeczywiście od czasu choroby sprawiały mi trudność. Profesor przypisywał to deformacjom spowodowanym przez blizny w tkance mięśniowej. Tę osobliwość zamierzał nieco później pokazać przy stole sekcyjnym na zwłokach. Przeżegnałam się na myśl o nieszczęśniku, mającym zaraz zająć moje miejsce, i próbowałam jakoś odwrócić od tego uwagę, rozglądając się wokół, lecz pod wszystkimi ścianami stały słoje zawierające poodcinane członki i zdeformowane płody w formalinie. Wszędzie widniały czaszki i napisy przypominające o śmiertelności człowieka.

Lekcja trwała godzinę, po czym otrzymałam zapłatę i byłam wolna. Musiałam się jeszcze tylko ubrać w przyległym pomieszczeniu. Właśnie to robiłam, kiedy pojawił się profesor. Złapałam sukienkę, by ukryć swoją nagość, on jednak zapewnił, że przecież nie muszę się wstydzić chirurga. Przyniósł mi jakąś tynkturę, mającą wedle jego słów zmniejszyć nieco ciągnięcie blizn oraz ponownie zmiękczyć zrogowaciałą skórę. Chciał dobrze, więc mu podziękowałam. Wtedy wylał nieco płynu na dłoń i zmieszał z oliwą.

Nie byłam dzieckiem i wiedziałam, czego ode mnie chce. Pewnie lepiej by to o mnie świadczyło, gdybym mogła powiedzieć, że się zmieszałam i zaczęłam protestować, ale wcale tak nie było. Dałam mu to, czego chciał, i pozwoliłam się natrzeć. Kiedy jego dłonie zaczęły się zapędzać, nie powstrzymywałam ich. Wziął mnie na stojąco. Ujeżdżał mnie z wdzięcznością dziecka. W kąciu jego wykrzywionych uśmiechem ust zawisł radosny bąbelek śliny. Mimowolnie przywiodło mi to na myśl poczerwieniałe oblicze hrabiego w Pasiano, lata temu, tego niebezpiecznego człowieka, jakże niewinnie uradowanego w momencie rozkoszy. Pozwoliłam profesorowi na wszystko, a świadkami tego były lwica, łabędź, krokodyl i wąż, wszystkie wypchane, oraz wypreparowana skóra jakiegoś poddanego sekcji przestępcy. Ozdobę tej kolekcji stanowił szkielet słonia, którego niektóre żebra przyłączyły się do rytmu naszych ciał.

Tak zaczęło się moje amsterdamskie życie. Opuściłam teatr anatomiczny bez wyrzutów sumienia, jako kobieta samodzielna. W godzinę później odebrałam wisiołek z lombardu, a pieniędzy i tak starczyło mi jeszcze na tydzień życia. Postanowiłam, że nie będę już nosiła tego cacka, tylko ukryłam je głęboko wśród swego dobytku. Tego, co mnie czekało, nie mogłam robić na oczach świętej Łucji.

*

Nie powiem, żebym nie płakała nad utratą czci. Płakałam, i to czasami bardzo gorzko, zwłaszcza kiedy rzeczywistość przygniatała mnie swym brzemieniem. W takich chwilach w pełni zdawałam sobie sprawę, jakiego to skarbu się wyzbyłam. Miałam świadomość, że był to mój własny wybór i że nie ma już odwrotu, lecz mimo smutku wciąż szukałam sposobu, by ująć swemu losowi. Rozgorączkowana śniłam wtedy o rodzicach tak intensywnie, że stawali mi przed oczami jak żywi, i wyciągałam ku nim ręce, jakbym chciała ich dotknąć. Czasem przemawiałam do nich na głos, zupełnie jakby byli przy mnie w pokoju. Pytałam, jak się czują, i czy mnie jeszcze kochają, teraz, gdy tak ich zawiodłam. Niekiedy ich też pocieszałam, zapewniając, że wcale nie muszą się martwić, chociaż nie mają ode mnie żadnej wiadomości. Takie napady nigdy nie trwały długo. Znowu uświadamiałam sobie, gdzie jestem i jak mam do nich daleko, jeśli w ogóle jeszcze żyją. Przez resztę czasu miałam już spokój i czułam, że ta praca zmieniła wprawdzie moją opinię, ale w niczym nie zmieniła mojej istoty.

*

Miałam kiedyś marynarza, pływającego na statkach handlowych. Gdy tylko jego statek przybił do brzegu, przychodził do mnie zakosztować życia. Pewnego dnia opowiedział mi, jak to w czasie burzy u wybrzeży Gwinei spadł z foka sztormowego do wody. Machał rękami jak szalony. W śmiertelnym przerażeniu wzywał pomocy, ale nikt go nie słyszał. Oprócz rekinów.

Widział, jak krążą wokół, zataczając coraz ciasniejsze kręgi, ale gdy naprawdę go zobaczyły i ruszyły prosto w tę stronę, jego strach gdzieś zniknął. Myśl, że nie ma już dla niego ratunku i że właśnie dotarł do kresu swoich podróży, w jednej chwili nappełniła go głębokim spokojem i zadowoleniem, jakich nie zaznał nigdy wcześniej. Już nie walczył, tylko poddał się falowaniu wody w taki sposób, opowiadał później, w jaki mężczyzna zazwyczaj potrafi się poddać tylko na łonie kobiety. Ekstatycznie. W tym momencie pojawiła się szalupa i wszystko prysło. Jego towarzysze odpędzili atakujące rekiny. Kiedy rzucili rozbitkowi linę, ten czuł niemalże zawód. Dotarł już poza pewien punkt i wcale nie chciał wracać. Dopiero gdy stracił przytomność, zdołali wciągnąć go jakoś na pokład.

Znam ten rodzaj spokoju. To błogosławieństwo, które ogarnia nas tylko w sytuacjach ostatecznych. Ktoś, kto tego nie przeżył, nie zrozumie. Dopóki życie pozostawia nam jeszcze jakieś rozwiązania, rozum pracuje jak szalony. Czujemy się odpowiedzialni za własny los i szukamy najlepszej możliwości, ale boimy się, że wybierzemy nie tę, co trzeba. Bardziej niż ewentualny wynik nasze z wątpienie budzi sam fakt wyboru. To te wątpliwości wywołują w nas niepokój. Tylko w najbardziej skrajnych sytuacjach, kiedy czujemy, że w żaden sposób nie możemy już zmienić losu, wyłącza się myślenie. Nareszcie możemy zawierzyć intuicji. A ona nie pozostawia miejsca na wahanie. Zdajemy się na pierwszy impuls. W ten sposób odnajdujemy spokój. I udaje nam się przeżyć.

Przynajmniej ja w ten właśnie sposób przetrwałam najgłębsze upokorzenia. Hańba tkwiła w moim ciele jak harpun. Nosiłam go w sobie bezboleśnie, jeśli tylko nie zwracałam na niego uwagi, raniłam się tylko wówczas, gdy próbowałam go wyrwać. Wiele decyzji w ostatnich latach podejmowałam już z tą wiedzą. W końcu nie po raz pierwszy przychodziło mi godzić się z myślą, że moje życie nie będzie przebiegało tak, jak sobie wymarzyłam.

W tym też sensie mogę powiedzieć, że wyciągnęłam pewną naukę z opowieści marynarza. Kiedyś bardzo chciał zostać kapitanem, by pewnego dnia popłynąć kursem, który sam wybierze, ale z czasem zrozumiał, że nigdy tak nie będzie. Pracował ciężko. Praca wykrzywiła mu grzbiet i poharatała dłonie. Chorował przez nią, był brudny i tęsknił za domem. Wcale to jednak nie oznaczało, że nie dawała mu zadowolenia. Po każdym rejsie mustrował się na następny statek.

*

Jeszcze kilkakrotnie wracałam potem do teatru anatomicznego, ale profesor stracił dla mnie zainteresowanie. Przy ostatnich wizytach, za tą samą opłatą, dałam się namówić do stania w czasie wykładu przy stole sekcyjnym. Skoro mogła na to patrzeć signora Morandi, wytłumaczyłam sobie, ja też sobie poradzę. W czasie wykładu prezentowałam niejako na żywym ciele działanie mięśni, które profesor wycinał z preparowanego ciała i trzymał w uniesionej w górę dłoni. Na moim brzuchu objaśniał położenie narządów wydobywanych ze zwłok. Pewnego razu przyłożył martwą tkankę do moich nagich pleców, aby pokazać, jak krótki jest jeden z mięśni w stanie spoczynku i jak bardzo może się rozciągać. Wzięłam zapłatę i postanowiłam, że moja noga nigdy więcej tam nie postanie.

Miałam potem ogromne trudności, ale jakoś utrzymywałam się w tym moim pokoiku, niestety wdowa, u której mieszkałam, szybko zaczęła coś podejrzewać. Nie zezwalała na męskie wizyty pod swoim dachem i wyrzuciła mnie, nie zważając na to, że byłam jej jeszcze winna pieniądze. Wtedy poszło już szybko. Spanie w łóżku zamieniłam na spanie na słomie, a niedługo potem na gołej podłodze.

*

Opowiadam to wszystko nie dlatego, że specjalnie dużo to o mnie mówi. Tą samą drogą zdarzało się pójść lepszym niż ja dziewczętom, ale też i gorszym. Bardziej ukazuje to obraz tamtych czasów i okoliczności, w jakich musiałam się utrzymać, niż mnie samej. Były to trudne lata. Dobrobyt w Holandii się skończył, panowanie na morzach przejęli Anglicy. W Amsterdamie znajdowały się tysiące takich kobiet jak ja.

Na ulicy byłam dość krótko i nigdy nie pokazywałam się na Kalverstraat razem z pospolitymi ladacznicami. Późnym popołudniem chodziłam przez plac, gdzie cieśle budowali statki, aż na planty, i tam spacerowałam dla

przyjemności. Porozumiewano się wzrokiem, a sprawę załatwiano w krzakach lub - w zimie - pod osłoną oranżerii. Panował zwyczaj nieodzywania się ani słowem. To milczenie było niezwykle ważne. Pozwalało w miarę zachować złudzenia. Klient mógł sobie wyobrazić, że to zwykła przygoda miłosna. Można było też udać się na krótko do któregoś z okolicznych przybytków, one jednak cieszyły się złą sławą. Wielu panów nie chciało, aby ich tam widziano, i wołało załatwić sprawę na dworze. Ja ze swej strony, nawet jeśli klient nie za bardzo mi odpowiadał, zawsze znajdowałam w tej scenerii pewne pocieszenie. A to listowie delikatnie zwróciło mą uwagę, a to znów ocierały się o skórę gałęzie. Szelest liści, przyłączających się do naszych igraszek. Elastyczny ucisk pnia, o który się opieram. Dotyk kory. Woń mchu, drzew i trawy, ciężka i ciepła, kiedy w letni wieczór z ziemi zaczyna się już podnosić mgła, by dać ochłodę nocy. Ach, tyleż tu było rzeczy, pozwalających odwrócić uwagę od tego, co naprawdę się działo. Pamiętam przede wszystkim moje stopy, zapadające się powoli, coraz głębiej, w ziemię.

Sama się nieraz dziwiłam, że to wszystko nie brzydziło mnie w takim stopniu, w jakim powinno. Chciałoby się wręcz powiedzieć, że ta zielen przypominała mi najszcześniejsze lata w Pasiano. Tam przyroda była moim domem. Wybierałam sobie towarzyszy zabaw spośród wszelkich możliwych zwierząt i jeździłam na grzbietach koni, które przechadzały się po łące. Moje dzieciństwo upłynęło bez lęku i bez nadzoru. Nic nie ograniczało mego szczęścia, ponieważ w Pasiano nie było żadnych niebezpieczeństw. Pod tym względem na amsterdamskich plantach było trochę inaczej. W krótki czas po tym, gdy zaczęłam tam pracować, znaleziono w okolicy trzy kobiety, którym po wykorzystaniu ktoś poderżnął gardło. Tak więc trudno o jakiegokolwiek porównanie. Chcę tylko powiedzieć, że uroda tego miejsca pomagała mi znosić jakoś największe grubiaństwa. Mimo wszelkich niewygód nigdzie indziej nie udawało mi się już potem tak bez reszty wyłączyć z rzeczywistości, jak wtedy gdy tam pracowałam. Kiedy bywałam potem w domach uciechy i w dyskretnych pokoikach, nieuchronnie dopadał mnie smutek. Stworzona przez Boga natura zawsze jeszcze dawała jakieś poczucie wolności i promyczek nadziei, że uda mi się stamtąd wyrwać. W dodatku z pokrzywami wokół i wonią róż rozchodzącą się w powietrzu cała sytuacja stawała się już tak nierzeczywista, że sama z siebie wydawała się niemalże abstrakcyjna, a ja w niej to jakby nie byłam ja. Jedyne podobieństwo do życia

w Pasiano: nie przypominałam sobie żadnych granic.

*

Bardzo szybko zaczął mnie wykorzystywać jeden z sutenerów. To tacy niegodni osobnicy, którzy w zamian za pieniądze oferują ochronę, w zasadzie przed nimi samymi. Znalazł dla mnie miejsce w burdelu niedaleko wieży Haringspikkerstoren, tuż obok portu. Była to już lokalizacja najniższego sortu, ponieważ przychodzili tam przede wszystkim marynarze z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Każdego dnia przybijały nowe statki, których załogi całymi miesiącami nie widziały kobiety. Rozgorączkowani mężczyźni z wypłatą w kieszeni zalewali miasto tysiącami, oszaleli z pożądania. Byli jak plemiona dzikusów, gotowi dopuścić się gwałtu na wszystkich córkach i wszystkich matkach, gdyby nie mogli wyładować się na nas. Była to ciężka i brudna robota. Większość zjawiała się nieumyta i nieogolona. Co gorsza: przychodzili z najdzikszymi pomysłami, groteskowymi fantazjami, które przez całą długą i samotną podróż kołatały im się w rozpalonych głowach, a które teraz chcieli urzeczywistnić. Regularnie znajdowałam się w kłębowiskach ciał albo w pozycjach, w jakich należało raczej układać skazańca przygotowywanego przez kata do łamania kołem. Także i ci wymagający klienci mieli wypchane trzosi, a nasza burdelmama i sutenerzy pilnowali, abyśmy te trzosi możliwie szybko opróżniały. Opór był wykluczony. Oszukiwanie wskazane. Nabrałam sprytu. Najpierw upijałam klienta, a jeśli potem w ogóle był jeszcze do czegokolwiek zdolny, niejednokrotnie udawało mi się markować ciąg dalszy, zamiast robić coś naprawdę. Owe osiłki były prawie wszystkie bez wyjątku pijane do nieprzytomności, a ich doświadczenie w tych sprawach rzadko wykraczało poza samogwałt. (Przy jednej z takich okazji zresztą przyszło mi poznać hrabiego Saint Germain. Towarzysz Jezusa Chrystusa musiał salwować się ucieczką z Paryża i zamierzał otworzyć w Weesp fabrykę porcelany, który to plan przyszło mu szybko zarzucić po tym, jak oskubałam go do czysta).

Utrzymałam się tam dostatecznie długo, by spłacić mojego sutenera. Potem były domy uciechy, gdzie pracowałam samodzielnie - prawdziwe wytchnienie. Dziewczęta miały tam wolny wybór i nie musiały robić ni-

czego, co im nie odpowiadało. Z powodu wyglądu nawet nie mogłam marzyć o najlepszej klienteli, ale ogólnie rzecz biorąc, nawet ci mniej wybredni byli bogobojnymi i przyzwoitymi obywatelami miasta. Większość nie kupowała sobie miłości z potrzeby, lecz raczej jako towar luksusowy - w związku z tym bardziej nas doceniali. A jeśli ktoś czuje się doceniany, to od razu bardziej docenia też siebie. Zaczęłam się lepiej ubierać i bardziej o siebie dbać. Lepiej się odżywiałam, przybrałam na wadze, zaokrągliłam się, wskutek czego zaczęłam z kolei przyciągać lepiej płacących klientów. W tym czasie również doskonaliłam swoje umiejętności. Sporą część pomysłów zapożyczyłam zresztą z książki *Histoire de Dom Bougre, Portier des Chartreux*, którą tak długo wozilałam ze sobą, że do dzisiaj mam przed oczami jej ilustracje. Coraz częściej udawało mi się dostarczyć mężczyznom przyjemności, jeszcze zanim mogło dojść do właściwego stosunku, tak że moi najlepsi klienci wychodzili zaspokojeni, a ja nie musiałam się brukać.

W tych lepszych domach używało się też tak zwanych nakładek. Był to specjalny wynalazek, znany głównie wśród medyków, którego zastosowanie widziałam przedtem tylko u mojego profesora w teatrze anatomicznym. Robi się je z jelit kocich albo cielęcych i podobno chronią przed zarażeniem. Nasza madame surowo przestrzegała ich stosowania. Gwarantowało to jej dziewczętom, że będą zdrowe, a poza tym zabezpieczało je przed ciążą i utratą pracy. Wielu mężczyzn jednak wzdragało się przed ich używaniem. Mówili, że kobieta, która upiera się przy stosowaniu takiego środka wcale nie jest bardziej bezpieczna od innych, tylko robi to dlatego, że już jest zarażona. Typowa męska logika. Dlatego główny problem polegał na tym, żeby najpierw doprowadzić delikwenta do pewnego punktu i naciągnąć mu „nakładkę” dopiero wtedy, kiedy był gotowy dać ze sobą zrobić wszystko, żeby tylko bez przeszkód dojść do końca - nawet włożyć błazeńską czapkę z dzwoneczkami.

Pewnego dnia, po wyjściu z jednego z takich domów, zostałam zagadnięta przez jakiegoś dżentelmena. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Nie był naszym klientem. Na początku zachowywałam się trochę podejrzliwie, ale on chciał tylko pójść się ze mną gdzieś napić. Poszliśmy do kawiarni w pobliżu Domu dla Mężczyzn, takie eleganckie miejsce, absolutnie przyzwoite. Spędziliśmy tam prawie dwie godziny na przyjemnej rozmowie. Dżentelmen był erudyta, dyskutował ze mną o książkach i filozofii, a więc o sprawach, o

których jeszcze z nikim w Amsterdamie nie było mi dane porozmawiać, po prostu dlatego, że ludzie, z którymi się zadawałam, nie mieli o tym pojęcia. W środku dyskusji ów dżentelmen wstał, poprosił o wybaczenie i spytał, czy jeszcze kiedyś będzie mógł się ze mną zobaczyć. Zapłacił za mój czas, ale zniknął, nie podawszy mi nazwiska ani adresu. Rozczarowało mnie to bardziej, niż się spodziewałam.

Dwa tygodnie później znowu na mnie czekał, tym razem wczesnym wieczorem, właśnie kiedy miałam wychodzić. Spytał, czy nie poszłabym z nim na kolację. Odmówiłam, ponieważ musiałam coś zarobić, ale zapewnił, że nic nie stracę. Jedzenie było znakomite i znowu miło się nam rozmawiało. Pod koniec wieczoru dżentelmen nieśmiało, niemal z zawstydzeniem wręczył mi pakiet. Otworzyłam. Zawierał pewien uroczy traktat, o którym dyskutowaliśmy poprzednim razem. Była w nim mowa o ogrodach wyobraźni, ilustracje zaś przedstawiały dziką zieleń i rośliny w pełnym rozkwicie. Nabył go specjalnie dla mnie. To mnie wzruszyło. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale łzy napłynęły mi do oczu. Stało się tak po raz pierwszy od długiego czasu. To aż absurdalne, że zniosłam tyle okropności w tym mieście, nie uroniwszy ani jednej łzy, a taka drobna uprzejmość sprawiła, że coś we mnie pękło. Obawiałam się, że opacznie to zrozumie. Nie potrafiłam się jednak opanować.

- Kiedy ktoś nas dotknie - powiedział - zaczynamy rozumieć, jak bardzo jesteśmy samotni.

Znowu odszedł, zostawiając mi sowitą zapłatę i liścik ze swym nazwiskiem, Texeira, i numerem domu przy Nieuwe Herengracht.

- Z przyjemnością tam panią przyjmą.

*

Gdy przybyłam pod ten adres, konsjerżka zaprowadziła mnie do niewielkiego mieszkanka na drugim piętrze, przygotowanego specjalnie dla mnie. Przeniosłam się tam zaraz następnego dnia. Mój dobroczyńca odwiedzał mnie kilka razy w tygodniu, w zamian pokrywając wszelkie koszty

mego utrzymania. Pozwalając się utrzymywać, mogłam całkiem zostawić za sobą dotychczasowe życie, a nawet co nieco odłożyć. Zaczęła budzić się we mnie nieśmiała nadzieja, że teraz wszystko obróci się na dobre. Wieczory, które spędzałam z Texeirą nie miały nic z tego blasku, jaki znałam z Bolonii czy Vincennes, ale nasze rozmowy sprawiły, że zaczęłam na nowo żyć. Obudziły z powrotem moją ciekawość, która została uśpiona, tak że nawet tego nie zauważyłam.

Pamiętam jak dawno temu, w czasie choroby, moje rozgorączkowane ciało wyłączyło wszystkie funkcje, jakie nie były niezbędnie potrzebne, by przeżyć. Dopiero, gdy zaczęłam zdrowieć, uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam bez życia, gdy tam leżałam. Tak samo zagrożony musiał czuć się mój umysł, gdy stałam się ladaczną, wyłączając błyskotliwość i *esprit*. Teraz dzięki humorowi i inteligencji Texeiry budziły się z zimowego snu. Moje myśli i przekonania sennie gramoliły się ze swego schronienia. Przeciągały się rozkosznie i rozglądały wokół zdumione, że oto życie zaczyna się dla nich jakby na nowo. Wyczekiwałam więc owych wizyt i z czerpałam z nich poczucie, że oto nadrabiam stracony czas.

To szczęście nie trwało jednak długo.

W mieszkaniu pode mną mieszkała młoda dziewczyna. Nazywała się Danae, była utrzymanką przyjaciela Texeiry. Odnosiłyśmy się do siebie miło, ale żyłyśmy każda osobnym życiem. Pewnego wieczoru postanowiliśmy wyjść we czworo, ale nie było to zbyt udane. Dziewczyna strasznie się czegoś lękała. Nigdzie nie chciała zatrzymać się na dłużej, w czasie posiłku rozglądała się nerwowo wokół, a kiedy ktoś wchodził do sali, podskakiwała przerażona. Następnego dnia zagadnęłam ją w tej sprawie. Opowiedziałam jej, jak beztrudnie wiodę teraz życie, i spytałam, czy u niej coś jest nie tak.

- Nie, nie - zapewniła. - Mój kochanek jest dla mnie bardzo dobry. Tak, to najwspanialszy człowiek pod słońcem, tylko że... no cóż, tak samo jak pan Texeira.

Zupełnie jakby uważała, że wyraziła się dostatecznie jasno, przeszła do innych spraw, tak że pomyślałam sobie, że to tylko ja czegoś nie rozumiem. Poczekałam, aż skończy mówić i zanim poszłam do siebie, zebrałam się jeszcze raz na odwagę i spytałam, co właściwie chciała mi dać do zrozumienia. Spojrzała na mnie zdumiona:

- To proste - rzekła. - Oni obaj są i pozostaną Żydami.

Już trzy dni później, akurat kiedy po miłosnej nocy usnęłam na piersi Texeiry, drzwi padły pod ciosami topora. Zostaliśmy wyciągnięci z łóżka, brutalnie zakuci w kajdany, pognani w dół po schodach i załadowani do czekającego na ulicy powozu. Danae ze swoim kochankiem już tam leżeli. Zebrani gapie pluli na nas i złorzeczyli, zupełnie jakbyśmy byli Cyganami. Zabrano nas do więzienia, gdzie przez półtora tygodnia czekaliśmy na proces, ubrani tylko w prześcieradła, które w ostatniej chwili ściągnęliśmy z łóżka.

Okazało się, że stosunki seksualne między chrześcijanami a Żydami są w Amsterdamie surowo zakazane przez prawo. Poza wolnością wyznania i osiedlania się Żydzi nie mają tam żadnych innych przywilejów i chociaż częstokroć są majątni i mogą płacić wysokie grzywny, spotykają ich fanatyczne prześladowania. Dopóki Danae mi nie powiedziała, nie miałam o tym pojęcia, a i wtedy nie mogłam uwierzyć. To prawda, że nigdy żadnego nie widziałam w burdelu, ale ani przez moment nie przyszło mi do głowy, że to dlatego, że ich obowiązują inne prawa. Zawsze mi opowiadano, że Holandia z dawien dawna była otwarta dla Żydów, nie rozumiałam więc, jak to możliwe, że dzisiaj stosuje się takie ostre zakazy w stosunku do tego narodu. Zadaję sobie pytanie, czy wiedzą o tym panowie Wolter i Kartezjusz, tak sławiący wolność panującą w Holandii.

*

Całe dwa lata spędziłam w przedzalni. Kara była surowa, atmosfera zaś między więźniarkami nieprzyjemna. W celach walczyło się o wszystko, o siennik, kawałek chleba, koszulę, igłę, a czasem nawet o to, by móc chociaż na chwilę zbliżyć się do otwartego okna. Nieporozumienia rozwiązywało się pięściami, ale też grzebieniem czy nożyczkami. I tak było to bardziej do zniesienia niż to, co się działo w warsztacie, gdzie w ciągu dnia siedziałyśmy przez cały czas wystawione na widok publiczny. Zachowanie płacących za wstęp gapiów więcej mnie nauczyło o ludzkiej duszy, niż kiedykolwiek chciałabym się dowiedzieć. Wystarczy powiedzieć, że na przykład naj-

mniejsza deformacja fizyczna budziła w publiczności krwiożercze żądze. Przez te wszystkie lata była tylko jedna osoba, która regularnie stawiała w mojej obronie. Ordynarne babsko, odsiadujące długą karę za sprzedawanie dusz. Pozwalała ona marynarzom zaciągać u siebie długi, które zgadzała się anulować pod warunkiem, że tamci podpiszą jej listę werbunkową. Tym samym stawiała się właścicielką ich duszy, którą sprzedawała Kompanii Wschodnioindyjskiej i innym kompaniom przewozowym. Miała wprawę w relacjach z marynarzami i gdy uznawała zachowanie ludzi przychodzących nas oglądać za nazbyt już obrzydliwe, potrafiła się za mną wstawić jak mężczyzna. Kiedy wreszcie wychodziłam na wolność, właśnie ona, która zawsze była opryskliwa i w pogardliwym milczeniu znosiła swój los, jedyna podniosła się z miejsca, żeby mnie objąć.

Od tamtej pory więcej jej nie widziałam. Nie miałam pojęcia, że jest tak chora. Kiedy pojawiłam się w przedzalni z panem Jamiesonem jako widz i dostałam się w jej ręce, z najwyższym trudem rozpoznałam jej twarz, tak ogromnie była zniszczona chorobą.

*

Texeira zdołał się jakoś wykupić ze ścieralni drewna, gdzie miał odbywać karę. Przeprowadził się do Hagi i tak bardzo było mu wstyd za cierpienia, jakich przez niego doznałam, że nie chciał mi się pokazywać na oczy. Nawet dobrze się złożyło, ponieważ byłam wściekła i czyniłam mu najgorsze wyrzuty. On jednak proponował mi comiesięczną rekompensatę, której przyjęcia w mojej sytuacji nie mogłam odmówić. Wynajęłam za to pokój przy Rusland i pięterko dla Danae, jako że jej przyjaciel okazał się mniej lojalny. Danae wróciła do dawnego zajęcia i płaciła za swoje lokum, odstępując mi procent od wszystkiego, co dostawała. Później przyprowadziła do nas na tych samych warunkach Giovannę. Była to jej przyjaciółka jeszcze z Parmy, która w celu przyciągnięcia klientów podawała się za córkę weneckiego arystokraty; na to kłamstwo mógł się nabrać tylko ślepiec bez powonienia.

Ja sama nie mogłam wrócić do takiego życia. Potrzebowałam czasu, by dojść do siebie. Nawet samo wyjście między ludzi sprawiało mi trudność.

Nie przemawiała już do mnie holenderska otwartość. Ludzkie spojrzenia bolały bardziej niż przedtem. Kiedy ktoś - tak samo jak zawsze - przy powitaniu najpierw dostrzegał moje blizny, a dopiero potem mnie samą, kurczyłam się wewnątrz, zupełnie jakby w następnej chwili miał rozbrzmieć chór ordynarnych głosów, znanych mi z przedzalni. Uprzejmość, jaką ludzie pokrywali potem swój przestach czy współczucie, tylko mnie drażniła i sprawiała, że stawałam się nie do zniesienia. Obojętnie jak dobre mieli intencje, bezlitośnie smagałam ich słowami. Z kolei widząc pobladłe twarze moich ofiar, zaczynałam się brzydzić sobą i tym rodzajem kobiet, do którego przyszło mi należeć. Tyle lat umiałam pozostawić moją szpetotę na zewnątrz, lecz rozgoryczenie sprawiło, że przeniosła się ona także do środka. Zaczęłam się obawiać o swoją duszę i nie widziałam innego ratunku, jak tylko ukryć jakoś przed światem owo piętno, które odróżniało mnie od innych, tak jak to już zrobiłam raz w Wenecji. Nie przypuszczając nawet, że w ten sposób zmienię swój najsłabszy punkt w najmocniejszy atut, postanowiłam, że odtąd zawsze już będę skrywała twarz za woalką.

*

Oto moje życie. Tak właśnie wyglądało.

*

Wcale nie żyję tą przeszłością, trzymam się mocno dnia dzisiejszego. Oczywiście długo się wahałam, czy tak otwarcie o tym wszystkim opowiedzieć. Pewnie, że wolałabym to i owo upiększyć, a najlepiej milczeć w ogóle. Przywoływanie w pamięci zdarzeń z mego życia kosztuje mnie wiele trudu i nigdy bym się na to nie zdecydowała, gdyby nie cel, który mam przed oczami: zyskanie zrozumienia dla tych rozważań i mojej decyzji, o której zaraz opowiem. Dlatego musiałam opowiedzieć o wszystkim, nie przemilczając niczego, nawet jeśli miałyby to oznaczać utratę sympatii dla mojej osoby. Jeśli ścieżka, którą wybrałam, wzbudzi waszą niechęć, rozważcie

tylko, proszę, do czego miała ona doprowadzić.

TLR

3.

Giacomo siedzi przy mnie w teatrze w Amsterdamie.

-Wygląda na to - mówi ze sceny aktorka - iż los znajduje upodobanie w odrywaniu mnie od tych, którzy mnie kochają.

Nie mógłby już być bliżej. Widownia jest pełna, siedzimy ciasno stłoczeni. Przy każdym oddechu stykamy się bokami. Przez długie minuty oddechamy w jednym rytmie jak ludzie, którzy spędzili razem całe życie. Zupełnie jakbym któregoś z tych ranków w Pasiano wdrapała się do jego łóżka, by już nigdy stamtąd nie wyjść.

Wtem mi umyka. Wybucho śmiechem. Publiczność rechocze z jakiegoś krotochwilnego powiedzonka. Nie mogę skupić myśli. Rozweselony Giacomo spogląda na mnie i śmieje się z całego serca, chociaż nie mam pojęcia, z czego. Wszystko to zaburza nasz wspólny rytm. Rozbawienie wyciska mu całe powietrze z płuc, trzęsą mu się ramiona. Gwałtownie nabiera tchu. Jeszcze raz krótko parska śmiechem i znowu łapiemy wspólny rytm. Wdech i wydech. Jego żebra dotykają mego boku. Wydech. Wdech. Mam wrażenie, jakbym czuła bicie jego serca, a może to tylko moje?

- Skąd ty się wzięłaś, Fatimo? - pyta aktorka, robiąc wielkie oczy ze zdumienia. - Płakać po utracie mężczyzny? Czy to modne w tym kraju?

*

Przez cały dzień byłam zdenerwowana. Żałowałam swojej spontaniczności i tego, że wysłałam mu list z tak zuchwałym wyzwaniem. Zakład, w którym nagrodą jest miłość! Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że uda mi się taka sztuka w jego obecności? Wizyta w przedzalni, dwa dni temu, podraż-

niła mi nerwy. Moja przeszłość znowu została przywrócona do życia, a moja przyszłość była bardziej mglista niż kiedykolwiek. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to popaść w jeszcze większe pomieszanie. Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaką to awanturę wdałam się swymi zuchwałymi słowami, bo mówiąc szczerze, żadnego planu nie mam.

Jeszcze na godzinę przed wyjściem z domu zastanawiałam się, czy wszystkiego nie odwołać. Byłam już gotowa do wyjścia, w najlepszej sukni, z nową woalką z najdelikatniejszej indyjskiej gazy, kiedy wpadłam w panikę. W ostatniej chwili chciałam wywinąć się od tej próby, tak jak próbowałam się wywinąć sprzedawczyni dusz. Ostatecznie jednak wzięłam się w garść i postanowiłam spojrzeć na całą sprawę racjonalnie. Czego chciałam? Co mogłam osiągnąć? Widziałam przed sobą cztery możliwości.

1. Najbardziej oczywiście chciałabym, aby wszystkie te minione lata odeszły w zapomnienie, a ja mogłabym podjąć wątek w tym samym miejscu, w którym własnoręcznie - wskutek takich a nie innych okoliczności - go przerwałam. To pragnienie jest nierealne. On zmienił się nieodwołalnie wskutek mego zniknięcia, a ja wskutek dotychczasowego życia. Lucia i Giacomo z Pasiano już nie istnieją. Obydwoje zamordowaliśmy te niewinne istoty, jakimi wówczas byliśmy, i przyjęliśmy nowe nazwiska.

2. Nieco bardziej realne: brać rzeczy takimi, jakimi są. Zagrać w otwarte karty, opowiedzieć mu, co wiem, a czego on się nawet nie domyśla. W tym wypadku musiałabym zdradzić mojej dawnej miłości swoją prawdziwą tożsamość. Wtedy mogłabym mu wyjaśnić, co chciałam osiągnąć tą „zdradą” i wyrazić głęboki żal, że wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Lecz czy to by cokolwiek zmieniło? Czy prawda nie przychodzi za późno? Pan Seingalt tak wygodnie przecież zasłania się tym, co mu się wydaje. Całe swoje wygodne życie na tym zbudował. Czy w ogóle zechce i jest jeszcze w stanie zmienić swoją opinię o mnie, o Lucii, i oddać mi sprawiedliwość? W skrajnym wypadku byłabym zmuszona pokazać mu prawdziwą przyczynę mego odejścia, właśnie tę, której tak chciałam mu oszczędzić: musiałabym unieść woalkę i rzucić mu się do stóp. A wtedy mogłyby się stać dwie rzeczy: albo odwróciłby się ode mnie ze wstrętem, co byłoby dla mnie równoznaczne ze śmiercią, albo by wszystko zrozumiał, wzniósł się ponad obrzydzenie i ogarnęłaby go fala współczucia. To ostatnie byłoby jeszcze straszniejsze niż śmierć.

3. Zmilczeć i pozostawić go w przeświadczeniu, że Galatea de Pompignac nie ma nic wspólnego z jego Lucią. W tym wypadku odegramy grę miłości na równych prawach i po raz drugi, tym razem poznając siebie, jak poznaje się dwoje dorosłych ludzi. Pozwoli mi to ujrzeć go naprawdę. Będę mogła go do woli obserwować i zgłębiać. Ba, może nawet zakocha się we mnie ponownie, we mnie takiej, jaką jestem teraz? A ja może zakocham się w nim. Lecz co potem? Jak to się potoczy? Nigdy już nie będzie mi wolno zdradzić swej prawdziwej tożsamości. Takiego oszustwa nigdy by mi nie wybaczył. W tym wypadku muszę dla niego na zawsze pozostać Galateą de Pompignac, numerem takim to a takim w szeregu oszustek, a on niezmiennie będzie odczuwał pogardę dla Lucii.

4. A może znów uciec? Pozwolić, żeby poszedł do teatru, a samej się nie zjawić? Byłaby to dlań taka obraza, że nie chciałby się już ze mną widzieć. Nigdy by się wtedy nie dowiedział, kim naprawdę jestem. I wyjechałby z tym samym obrazem Lucii, z jakim tu przybył. Wszystko zostałoby po staremu. Swojej kolejnej miłości znów opowiadałby o tej pierwszej, która tak okrutnie zeń zakpiła, i leżąc w ramionach świeżo upieczonej gołąbeczki, zżymałby się na ordynarny podstęp jakiejś tam włoskiej pokojówki.

Wystrojona siedziałam przed lustrem, nie mogąc się ruszyć. Był już najwyższy czas udać się na umówione spotkanie, ale pośród wszystkich mankamentów wynikających z tego przedsięwzięcia nie widziałam ani jednego pożytku. No, poza oczywiście jednym, że spędzę jeszcze kilka godzin w towarzystwie Giacomina. Przeklinałam się za list, w którym chełpiłam się, że w każdym wypadku wyjdę ze sprawy zwycięsko, podczas gdy wyglądało na to, że będzie dokładnie odwrotnie. Tylko jakiś cud mógł mnie jeszcze wyratować z opresji.

W tym momencie przypomniałam sobie, jak Zelida odradzała mi myślenie przed podjęciem najważniejszych decyzji: gdy masz wątpliwości, wycofaj się w ciszę, zamknij oczy i weź kilka głębokich wdechów. A potem uczyn to, co pierwsze przyjdzie ci na myśl. „Rozum - mówiła - podsuwa nam mnóstwo możliwości w jednym

i tym samym czasie. Intuicja bezbłędnie wybiera spośród nich tę najlepszą”.

Zamknęłam oczy.

Człowiek może chcieć tylko jednej rzeczy w tym samym czasie.

*

Mieć obok siebie Giacoma i jednocześnie skupić się na przedstawieniu - to naprawdę zbyt duże wymagania. Obydwoje mieliśmy oczy skierowane na scenę, lecz odkąd kurtyna poszła w górę, myślami rzadko tam byłam. Napawałam się naszą milczącą bliskością, taką oczywistą. Jego oddech przyspiesza, tułów się napina. Giacom zmienia pozycję, nachyla się ku mnie. By móc przysunąć się bliżej, obejmuje mnie ramieniem. Delikatnie przyciąga mnie do siebie.

- Widzi pani teraz - szepcze - do jakiego to może prowadzić nieporozumienia?

Bąkam coś potakująco, tajemniczo wszechwiedząca jak sfinks, chociaż tak naprawdę zupełnie nie mam pojęcia, czego dotyczy ta aluzja. Na ułamek chwili muska nosem moje ucho! Muszę się lepiej skoncentrować na tym, co dzieje się na scenie. Zaraz będzie chciał o tym porozmawiać. Bogu dzięki, nie zadaje już żadnych pytań i prostuje się w fotelu.

Na scenie pojawia się kobieta z zakrytą welonem twarzą.

Nie wiadomo, kim tak naprawdę jest.

Kątem oka obserwuję Giacoma. Znał tę sztukę i pewnie wybrał, ją nieprzypadkowo.

Rzecz dzieje się w Turcji, w pałacu muftiego. Mufti zakochał się właśnie ponownie w kobiecie, którą kiedyś odepchnął.

Serce zaczyna mi bić szybciej. Moje poruszające się w rytmie płytkich i gwałtownych wdechów żebra wyprzedzają spokojny rytm oddechu Giacoma.

Na mocy prawa proroka Mahometa mufti nie może przyjąć z powrotem swej wzgardzonej ukochanej, zanim kobieta nie zostanie żoną innego. Imam wymyśla rozwiązanie i wynajmuje pewnego Włocha, Arlekin. Otrzymuje on zapłatę, by jeszcze tej nocy pojał za żonę Zaidę i nie tknąwszy jej nawet palcem, porzucił, bo wtedy mufti będzie już mógł ponownie ją poślubić. Całkiem przypadkowo Arlekin jest owym nieznanym wybawcą, który uratował kobietę przed utonięciem - mężczyzną, którego ona tak naprawdę kocha. Dwoje zakochanych spędza noc poślubną w jednym pokoju, nie domyślając się nawet, kim są. Całkowicie ubrani ze znużeniem czekają nadejścia poranka. Siedzą obok siebie, on ukryty w ciemności, ona za welonem i nawet nie zdają sobie sprawy, jak są blisko szczęścia.

Tym razem sala już się nie śmiała, tylko wstrzymała oddech.

Wszystko kończy się występem baletu i popisem wokalnym Turczynki, która śpiewa:

O, kochankowie, przeszkód się nie bójcie,

i przy uczuciach trwajcie swych.

Dzięki Miłości to wy zatriumfujcie,

bo jej cudowna moc odpędzi złych.

- Jestem zagorzałym zwolennikiem tej kwestii - oświadcza Giacomo.

Siedzimy w *chambre separee* w jednej z miejskich kawiarni. Drzwi i ściany malutkiego ośmiokątnego pokoiku są obciągnięte półaksamitem kobaltowego koloru. Z mroku bezwstydnie wyziera miękka kanapa pełna pomarańczowych poduszek. Znam to pomieszczenie, ale nie daję nic po sobie poznać. Kiedyś wcześniej jadłam tutaj z pewnym dżentelmenem kolację, a potem sama stałam się jej deserem.

Giacomo znowu śmieje się z głupoty muftiego, który uciekał się aż do takich sposobów, żeby osiąść kobietę.

- Umowy służące związaniu dwojga ludzi byłyby znakomitym pomysłem, gdyby życie było niezmiennie. Tymczasem ono wciąż nas zaskakuje. „Więcej improwizacji - woła do nas - preludiów, wariacji!”. Nie uważa pani, że człowiek w każdej chwili powinien być gotowy do zmiany kursu?

Wierność na wieki to przysięga dla głupców albo dla mniszek, które dają się замуrować w celi.

Rozlega się pukanie i wchodzi służący. Odchyliwszy się w fotelu, Giacomo ze swobodą składa zamówienie. Nawet nie zadaje sobie trudu, by udawać, że tego rodzaju schadzka jest dla niego nowością. Aż dziwne, jak bardzo czuję się dotknięta jego postawą. O ileż bardziej wolałam, gdy trwał w milczeniu obok mnie, niż kiedy tak peroruje, siedząc naprzeciwko. Złości mnie sposób, w jaki odgrywa światowca. Albo może raczej nie odpowiada mi, że on naprawdę jest światowcem. Ma go świat, podczas gdy mogłabym mieć go ja. Świat mi go odebrał. Czy wolno mi mieć mu to za złe?

- Ale przecież nawet pan zamierzał kiedyś kogoś poślubić - mówię, gdy znowu zostajemy sami.

- Ja? - Naprawdę jest zaskoczony. - A kiedy miałoby to być?

Chciałabym go spoliczkować, ale powtarzam sobie w duchu, że muszę pozostać tą, za którą mnie uważa.

- Niewątpliwie działa się to w momencie nieopisannej słabości - kontruje - jednak... Sam mi pan o tym opowiedział. Pańska pierwsza miłość, gdzieś w okolicach Wenecji? Co więcej, był pan zawiedziony, gdy okazało się, że ślubu nie będzie.

- Ach, to? Byłem jeszcze dzieckiem.

- Otrzymał pan więc twardą lekcję, ale najwyraźniej wyciągnął pan wnioski.

- Nauczyłem się nikomu więcej nie dać złapać mego serca.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ta niewdzięcznica wciąż jeszcze ma je w swoim posiadaniu?

- Nikt na świecie nie kochał mnie tak jak ona. A jednak nie przeszkodziło jej to, by mnie zdradzić bez chwili wahania czy żalu.

- Nie może pan tego wiedzieć.

- Istotnie. Dopóki jednak nie pojmem, dlaczego moja wierność nie zasłużyła na lepsze potraktowanie, nigdy nie związę się na zawsze z żadną duszą.

- Czyżby zatem od tamtej chwili nigdy nie był pan wierny?

- Wprost przeciwnie, zawsze byłem wierny, bez wyjątku, wiemy każdej nowej miłości od nowa.

- Ale na całe życie nie...

- Z takim uporem uderza pani wciąż w ten sam ton, że aż zaczynam się obawiać, czy się co do pani nie pomyliłem. Z pani listu wywnioskowałem, iż szuka pani rozrywki w mojej prowokacji, teraz natomiast mam wrażenie, jakbym słuchał jednej z owych kobiet, których największym marzeniem jest pozwolić zakuć się na zawsze w małżeńskie jarzmo.

- Z pewnością tak nie jest, drogi panie - odpowiadam podejmując jego przesiąknięty lekką ironią ton. - Cóż komu po małżeństwie, które tylko zmienia utalentowanych mężczyzn w małżonków, a błyskotliwe kobiety w ich niewolnice?

Wniesiono perliczkę. Kucharz ostrzy noże, wbija je w mięso i dzieli pieczone kilkoma głębokimi cięciami.

- Chodzi mi, drogi kawalerze, wyłącznie o wygranie zakładu. W tym celu jednak muszę najpierw wiedzieć, co pan sądzi o miłości i w jaki sposób pan do niej podchodzi.

- Nie inaczej, niż zamierzam czynić to nadal - oświadcza śmiało Seingalt - i to możliwie szybko. Przy pierwszej okazji bardzo chętnie dostarczę pani wszelkich wyjaśnień i dowodów na wszystko, o co pani zapyta. Będzie pani mogła potem do woli analizować je sobie i układać w wybranej kolejności.

- Czy zawsze panu tak śpieszno?

- Nie zostało mi już wiele czasu w tym mieście. Zaraz na początku przyszłego roku spodziewa się mnie w Paryżu, gdzie mam zdać sprawę rządowi z moich postępów tutaj. - Spojrzał na mnie bezczelnie. - Mam nadzieję, że będę mógł zameldować powodzenie na wszystkich frontach?

Nie daję mu odczuć zwycięstwa i jeszcze przez chwilę trzymam go w niepewności.

- Skoro jeszcze nigdy nikogo pan nie zawiódł, tak jak pan utrzymuje, to najwyraźniej nigdy nie wzbudzał pan w kobietach zbyt wysokich oczekiwań.

Wybuchła pewnym siebie śmiechem.

- Skoro bowiem żadna z pańskich przyjaciółek, drogi panie, nigdy nie skarżyła się na to, że znika z pańskiego życia, przyczyna tego stanu rzeczy może być moim zdaniem dwojakiego rodzaju: albo zachował się pan w ich ramionach tak niegodnie, że z wielką wdzięcznością wycofały się z jakiegokolwiek dalszego ciągu...

- Proszę zgadywać po raz drugi - nie daje się zbić z tropu Gia- como.

- ...albo też zawsze zachowywał się pan wobec nich w sposób niedwuznaczny i od samego początku wyraźnie dawał odczuć swoje pragnienia.

- Nigdy mniej wyraźnie niż pani w swoim liście do mnie. Jakkolwiek muszę przyznać, iż najczęściej formułuję jednak warunki w nieco bardziej zawołowanych słowach. No ale cóż, moim zadaniem jest zdobywać kobiety. A wiadomo, że są one bardziej wyczulone na słodkie słówka. Pani zaś miała przekonać tylko mężczyznę, taką istotę, która przybiegnie, gdy tylko gwizdnie pani na ulicy.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie! - parskałam śmiechem.

- Pan musi się usilnie starać o coś, co chciałby pan otrzymać natychmiast, a my na każde zawołanie możemy dostać to, czego wcale nie pragniemy.

- Jest pani niesprawiedliwa wobec swoich sióstr. Poznałem mnóstwo kobiet spragnionych miłości tak gwałtownie, że niejednen mężczyzna nie zdołałby im sprostać.

- W takim razie z pośpiechu nigdy nie miał pan czasu zauważyć, że kobieta czerpie przyjemność z uwodzenia, podczas gdy mężczyzna pragnie jak najszybciej odnieść zwycięstwo.

- Błąd. Układając sobie strategię, doznaję takiego samego spełnienia, jak wówczas, gdy trzymam już zdobycz.

- W takim razie jesteśmy sobie warci - mówię i stukam się z nim kieliszkiem. - Sante!

W trakcie posiłku daje mi próbkę swoich szalonych przygód. Mniej słucham tego, co mówi, a bardziej brzmienia jego głosu. Nadal jest tak oficjalny, jakbyśmy prowadzili konwersację w salonie, gdzie goście starają się zdobyć poklask jak najcelniejszym dowcipem. Nie chcę tego i usiłuję sobie przypomnieć, jak to było, kiedy dawno temu przybiegałam do niego rano, wdrapywałam się na jego łóżko, trzymając w dłoni zioła, które dlań zerwałam, a on mnie strofował, bo ziemia z korzonków sypała mu się między prześcieradła.

Ponieważ on zauważa, że słucham jednym uchem, pyta o mnie i moje życie. Niewątpliwie z doświadczenia wie, że takie zainteresowanie wywołuje u kobiet zamierzone efekty. Opowiadam mu trochę o sprawach, których na pewno nie skojarzy z Pasiano. Dostosowuję się tonem do jego opowieści. Próbuję mówić tak, jak czuję, a nie tak, by to było jak najbardziej błyskotliwe. Trochę nas to zbliża i w rezultacie sprawia, że i on zaczyna mówić w sposób bardziej osobisty.

- Czyżby pani nigdy nie przyrzekła swego serca nikomu?

- Ależ oczywiście, że tak - odpowiadam. - Oddałam je nawet bardzo wcześnie, pewnie tak samo wcześnie jak pan, już za pierwszym razem.

- Czy ów szczęśliwiec nadal się nim cieszy?

Jesteśmy w połowie drugiego dania, podano pasztet cielęcy, i zadaję sobie pytanie, czy na pewno da się utrzymać tę grę pozorów do samego końca.

- Straciliśmy się z oczu.

- Taka beztroska stanowi wystarczający dowód. Powinna się pani zatem zgodzić ze mną, że należałoby nieco skorygować oczekiwania w kwestii wierności.

- Patrząc praktycznie, jak najbardziej. Życie toczy się dalej. W teorii jednak przykładam wielką wagę do niewinności tego pierwszego przyrzeczenia, większą niż do samego życia. Większą niż do czegokolwiek, co mi potem opowiadano czy czego mi dowodzono. W najczarniejszej rozpaczyci pociesza mnie świadomość, że kiedyś istniało coś tak bezdyskusyjnie szczerego.

- Lecz nawet tego najszczęśliwszego z przyrzeczeń nie zdołała pani dotrzymać.

- To zupełnie bez znaczenia!

Głos mi się załamuje. Udaję, że się czymś zakrztusiłam, i szybko wypijam parę łyków wody. Nagle zaczynam się bać, że zdradzę się właściwą sobie gestykulacją, po której rozpoznał mnie swego czasu w Wenecji jego brat. Francesco jednak był bardziej spostrzegawczy od Giacomina, i pewnie też bardziej wrażliwy. A zresztą, minęło już tyle lat. Czas zrobił swoje. Mój głos jest głębszy, ramiona bardziej spadziste, ciało pełniejsze niż wtedy. Nie, jak długo mam woalkę, nie muszę się obawiać rozpoznania. Kontynuuję więc już nieco spokojniej:

- Widzi pan, po prostu jedyne, czego mogę się w życiu trzymać, to wiara, że obydwójce szczerze wierzyliśmy w to, co mówiliśmy.

- W takim razie zaznała pani więcej szczęścia ode mnie.

- Czyż mogliśmy być nieszczerzy w swej niewinności?

Zwracam się do niego tak bezpośrednio i natarczywie, że nie ma

odwagi udzielić odpowiedzi. Z najwyższym trudem przychodzi mi dalej udawać, że jestem dla niego obcą osobą. On nalewa sobie i mnie, w zamyszeniu kroi kawałek mięsa leżący na talerzu.

- Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek był niewinny. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że w młodości kierowałem się kilkoma wartościami, które potem obaliło życie.

- Przykro mi.

- A to dlaczego? - ironizuje. - Przecież to chyba nie pani wina?

Aż muszę przygryźć wargi, żeby się jakoś opanować. Z pewnością nie mógł tego zobaczyć, ale się domyśla.

- To nic strasznego, Galateo.

To imię. Po raz pierwszy nazywa mnie tym imieniem. Brzmi słodko w jego ustach. Chętniej jednak usłyszałabym inne.

- Przecież pani też z pewnością nie żywi tych samych oczekiwań, co wówczas, gdy była pani dziewczynką? - Na moment kładzie swoją dłoń na mojej. - Być dorosłym to widzieć rzeczywistość taką, jaka jest.

Powinnam zareplikować, tak jak tego oczekuje. Nie potrafię. Zbyt wiele myśli przelatuje mi przez głowę. Czuję się taka niedoskonała. Czyżbym mimo tego wszystkiego, co przeżyłam, poczyniła tak niewielkie postępy? Czy moje pragnienie z dzisiaj różni się czymkolwiek od marzeń z tamtych dni? W dodatku mu zazdroszczę. Bo wydaje się, że on poszedł znacznie dalej niż ja. Kiedy opuszczałam Pasiano, wyruszając w świat, wydawało mi się, że zostawiam go za sobą. A teraz wygląda na to, że to właśnie ja zostałam z tyłu.

- Po powrocie od Wielkiego Chana Marco Polo opowiadał o świętych mężach, mających tak wiele szacunku dla wszelkiego życia, że zamiatają gałązką drogę przed sobą. Dopiero wówczas czynią krok do przodu. Umieją, nie uczyniwszy krzywdy nawet najdrobniejszemu robakowi, ale przez całe życie nie udaje im odejść zbyt daleko od domu.

- Bo może już są tam, gdzie chcieli być - mówię.

- Stawianie sobie wysokich wymagań to wspaniały punkt wyjścia. W młodości chroni nas to przed popełnianiem głupstw. Ale jeśli ktoś usiłuje się tego trzymać także później, hamuje tylko własny rozwój. Nie da się ściśle przestrzegać tych zasad, a jednocześnie w pełni uczestniczyć w życiu.

- Więc dlatego pan po nich depcze.

- Giną po drodze. To nieuniknione. Jedne po drugich, jak dzielni żołnierze. Jeśli ktoś chce tego uniknąć, musi poszukać schronienia w klasztorze. Tam nie rani się nikogo i nie jest się przez nikogo ranionym, tak że do końca swych dni można zachować wiarę w to, co mówili nam rodzice.

- Jakże pan jest głęboko rozczarowany!

- Absolutnie nie! Ktoś, kto dostrzega rzeczywistość, wcale nie doznaje rozczarowania.

- A więc wartości, które wyznawał pan jako młody człowiek, nazywa pan teraz złudzeniami? - pytam gwałtownie. - A jak w takim razie nazywa pan tych, którzy dali się panu porwać, głupców, którzy zawierzyli panu całą duszą i sercem? - Zabrzmiał w tym ton urazy. Wypadam z roli. On patrzy na

mnie spokojnie, jakby wsłuchiwał się w echo mego gniewu i w ten sposób próbował go zlokalizować.

- Moment, gdy wyzbywamy się iluzji, zawsze rozrywa nam serce - mówi ze współczuciem. - W tym smutku zawsze jednak wyczuwałem też wielkie piękno.

- Proszę jaśniej!

- Kiedy umrze ktoś, kogo kochamy, wówczas płaczemy, po chwili wszakże uświadamiamy sobie wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, że my przecież jesteśmy nadal przy życiu i postanawiamy sobie od tej chwili o wiele intensywniej chwytać wszystko, co nam jeszcze pozostało z tego cudu. Tak oto właśnie prawda stale i bez litości zmusza nas do uwagi. W ten sam sposób też wypuszcza powietrze z ideałów, których się trzymaliśmy. Bolejemy nad tą stratą, ale tym mocniej chwytny to, co nam jeszcze zostało.

- Czyli?

- Wszystko, co mniej wysublimowane, za to pewniejsze. Mniej nierealne, bliższe rozsądkowi. W ten sposób pozostawiamy swój naturalny stan coraz bardziej z tyłu i rozwijamy się w pełni, stajemy się istotą myślącą. To właśnie jest owo piękno, które mnie tak wzrusza w procesie utraty złudzeń; ból zaś jest dowodem tego, że uczyniliśmy kolejny krok na ścieżce rozumu.

- A ten robak pod naszą stopą, który nie zna nic wyższego ponad swą naturę?

Giacomo wzrusza ramionami.

- Cóż, trudno! - Uderza w dłonie, jakby na moich oczach zgniatał między nimi jakiegoś owada. To kłaśnięcie tak niespodziewanie wdziera się w moje myśli, że z ust wrywa mi się okrzyk przestachu.

- Dobrze pani wie, o czym mówię, prawda? Życie kształtowało panią w dokładnie ten sam sposób, *chere Galathee*. Nigdy łagodnie, tylko zawsze brutalnymi uderzeniami dłuta. Inaczej nie zareagowałaby pani tak gwałtownie.

Moim ciałem wstrząsa drżenie. To dla niego sygnał. Wstaje i obejmuje mnie ramionami. Pozwalam mu na to.

*

Część świec już się wypaliła, w pomieszczeniu panuje prawie całkowity mrok. Zmuszam się, żeby świadomie odbierać każdą pieśczętę. Nie do końca mi się to udaje. Przez wszystkie lata setki razy wyobrażałam sobie tę chwilę na różne sposoby, od dzikiego po dostojny. Kiedy wreszcie do niej dochodzi, cała sytuacja wydaje mi się bardziej nierzeczywista niż moje marzenia. Nie potrafię się w niej zatracić. Jego wargi na mojej szyi. Wydaje cichy jęk, tak jak zwykłam to wówczas robić, z obowiązku, ale nie czuję go, nie czuję, że to on, nie czuję, że to ja. Gra, jaką tej nocy toczy my, używając cudzej tożsamości, rozstroiła także moje ciało. Giacomo to zauważa, waha się przez moment, a potem delikatnie próbuje dalej. Jego paznokcie na moich plecach. To on, próbuję przekonać samą siebie, ta dłoń, to ciało, pojmij wreszcie, że oto nadeszła chwila, której przez całe życie tak ci brakowało! Porzuciłaś już wszelką nadzieję, że ona kiedykolwiek nastąpi, a teraz... A teraz? Składam piersi w jego dłonie. Uchylam nieco woalki, by mógł mnie pocałować. Jego wargi na moment spoczywają na moich. Czuję w ustach jego oddech.

Nagle przestaje.

- Proszę się na mnie nie gniewać. - Prostuje się. - To niewybaczalne, wiem, ale nie mogę. Nic z tego nie będzie. Nie dziś. Błagam, na Boga, niech mi pani wybaczy.

Staram się pozbierać o tyle godnie, o ile to możliwe. Poprawiam suknię i mamrocę coś dowcipnego. Przynosi to skutek dokładnie odwrotny od zamierzonego. Giacomo kryje twarz w dłoniach i oddycha gwałtownie. Teraz to ja obejmuję ramieniem jego szyję, lecz strząsa moją dłoń, zupełnie jakby chciał uciec.

Myślę. Nie wiem, co myślę. Myślę o wszystkim naraz. Że jednak odkrył, kim naprawdę jestem. Że dostrzegł moje oszpecenie. Że okazałam się gorsza od jego innych kochanek. A może, Boże broń, niedobrze się poczuł? Czy też swoim zachowaniem zdradziłam, że jestem ladacznicą i to go do mnie zra-

ziło?

Jego twarz w blasku ostatniej świecy. Pochyla się do przodu, z jedną ręką opartą o stół. Drugą nalewa sobie szklanekę wody i wypija wielkimi haustami, jakby chciał się z czegoś otrząsnąć. Staje przy nim, biorę jego dłoń i gładzę tak, jak pociesza się dziecko, kiedy się przewróci.

- To ta nasza rozmowa - tłumaczy się po jakimś czasie. - Wciąż mam ją w głowie. Tak bardzo nabiła mi ją pani myślami!

Przepraszam go, chociaż tak naprawdę nie wiem nawet za co.

- Nabiła mi ją pani myślami o różnych sprawach, o tamtym czasie. Czasie, o którym sądziłem, że już minął. - Oddech ma urywany, pada ciężko na krzesło. Z żalem kręci głową. - Tak nie można. Pani i ja. To nie jest uczciwe. Chcę być całkowicie dla pani. Ciałem i duszą. Nie mogę w tym czasie błądzić myślami gdzie indziej! Nawet jeśli to tylko jakiś duch z przeszłości.

Sztywniej. On wie o wszystkim!, przelatuje mi przez głowę, ale mówię sobie, że to przecież wykluczone.

- Przy następnej okazji, jeśli w ogóle jeszcze jakaś będzie, Gala- teo, wcale bowiem na nią nie zasłużyłem, wynagrodzę pani wszystko w dwójnasób - mówi ze smutkiem. - Ale dziś wieczór? Nie.

- Na Boga, czy coś się panu stało? - Ujmuję jego twarz w dłonie.

- Nasz zakład. Moje myśli. Pani żyje przeszłością. Obudziła pani we mnie wątpliwości. To przez te rzeczy, o które pani pytała. Pani sugestie. - Znowu się odwraca, jakby zbierając się na odwagę, by wypowiedzieć te słowa: - A co jeśli rzeczywiście sprawiłem komuś kiedyś ból?

- Na pewno nie było to umyślnie - szepczę.

- Przysięgam, że nie. Tyle że... jeśli rzeczywiście raz się to zdarzyło, albo, Boże broń, więcej niż raz, wtedy...

-Wtedy?

Można by pomyśleć, że ten dorosły człowiek płacze. Blask świecy odbija się w spływającej z oka łzie.

- Kto mi zagwarantuje, że nie stanie się tak ponownie?

Nic już nie mówimy. Wiem, co mam teraz zrobić. Staję przed nim i rozbieram się. Zdejmuję wszystko oprócz woalki. W ten sposób osuszam jego policzki. Rozpinam mu guziki, rozchylam spodnie, gdzie jego męskość okazuje się znacznie mniej nieśmiała niż jego słowa. Obejmuję go i całuję, aż natura odbiera mi z rąk inicjatywę. Giacomo rzuca się na mnie, gryząc i mrużąc. Tarzamy się po podłodze jak młode psy. Jedno pozwala się drugiemu przycisnąć do ziemi, aby zaraz potem tym gwałtowniej próbować znaleźć się na górze. Nie zostawiamy sobie czasu na myślenie. Te zapasy tylko podsycają nasze żądze. Po chwili mój kochanek musi się już przytrzymać za nogi kanapy, aby nie szorować plecami o deski podłogi. Dosiadam go, ujeżdżając na przemian galopem i stępem. Widzę, jak z rozkoszy uciekają mu oczy. Zapomniał o wszelkich dręczących go wątpliwościach. Przez moment czuję dumę, że tego dokonałam. A wówczas dociera do mnie prawda.

Nagle, w samym środku tego wszystkiego, jednak go przejrzałam. Człowiek tak doświadczony w miłości, jak on, zna wszelkie możliwe strategie. Nauczył się myśleć tak, jak kobiety, które zdobywa. Ta wiedza jest jego tajną bronią. Czyż to nie oczywiste, że oto właśnie zastosował ją wobec mnie? Tylko w tym celu, by jeszcze intensywniej mnie zaangażować. Czyż jest dla mężczyzny skuteczniejszy sposób skłonienia ku sobie kobiety, niż niespodziewanie okazać wrażliwość? Giacomo jest w tej grze tak wyrafinowany, że doskonale wie, jak niepohamowanie potrafi zapłonąć namiętność kobiety, gdy obudzi się w mej współczucie. Oczywiście, że tak właśnie było: przecież ledwie przed chwilą odegrał scenę, w której spod powłoki neutralnej konwersacji ukazała się jego wrażliwość. Czyż to nie oczywiste, że tylko udawał niespodziewane wzruszenie, aby zdobyć moją przychylność, co więcej, aby pobudzić moją czułość, w nadziei, że chcąc go pocieszyć, okaże więcej inicjatywy, czyli dokładnie to, co teraz, o ja naiwna, czynię?

Wszystko to przebiega mi przez głowę w jednym błysku. Natychmiast wszakże odrzucam ową myśl, tak jak nauczyłam się odrzucać to, o czym nie chcę wiedzieć. Już za późno, by powściągnąć pożądanie. Czuję, jak pod moimi udami naprężają się mięśnie jego brzucha. Czuję jego ciało w swoim. Całkowicie skupiam się na tej przyjemności i z nieudawanym podnieceniem zajeżdżam go do końca.

4.

Próbowałam nabrać dystansu. Kiedy tuż po zwolnieniu z przedziałni opuściłam zasłonę między sobą a światem, chodziło mi o to, by się odciąć. Pierwsza woalka, jaką sobie kupiłam, była z tkaniny z Gazy. Oczka miała niespecjalnie drobne, ale cała materia została kunsztownie wyszyta w biedroneczki, które uniemożliwiały zajrzenie do środka, a nie przesłaniały widoku na świat. Inaczej niż w Wenecji, gdzie jest rzeczą normalną paradować po ulicy w najróżniejszych rodzajach maskach, w Amsterdamie nie było to przyjęte. Arystokratki nosiły oczywiście woalki, ale wyłącznie w teatrze lub na balu. Na ulicy zawoalowaną kobietę widziało się co najwyżej w powozie, nigdy natomiast nie spacerowała tak po prostu ulicą.

Potrzebowałam nie lada odwagi, by wyjść w ten sposób za drzwi domu. Najpierw wypróbowałam woalkę przed lustrem, jakieś pięć czy sześć razy. Pierwszy spacer w niej odwlekałam nawet dłużej niż swego czasu pierwsze wyjście na ulicę. Sama się zdumiałam, że łatwiej było mi wyjść na ulicę w charakterze dziwki niż w charakterze damy. Ale tak to właśnie jest: mniejszej potrzeba odwagi, by się obnażyć, niż by się ukryć.

Na pierwszą przechadzkę udałam się o zmierzchu. Postanowiłam, że będę się trzymała cienia i nie oddalę się zbyt daleko od domu. Od razu zwróciłam na siebie uwagę. Nie było to dla mnie nic nowego. Cały czas zwracałam na siebie uwagę. Moje nowe przebranie wzbudzało co najmniej taką samą sensację, jak przedtem blizny, tym razem jednak zupełnie innego rodzaju. Nie było to obrzydzenie, nie było też mowy o uczuciu przeciwnym, czyli litości. Więcej ludzi na mnie patrzyło, lecz mniej mnie to dotykało. Patrzyli ze zdziwieniem i zastanawiali się, co ma znaczyć moje zamaskowanie - i nic więcej. Nie przeszkadzało mi to, ponieważ rzeczywiście pokazywałam im coś zwracającego uwagę. Kiedy stukali się porozumiewawczo, nie sprawiało mi to bólu. Nie odbierałam ich spojrzeń jak wyroku. To odkrycie dodało mi odwagi. Zdecydowałam się kogoś zagadnąć, ot, tak sobie, spytać o drogę, chociaż nie odeszłam dalej niż dwie ulice od domu. Zaczepiony przeze mnie dżentelmen zdjął kapelusz i całkiem obojętnie wskazał mi miejsce, o które

pytałam. Następnie rzuciłam coś o pogodzie. Wdaliśmy się w rozmowę i przeszliśmy razem spory kawałek. Kiedy nasze drogi się rozdzieliły, pożegnaliśmy się jak równi sobie. Ogarnęła mnie taka radość, że dziesięć minut później zupełnie już nie pamiętałam, o czym rozmawialiśmy. Czułam się wolna i spełniona. Komuś, kto nigdy nie był oceniany i klasyfikowany od razu przy pierwszym spojrzeniu, trudno to zrozumieć, ale ja dostrzegłam, że nareszcie stworzyłam sobie przestrzeń, w której będę mogła pokazać, kim naprawdę jestem. No właśnie: stało się tak, jakby dopiero w momencie, gdy ukryłam twarz, objawiła się moja osobowość. A może raczej powinnam powiedzieć, że sama uznałam siebie za godną pokazania dopiero wówczas, kiedy usunęłam się z widoku?

- E, paniusiu! - rozległ się nagle głośny okrzyk. Poczulałam, jak coś ścisnęło mi serce. Moja świeżo zdobyta pewność siebie była wątła i prysła od pierwszego ciosu. Poczulałam szum krwi w uszach. Tak jak się tego nauczyłam, jednym spojrzeniem sprawdziłam wszelkie możliwe drogi ucieczki i oszacowałam prześladowców. Była to grupka podrostków. Szli na mnie ramię przy ramieniu. Jeden z nich wysunął się do przodu i rozśmieszał kompanów, naśladując mój chód. Zwolniłam i zaczęłam rozważać, jakie mam szanse, gdybym zaczęła uciekać. Tamci byli podchmieleni, co było mi na rękę, z drugiej jednak strony moja ucieczka tylko by ich rozochociła i wtedy już na pewno nie pozwoliliby się wymknąć zdobyczy.

- Ostatnia głowa, którą widziałem w takiej siatce, należała do makreli! - zaczął dowcipkować jeden z nich.

- Masz zupełną rację - wpadł mu w słowo drugi - tutaj też coś czuć rybą!

Kiedy młodzian zbierał aplauz od pozostałych, dotarło do mnie, że jego drwina miała charakter ogólny. Wykpiwał mój strój, a nie mnie samą. Moja ułomność była dla nich niewidoczna. Gdyby zamiast mnie spotkali na swojej drodze kogo innego, wtedy ów ktoś również padłby ofiarą ich kpin. Postanowiłam, że będę iść prosto na nich, mając się oczywiście na baczności, jednak zdecydowanie. Przez moment wydawało się, że mnie nie przepuszczą, że złapią mnie i wypatroszą, ale kiedy stanęłam przed nimi, miałam tak nieustraszoną postawę, że ich szyk bojowy się rozpadł i pozwolili mi przejść.

- Cudaczna paniusiu, na pogrzeb barona to w drugą stronę! - zawołał jeszcze za mną któryś, po czym posypały się jeszcze jakieś grube słowa, lecz

na tym się skończyło.

Gdyby ktoś mi powiedział, że publiczne zwymyślanie może podziałać ozdrowieńczo, nigdy bym w to nie uwierzyła. A jednak wróciłam do domu mocniejsza. W głowie rozbrzmiewały mi triumfalne pieśni. Dotychczas zawsze było tak, że wszelkie błoto, jakim mnie obrzucano, naprawdę mnie oblepiało. Zawsze sobie oczywiście wtedy powtarzałam, że te wszystkie obelgi i drwiące spojrzenia, które mnie dosięgały, są nieuzasadnione, ale i tak w żaden sposób ich to nie unieszkodliwiało. Coś takiego może być oczywiste dla kogoś, kto nie wstydzi się własnego ciała, lecz dla mnie było to prawdziwe objawienie: ocena, której poddawali mnie inni, dotyczyła mojego wyglądu, a nie mojej istoty. Jak najgłębiej próbowali zranić mą duszę, lecz trafiali tylko w strój. A ten wybrałam sobie sama. Sama dokonałam wyboru, by pokazać się właśnie tak, a nie inaczej, a to już zupełnie, ale to zupełnie co innego.

Nie zmienia to faktu, że następnego dnia znowu ociągałam się z wyjściem z domu, ale kiedy to już nastąpiło, szłam z podniesionym czołem. Przez następne tygodnie zaczęłam kompletować małą kolekcję. Jak tylko usłyszałam, że przyplłynął ze Wschodu statek ze szlachetnymi tkaninami, pierwsza byłam na nabrzeżu, żeby mieć największy wybór. Znalazłam za wieżą Montelbanstoren krawcową, która szyła mi woalki dokładnie według moich wskazówek. Wspólnie opracowywałyśmy nowe wzory, przy czym krawcowa z coraz większą zręcznością umieszczała tkaninę o gęstych oczkach wyłącznie w newralgicznych miejscach, tak aby nie było widać blizn, ale żeby jednocześnie można było zobaczyć zdrową skórę i - jeśli takie było moje życzenie - także oczy. W ten sposób w krótkim czasie stałam się właścicielką pokąźnego zbioru niezwykle wyrafinowanych woalek. Zwraçały uwagę. One, nie ja. Zrozumiałam, że skoro już jest się innym, to lepiej tę inność jeszcze wyraźniej podkreślić. Nic bardziej nie zwraca uwagi niż człowiek, który wije się jak piskorz w nadziei, że uda mu się dopasować do czegoś, czym nie jest.

Ukrycie się za woalką przyniosło jeszcze jeden nieoczekiwany efekt, mianowicie uczyniło mnie atrakcyjniejszą dla klientów. Mężczyźni lubią zgadywać. Wolą szukanie niż pewność. Każda kobieta może potwierdzić, że bardziej podsyca żądę kochanka pokazanie mu zarysu stwardniałych sutków pod obcisłą materią niż podanie od razu wszystkiego na tacy. Obietnica to połowa zwycięstwa, druga to przedłużanie oczekiwania. Posiadłszy owe

dwie umiejętności, dobra ladacznicą w pełni usatysfakcjonuje dziewięciu na dziesięciu klientów.

Obietnica ukryta pod moją woalką okazała się nie do odparcia. Doszukiwano się pod nią jakiejś tajemnicy i nowina się rozniosła. Nie było już wieczora, żebym nie miała chętnych, wśród nich wystarczająco wielu z najlepszych kręgów. Zupełnie jakbym nagle znalazła się w innym świecie: nie musiałam już czekać, aż zostanę wybrana, tylko sama mogłam wybierać. A przy wyborze brałam pod uwagę ich ciało i zasobność portfela, i żeby nie byli zbyt nie-urodziwi, co od razu uczyniło moją profesję znacznie przyjemniejszą, nawet do tego stopnia, że kilkakrotnie zdarzyło mi się nieomal zapomnieć, że robię to z konieczności. Ponieważ zaś wykonywałam swoją pracę z większą przyjemnością, tym większą przyjemność mieli ze mną panowie. Zaczęłam podnosić stawkę, najpierw ostrożnie, z obawy, że mogę sama wyrugować się z rynku, a potem coraz śmieiej, ponieważ zorientowałam się, że wraz z ceną, jaką trzeba za mnie zapłacić, stale wzrasta też poziom moich klientów.

Im bardziej nieprzenikniona stawała się moja tajemnica, tym wyższe były kręgi, w których o niej mówiono. Pewnie byłoby przesadą twierdzić, że wykreowałam pewną modę, faktem jednak jest, że mniej więcej w tym właśnie czasie w wielu lepszych domach publicznych wprowadzono instytucję dziewcząt, zwanych Salome. Były to tancerki upozowane na przybyłe ze Wschodu, kryjące twarze za zwiewnymi woalami, ponieważ pojawiło się na to zapotrzebowanie. Błąd, jaki popełniały owe amatorki, polegał na tym, że za odpowiednią opłatą zdejmowały woalkę, a więc coś, czego ja nigdy nie zrobiłam, obojętne jak usilnie mnie o to błagano. Każdy nowy kochanek co najmniej raz odważył się o to poprosić, niekiedy oferowano mi wysokie sumy za bodaj jedno spojrzenie na moją twarz. Im bardziej zdecydowanie odmawiałam, tym bardziej pociągająca stawała się moja tajemnica.

Szybko doszłam do takiego etapu, że mogłam poprzestać na kilku stałych klientach, panach z towarzystwa, z którymi mogłam się czuć swobodnie. Jednym z nich był Jan Rijgerbos, przychodził też Egbert Trip i kilku innych członków władz miejskich. Każdy z nich miał swój stały wieczór, którego niecierpliwie wyczekiwał, i za każdym razem starał się, żeby ów czas był w jakiś sposób szczególny. Wiedzieli o sobie nawzajem i każdy z nich robił wszystko, by zostać moim faworytem. Aby zapewnić sobie stały dochód i

mieć na czynsz, zawsze wiązałam się też z kimś, kto był w mieście tylko czasowo i czuł się samotny, na przykład z posłem ambasady hiszpańskiej albo kupcem takim jak Jamieson, dobrze sytuowanym i wdzięcznym za zainteresowanie.

W ten sposób mogłam się czuć w tej profesji - którą wciąż przecież wykonywałam nie z własnej woli, a tylko z konieczności! - doceniana i do wartościowana. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu wróciło poczucie, że jestem panią samej siebie. Miałam wszystko, czego potrzeba do przyjemnego, ba, wręcz dostatniego życia. A przy tym nie byłam niczyją utrzymanką, gdyż wtedy, nawet jeśli się spotka człowieka tak łagodnego jak biedny Texeira, jest się jednak czyjąś własnością. Teraz mogłam odmówić, jeśli nie miałam ochoty. Utrzymywałam się sama i nie musiałam robić niczego wbrew swej woli. Co więcej, wszystko, co od tej pory przedsiębrałam, zdawało się wzmacniać moje poczucie własnej wartości.

Dopiero kiedy się zamaskowałam i to ja mogłam pociągać za sznurki, dopiero wtedy zaczęłam rozumieć, jak bardzo w przeszłości byłam zależna. Jak dzień w dzień zebrałam o aprobatę. Z bólem przypominałam sobie, jak wdzięczna byłam czasem, kiedy zdarzało się, że spodobałam się mężczyźnie, którego w normalnych okolicznościach omijałabym szerokim łukiem. A także, co gorsza, jak się czułam, gdy taki łajdak, otoczony chmurą własnego smrodu, obrzucał mnie pogardliwym spojrzeniem i przechodził do następnej. Po takim incydencie zazwyczaj jeszcze bardziej się starałam, obniżając cenę i poziom klientów. Dopiero teraz, kiedy ten okres miałam już za sobą, pojawiło się miejsce na wątpliwości, na które dawniej nie mogłam sobie pozwolić. Dopiero teraz rozumiałam, jak bardzo sama się degradowałam.

Mogłabym sobie tłumaczyć, że robiłam to wszystko, żeby jakoś przeżyć. Ale to nieprawda. Przypominam sobie teatr anatomiczny, twarze i ciała dotknięte śmiercią głodową i rozkładem. A jednak wtedy się zgadzałam. Z jednego jedyne powodu, że właśnie ci mnie chcieli. Nie da się tego wyjaśnić wyłącznie koniecznością fizycznego przeżycia. To, co potem było znakiem upadku, wtedy odbierałam jako zwycięstwo. Zajmując się jednym, już myślałam o następnym, zupełnie jak pijak marzy o kolejnym łyku. Tyle że ja nie szukałam rozkoszy, tylko potwierdzenia, że jeszcze jestem coś warta i w niczym nie ustępuję innym kobietom. Za każdym razem, kiedy któremuś dogodziłam, czułam się potwierdzona w swym istnieniu. Najwy-

rażniej musiałam zaspokajać nie tylko głód żołądka. Szukałam smutnego pocieszenia, takiego, jakie odczułam po raz pierwszy dawno temu, jeszcze w Pasiano, kiedy dałam przyjemność staremu hrabiemu Montereale.

Tak czy inaczej, wszystko to miałam już za sobą. Ukryta za woalką ponownie odkryłam obraz samej siebie, który uważałam za bezpowrotnie utracony. Lecz nawet wówczas jeszcze przez jakiś czas byłam wdzięczna światu, że gotów jest widzieć we mnie kogoś innego niż dotychczas, ponieważ dopiero niedawno dotarła do mnie oczywistość, że to właśnie ja nauczyłam się patrzeć bez uprzedzeń! Wreszcie przestałam patrzeć na siebie oczyma innych. To była przyczyna mojego sukcesu, zarówno prywatnie, jak i w miłości. Moje szczęście nie zależało już od tego, co ktoś zechce mi rzucić pod nogi, ponieważ w sobie samej znajdowałam tyle, by jeszcze móc się podzielić. W ten sposób zasłona, za którą szukałam dystansu, w rzeczywistości zbliżyła mnie do ludzi.

*

Kiedy dokonywała się we mnie ta metamorfoza, poczułam też, że oto ujawnia się przede mną ważna tajemnica. W wirze nowych doznań odkrywałam od czasu do czasu przebłysk jakiejś prawdy, której nie potrafiłam do końca określić, tak jak to się czasem w nas dzieje w momencie śmierci ukochanego lub w chwili narodzin dziecka: chodzi o poczucie, iż poza tą jedną osobą wszystko inne nie ma żadnego znaczenia oraz że przez moment patrzymy prosto w oczy samego życia. Przesłonięte wszystkimi tymi emocjami, które nacierały na mnie ze wszystkich stron, jak nacierają na siebie atomy miedzi w kolbie chemika, wrażenia te były ulotne i pozostawały bez wpływu. Aby odkryć, jakie klucze do przyszłości otrzymałam wraz z nową pewnością siebie, potrzebowałam antymonu: środka, który wytrąciłby z roztworu cały ten wzburzony osad. Przejrzysty obraz uzyskałam dopiero dzięki spotkaniu Giacomina.

5.

- To przecież niepojęte - śmieje się Giacomo, kiedy po doznanej rozkoszy opadam z sił i odpoczywam na jego piersi - że są jeszcze ludzie, którzy ten dar niebios nazywają grzechem i z własnej woli wybierają pozbawioną niego wegetację.

Odsuwa mnie na bok i wstaje. Przez moment myślę, że chce się ubrać i wyjść, ale on jest jak najdalszy od tej myśli. Wprost przeciwnie, zupełnie jakby cała sprawa była załatwiona co najwyżej w połowie, siada z nogą założoną na nogę na skraju kanapy, opiera sobie na kolanach moje stopy i zaczyna je delikatnie masować, przedłużając w ten sposób fale mej rozkoszy i wzbudzając je na nowo.

- Tacy ludzie muszą być z innej planety.

*

Giacomo jest dokładnie taki, jak obiecał. Całą pierwszą noc spędzamy w swoich ramionach. Także przez kolejne dni, ostatnie tego roku, nie odstępuję mnie prawie na krok. Napawam się tym jego skupieniem na mojej osobie, jak zdrożony pielgrzym u kresu długiej podróży napawa się kąpielą, snem i błogosławieństwem czystego sumienia.

To prawda, że Giacomo jest kochankiem wyjątkowym, jednocześnie czułym i szczerym. Nie ukrywa, że w pierwszym rzędzie chodzi mu o jego własną przyjemność. To prawdziwa ulga. Twierdzi jednak i ja mu wierzę, iż w pełni rozkoszować się może tą przyjemnością dopiero wówczas, gdy jest ona absolutnie obustronna.

Dlatego w równym stopniu stara się zaspokoić swoją wybranekę, co samego siebie. Ta wyjątkowość sprawia, że żadna kobieta mu się nie oprze. Tak się w to angażuje, iż udaje mu się wzbudzić we mnie poczucie, że jestem

dla niego kimś specjalnym i jedynym w swoim rodzaju. Jest to czyste złudzenie zmysłowe, ponieważ jednocześnie otwarcie opowiada o swoich podbojach. To zdumiewające: z wielką swadą rozprawia o miłostkach z najróżniejszymi kobietami, zupełnie jakbym była jednym z jego kompanów, któremu chwali się przy winie miłosnymi przygodami. Sprawy, które każdy mężczyzna stara się przemilczeć, aby nie zaprzepaścić swojej szansy, Giacomo beztrąsko ogłasza, by zdobyć sympatię. W spokojniejszych chwilach namiętności, kiedy ciało przy ciele odpoczywamy i staramy się złapać trochę tchu, zwierza mi się z najintymniejszych szczegółów wcześniejszych przygód. Niekiedy pyta mnie wręcz, w jaki sposób ja na jego miejscu przeprowadziłabym taką czy inną próbę uwiedzenia albo co odczuwa kobieta, kiedy otwarcie proponuje się jej konkretne, pikantne igraszki. Najbardziej zdumiewające w tym wszystkim jest to, że ani przez chwilę nie jestem urażona czy zazdrosna. Rozmawia ze mną tak otwarcie, że mam poczucie, jakby traktował mnie jak równą sobie. Czegoś podobnego nie zaznałam przy żadnym innym mężczyźnie. Jesteśmy zupełnie jak dzieci, równie nieprzyzwoite, co niewinne, które wspólnie wyśmiewają się ze spraw dorosłych, odkrywanych w trakcie zabawy. Zdaje się mówić: „Oto, jak te sprawy naprawdę wyglądają. Takie są moje przygody. Opowiadam ci o nich, ponieważ w niczym mi nie ustępujesz”.

Równość to niechybny afrodyzjak, ale by miał długotrwałe działanie, muszą go połknąć obydwie strony.

*

- Czternaście! - mówi ze śmiechem.

Dzieje się to w Nowy Rok, w trzecią noc, którą razem spędzamy. Giacomo przedstawia mi swój dylemat dotyczący pewnej pani, wspominał mi już o niej kilkakrotnie wcześniej. Ostatnio udało mu się zrobić na dziewczęciu wrażenie za pomocą magicznych kostek i piramid pokrytych cyframi. To jedna z opowieści, jakimi mnie zabawia, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że cieszę się jego bezgranicznym zaufaniem. Jest zafascynowany młodziutką Hesterą. To córka Hendrika Hoofa, jednego z amster-

damskich ławników miejskich. Już od jakiegoś czasu stara się zdobyć jej przychylność, nie ma jednak odwagi posunąć się do wszystkiego ze względu na jej wiek.

- Pewnie brakuje jej pańskich zalotów, skoro cały czas spędza pan u mnie. I zadaje sobie pytanie, czy aby nie utonąłeś w którymś z kanałów.

- Powiedziałem jej, że muszę się wystrzegać widywania jej każdego dnia, ponieważ każde jej spojrzenie dręczy mą duszę.

- I co? Uwierzyła?

- W ani jedno słowo. - Z podziwem kręci głową. - Czternaście lat, a już taka szczwana!

- Czternasty rok życia to jeden z najważniejszych - stwierdzam tak obojętnie, jak tylko potrafię. - Pozostawia mocne doznania i głębokie ślady. Proszę nie zapominać, że dziewczęta rozwijają się pod tym względem znacznie wcześniej niż chłopcy. A jednocześnie świat nie stłumił jeszcze w nich wrodzonego młodości daru jasnowidzenia. Tak, jest to czas, w którym wszystko, co przeżyje dziewczyna, będzie w niej trwało do końca jej dni. Bardzo proszę, niech pan będzie ostrożny. Czternaście lat to bardzo niebezpieczny wiek.

Czy naprawdę nie zauważa poważnego tonu moich słów, czy też uważa moją troskę za przesadną, dość na tym, że całkowicie je ignoruje. Opowiada o brawurowej sztuczce, za pomocą której przekonał dziewczę o nadziemskim pochodzeniu swoich przepowiedni. Wątpiła bowiem w jego kabalistyczne umiejętności i poprosiła, żeby te jego liczby objawiły jej coś, o czym nikt poza nią nie wie.

- Pośrodku dołeczka w podbródku Hestera ma uroczy ciemny pieprzyk - rzecze Giacomo. - Bardzo malutki, ale troszkę wystaje ponad skórę. Jak wiadomo każdemu, kto jest nieco starszy i dysponuje pewną wiedzą na temat anatomii i fizjologii, wszystkie cechy twarzy, takie jak długość, faktura, barwa i gęstość owłosienia, pełność i wykrój ust, są odbiciem budowy całości innych części ciała, które przyzwoite dziewczę zwykło skrzętnie ukrywać.

- Cóż za głęboka znajomość rzeczy - ironizuję, ale Giacomo święcie

wierzy w te brednie. Żeby się ze mną podroczyć mówi, że jego wiedza o mnie jest dokładnie odwrotna i że jeśli o niego chodzi, to spokojnie mogę nigdy nie zdejmować woalki, ponieważ dawno już wyczytał z mego ciała, jak może wyglądać moja twarz.

- Ponieważ byłem pewny swego - ciągnie z powagą - postanowiłem wprawić Hesterę w zdumienie odpowiedzią na jej bardzo ogólnikowe pytanie, mówiąc jej o czymś bardzo konkretnym: „O, cnotliwa piękności, nikt nie wie, że w najbardziej tajemnym miejscu swego ciała, tym, które stworzone jest wyłącznie do miłości, masz dokładnie taki sam pieprzyk, jak na podbródku”. Była zdumiona i to nie dlatego, że to odgadłem, tylko dlatego, że nie zdawała sobie sprawy z istnienia takiego miejsca. Cóż za niewinne stworzenie! Niedługo potem pozwoliła mojej ręce tam poszukać. Kiedy zobaczyła moje zważenie, ponieważ nie udawało mi się nic wyczuć, pozwoliła mi przekonać się naocznie.

- I?

-Był.

- Ależ oczywiście - mruknełam z przekąsem.

- Nie większy od ziarenka jęczmienia, ale był. Pozwoliła mi go całować aż do utraty tchu.

- I na tym pan poprzestał?

- W jej wypadku tak.

Opowieść go podnieciła. Jest gotowy do drugiej rundy tej nocy, całuje mnie w szyję, a potem coraz niżej, jakby chciał mnie poddać takim samym kosmetycznym oględzinom.

- A cóż mogłem zrobić innego? Czternaście lat!

- Nigdy przedtem to panu nie przeszkadzało.

- Ależ oczywiście, że przeszkadzało. Co za szczęście, że pani ma już za sobą ten uroczy wiek.

- Istotnie - stwierdzam. - Teraz trzeba już naprawdę pochodzić z dobrego domu, żeby jeszcze zrobić na mnie wrażenie.

Odbiera to jako zachętę i pozwalam mu robić swoje, ale sercem nie jestem przy nim. Podczas gdy on zatracą się we mnie, ja czuję tylko, jak każdy jego ruch, pchnięcie, rozkołysanie coraz bardziej wyrywa mnie z odurzenia, w jakim żyłam przez ostatnich kilka dni.

*

Nie należę do kobiet, które widziałyby mężczyzn innymi, niż oni są, a potem odwracały się rozczarowane, kiedy tamci okazują się inni, niż to sobie wymarzyły. Kto niczego nie oczekuje, ten nie może doznać rozczarowania. To pierwsza lekcja. Wydaje się gorzka dla nowicjuszy w sztuce miłości, za to pocieszająca dla nas, zaawansowanych. Ludzie boją się wystawiać swe ideały na próbę. Wolą sięgać poza to, co dostępne, niż chwycić to, co im ofiarowano. Nigdy nie umiałam tego zrozumieć. Można przez całe życie ślinić się, stojąc w pobliżu stołu, do którego nie będziemy dopuszczeni, jednocześnie zaspokajając głód okruchami, które nam rzucają. Umieramy wówczas, zabierając ze sobą do grobu nietknięte ideały młodości, jednak nie zauważywszy cudu, jaki dokonywał się każdego dnia, gdy nasz pusty żołądek przemieniał rzucony nam kęs chleba w prawdziwy smakołyk. Nadzieję na obfitość może mieć każdy, lecz jakiejż trzeba ślepej wiary w wyobraźnię, by czerpać nadzieję z braku!

Tak więc całkiem możliwe, że anegdota Giacomina o Hesterze niepokoi mnie, a jednocześnie jest dla mnie zbawienna. Nic nie umacnia moich marzeń bardziej niż rzeczywistość.

*

- Obawiam się tylko - dodaje jeszcze Giacomo - że to dziewczę zorientuje się, iż takie zewnętrzne zbieżności pomiędzy rysami twarzy a podbrzuszem są czymś zwyczajnym i stanowią niezaprzeczalny fakt natury.

- Mało prawdopodobne - uspokajam go. Nasze ciała wciąż są ze sobą związane. Kładę dłonie na jego biodrach, by nadać im pożądany rytm. - Nawet ja bowiem słyszę dziś o tym po raz pierwszy.

- Wtedy bowiem nie dość, że zniknęłaby jej wiara we mnie, ale jeszcze zamieniła się w pogardę.

W takich chwilach czuję, jak oddalam się od niego. Bez cienia smutku moje serce odchodzi kilka kroków w tył, by lepiej się przyjrzeć Giacomowi.

- Takie obawy bardzo mnie dręczą - powiada. - Dotyczy to także pani! Obawa, że stracę pani szacunek. Pani wiarę we mnie. - Przerywa zabawę i siada wyprostowany na łóżku, naprawdę zatroskany. - To bardzo rani duszę, gdy się kogoś kocha i nagle sobie uświadomi, że nie jest się godnym obiektu swej miłości.

Być może myśli o mnie, a może o niej. Nie ma to większego znaczenia.

- Czemuż zatem pan się upiera? Skoro naprawdę pan sądzi, że na nią nie zasługuje, to proszę zostawić ją w spokoju!

Spogląda na mnie z niedowierzaniem.

- Będąc już prawie u wrót raju? - Myśl o tym, by nie sięgnąć po coś, co jest w zasięgu ręki, jest według niego tak absurdalna, że odpędza jego powagę i sprawia, że Giacomo powraca do przyjemności. Czołga się na czworakach po łóżku, klęka przede mną i delikatnie rozchyła mi uda.

- Stać u wrót raju i odstąpić? - Kręcąc z niedowierzaniem głową, znika między moimi udami. - Jakimże trzeba byłoby być głupcem?

To właśnie ten znak, na który czekałam.

*

Jestem kochanką Giacomą przez cały tydzień, aż do momentu jego wyjazdu do Paryża trzeciego dnia po Nowym Roku. Tylko raz nasza przyjemność zostaje zakłócona. We czwartek po południu pod drzwiami pojawia się pan Jamieson. Ostatnie dni i noce tak pędziły na łeb na szyję, że straciłam poczucie czasu i całkowicie zapomniałam, iż byliśmy umówieni. Staram się

ogarnąć najlepiej jak to możliwe, ale wypada to mało przekonująco. Kiedy po paru minutach wpuszczam go do środka, nadal wyglądam jeszcze jakby mnie ktoś wyłowił w porcie.

- Bardzo mi przykro - mamroczę. - Przeziębienie. Źle się czuję.

- Widzę - mówi Jamieson, całuje mnie i udaje się do salonu, tak jak ma to zawsze w zwyczaju. Ku swemu zdumieniu natyka się tam na kawalera de Seingalta, kompletnie ubranego, elegancko trzymającego w dłoni filiżankę. Giacomo jest o wiele bardziej przekonujący ode mnie. Siedzi niedbale w fotelu z taką miną, jakby spędził tu już mnóstwo czasu i był kompletnie znudzony wizytą u chorej.

- Ach, mister Jamieson! - Zrywa się z miejsca i ściska mu dłoń. - Wreszcie jakaś odmiana!

Następnie podaje mi imbryk do herbaty, który stoi na stole nieużywany od kilku dni, jakby dopiero co ostygł i prosi, abym zechciała zagotować dla gościa trochę wody. Widać, że to człowiek nawykły do wychodzenia z opresji w kompromitujących sytuacjach.

Na dole w kuchni mam wreszcie czas doprowadzić się do porządku i podczas gdy Giacomo zabawia Amerykanina rozmową, ja wchodzę do sypialni przez schody od tyłu domu i zacieram wszystkie ślady.

- Nie rozumiem jednak, skąd pańskie zastrzeżenia do nowego świata? - słyszę pytanie Jamiesona, gdy wracam z parującym imbrykiem. - Czyżby tak się pan obawiał o przyszłość?

- Nie, jeśli chodzi o Europę. Wprost przeciwnie. Zwróciliśmy się już w stronę światła i stoimy u zarania nowej epoki rozumu i równości.

- A czyż Ameryka nie jest właśnie odpowiednim laboratorium, gdzie można wypróbować pańskie teorie, na nietkniętej ziemi, wolnej od mrocznego balastu przeszłości?

- Nasze teorie wyłoniły się właśnie z tejże przeszłości. Opisaliśmy ją, usystematyzowaliśmy i zaczerpnęliśmy z niej nowe myśli, którym nadaliśmy formę i je zdefiniowaliśmy. W ten sposób nareszcie udało nam się przezwyciężyć wrodzoną naturę. To, co wyrosło, jest na razie jeszcze zbyt wątłe, aby je wydobyć z macierzystego gruntu i przesadzić, kiedy wydaje się za-

ledwie załóżkiem. Pański kontynent znajduje się jeszcze w stadium chaosu. Brakuje mu jakiegokolwiek kultury i na pewno także tolerancji, którą my tutaj, w Europie, z takim trudem wywalczyliśmy.

- Sadzę - wtrącam, nalewając herbaty - że ocena pana de Seingalta byłaby o wiele łagodniejsza, gdyby Ameryka dostała się w ręce Francuzów.

- Walka się jeszcze nie skończyła - mówi Giacomo bez cienia ironii. - Tak jak się sprawy mają, będziecie musieli zacząć od podstaw i od nowa stworzyć kulturę.

- Bez obawy. - Mister Jamieson zachowuje spokój ze względu na mnie. - Nowy kraj jest pełen nowych możliwości, których granic jak na razie nie widać. W jednym na pewno mamy nad wami przewagę: nas napędza nadzieja!

- Tak, ta wasza nadzieja, już dawniej słyszałem pańskich krajanów, gdy o niej mówili. To całkowicie irracjonalny optymizm, pochodzący tylko z serca, nie tak jak nasz, z rozumu. On jest tego rodzaju, że podsycy sam siebie i nie potrzebuje żadnych argumentów, by zmienić się w entuzjizm.

- A więc dokładnie tego rodzaju, w jakim zawsze sama znajdowałam oparcie - włączam się lekkim tonem do rozmowy, by powściągnąć temperamenty, i kieruję ją na nieco spokojniejsze wody. Spędzamy jeszcze wspólnie jakieś trzy kwadransy, na koniec Giacomo oświadcza, że nie chce dłużej przeszkadzać rekonwalescentce w powrocie do zdrowia. W drzwiach każdy z panów udaje się w swoją stronę.

- Tyle świata już pan zwiedził, drogi panie - mówi Jamieson na pożegnanie. - Może właśnie pan powinien złożyć nam kiedyś wizytę, monsieur de Seingalt, i na własne oczy zobaczyć te nieograniczone możliwości? Wygląda mi pan na człowieka, który nie waha się sięgnąć po coś, co może chwycić obiema rękami.

- Proszę się nie trudzić - replikuje Giacomo, puszczając obrazę mimo uszu. W tym czasie mruga do mnie na znak, że za chwilę ponownie stanie na moim progu. - Moja noga nigdy nie postanie na amerykańskiej ziemi. Wszystko tam wydaje mi się niewarte zachodu, tak ziemia, jak i ludzie. Może pan być pewien, że nigdy mnie pan nie zobaczy w Ameryce, jak długo oddycham i żyję.

*

Aby dostrzec samych siebie, ludzie patrzą w lustro. Jeśli zobaczą coś nieoczekiwanego, pochylają się w kierunku tafli, by się lepiej przyjrzeć. Ja natomiast widzę siebie wyraźniej z dystansu.

Kiedy pokazywano mnie w teatrze anatomicznym, musiałam wyłączyć myślenie o swej nagości oraz o preparowanych zwłokach. Upadek dodaje umysłowi skrzydeł. Nierzadko wyobrażałam sobie, że siedzę w ławkach ostatniego rzędu amfiteatru. Razem z innymi studentami uczestniczyłam w wykładzie. Patrzyłam, jak profesor odsłania i wycina nerwy z ciała, a potem na żywym modelu, którym byłam ja sama, demonstruje działanie odpowiedniego ścięgna. Z całym spokojem studiowałam zwłoki tej dziewczyny, zupełnie się z nią nie utożsamiając. Były to bardzo pożyteczne wykłady i wiele z nich zapamiętałam.

Później ta umiejętność często pomagała mi w pracy, gdy nie odpowiadał mi klient lub jego żądania. W najgorszych sytuacjach potrafiłam widzieć siebie bardzo wyraźnie. Rozbierając się dla jednego po drugim, będąc przez nich oglądana i obmacywana, patrzyłam na to jak na jakieś przedstawienie, w którym zarazem uczestniczyłam i któremu przyglądałam się z daleka. Naprawdę czułam się wtedy, jakbym była na galerii i patrzyła na tamtą kobietę w dole, odbierającą na scenie lekcję miłości.

Przez te ostatnie dni, jakie spędziłam w ramionach Giacomina, przyłapuję się na czymś podobnym. Cały czas staram się jak mogę, aby powrócić do siebie, lecz przyglądanie się jest takie przyjemne! Z oddali mam idealny widok na swoje szczęście i rozkosz i czuję wdzięczność, że życie dało mi szansę łykania wielkimi haustami tego szczęścia, do którego tak długo tęskniłam. Potem myślę o przyszłości, pożegnaniu i prawdzie, i dociera do mnie, o ileż bezpieczniej jest przyglądać się miłości, niż ją przeżywać. Jakże pragnęłabym, aby wszystko dobrze się skończyło, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Podczas gdy nasze ciała splatają się w rozkosznym uścisku, coraz gwałtowniejszym i bardziej namiętym, w miarę jak kurczy się dany nam czas, układam w myślach jeden plan za drugim. Nagle dostrzegam pewne

rozwiązanie. Z gardła wyrywa mi się okrzyk, jak to się zdarza w miłosnych zapasach, i spazmatycznie łapię ustami powietrze. Ratunek wyłania się zza pulpitu w najwyższym rzędzie audytorium, wysoko ponad łóżkiem, na którym odbywa się sekcja miłości.

*

- Chociaż doskonale wiem, jak nabierać dystansu, to w pożegnaniach nie jestem specjalnie biegła. Moje pierwsze rozstanie z Giacomem zaważyło na całym moim życiu. A teraz przyszedł czas na drugie pożegnanie. Kto to zdecydował tak okrutnie? Zaraz potem będzie czas na jeszcze jedno, jeśli oczywiście się przemogę, jeśli uda mi się to przeprowadzić - to będzie już jakby trzecie i wtedy definitywne...

Najtrudniej jest mi w wieczór przed jego wyjazdem, właśnie dlatego, że zostało jeszcze trochę czasu i czujemy upływ każdej minuty. Ich odliczanie uniemożliwia nam jakąkolwiek przyjemność. Tak bardzo staramy się nasycić każdym momentem, że zapominamy się mu poświęcić. Wyczuwamy nieomylnie bezowocność tych prób i jeszcze bardziej rozpaczliwie chwytamy się każdej uciekającej chwili, za każdym razem coraz bardziej kurczowo niż poprzedniej. Tak więc gnaliśmy do przodu, nieprzytomni z rozpacz, tak jak ten chłopiec, który utopił się w zeszłym roku, kiedy próbował zimą przejść na drugi brzeg zamarznętej rzeki. Gdyby się zatrzymał, dałoby się go jakoś uratować, ale im głośniejszy do niego krzyczyliśmy, tym bardziej trzask pękającej mu pod stopami kry zmuszał go do coraz szybszego pędzenia coraz dalej przed siebie.

*

W dzień swojego odjazdu Giacomo opuszcza łóżko, jeszcze zanim się przebudziłam, i śpieszy do siebie, by spakować bagaże i kazać je zanieść na stację pocztową. Mam się tam z nim spotkać przy powozie o dziesiątej, tuż przed odjazdem. Skoro i tak musi się to zdarzyć, to lepiej, by trwało krótko

niżli długo. Współpasażerowie już wsiedli i zachęcają go do tego samego.

- No i jak? - pyta mnie z jedną nogą na stopniu powozu. - Żadnego żalu? Wygrałem nasz zakład?

- Niezbyt przekonująco, ponieważ nader mi smutno, kiedy widzę, jak pan odjeżdża.

- Od początku mówiłem, że nie mogę zostać długo.

- To prawda.

- Poza tym z pewnością powrócę. Może jeszcze tej wiosny. Zstanę jeszcze panią tutaj, prawda? Będzie pani na mnie czekała?

Ach, te słowa! Z całej siły walczę, żeby się nie zachwiać. Wydaje mi się, że je rozpoznaję, wszystkie co do jednego, ale i tak nie mam pojęcia, czy wtedy były takie same. Giacomo wsiada do powozu. Patrzą na twarze pozostałych pasażerów. Jakoś udaje mi się zaśmiać i z udawaną przyganą grozę mu palcem.

- A fe, jak można się ważyć pytać o coś takiego!

- Widocznie odpowiedź wymaga odwagi jeszcze większej, albowiem boi się pani jej udzielić.

- Niczego nie obiecuję. Nie chcę popełnić tego samego błędu, co pańska Lucia.

Giacomo patrzy na mnie oniemiały

- No, tak, ta pańska pierwsza miłość, która tak bardzo pana zawiodła - dodaję tytułem wyjaśnienia. Zachowuję się tak, żeby wiedział, iż nie było to przypadkowe przejęzyczenie i niby to swobodnie zmieniam temat: - Sam pan przecież wie najlepiej. Może znowu nabiorę chęci udania się tu czy tam. A wtedy miałby mi pan za złe. Nie, żadnych obietnic!

Zatrząskują się drzwi powozu. Giacomo wciąż wygląda tak, jakby widział cień jej postaci w powietrzu. Odwracam się, jakbym zamierzała iść do domu. Nie daję za wygraną. Opuszcza okienko i wychyla się.

- Jej imię.

- Słucham?

- O ile wiem, nigdy przecież nie wymieniłem jej imienia. Przynajmniej nie w pani obecności. Skąd pani zna jej imię?

Woźnica strzela z bata. Zaprzęg rusza z szarpnięciem. Oś skrzypi. Kola turkoczą po kamieniach.

- To bardzo proste - wołam za nim, machając na pożegnanie - ponieważ osobiście znam pańską Lucię!

TLR

6.

Poznałam, co to głód. Czasami, kiedy z powodu złej pogody wszystkie statki przez kilka tygodni stały na redzie w Texel, w stolicy zbyt wiele kobiet czekało na ulicach na zbyt niewielu mężczyzn. Mogłam wtedy chodzić całymi dniami, nie doczekawszy się chętnego. Przypominam sobie, że walka miała trzy fazy - najpierw burczenie w brzuchu. Zmartwienie przeradza się w panikę i ciało chce mieć wszystko, cokolwiek zobaczy.

Potem brak staje się już gwałtowny. Nie ma czasu na strach czy zderzenie. Zupełnie jak dzikus człowiek zbiera i zgarnia wszystko naokoło, nawet jeśli to zupełnie nie nadaje się do jedzenia. Łapie się wszystko i pakuje do ust. Człowiek już nie myśli, tylko pochłania.

Wreszcie natura okazuje swą łaskawość. Gdy człowiek staje oko w oko ze śmiercią, zalewa go fala zubożenia. Odrywasz się od wszystkiego i pozwalasz jej ponieść. Przynosi to spokój ducha, który sprawia, że człowiek nie ogląda się na życie, tylko patrzy przed siebie. Już nie chce mieć, nie chce brać, nie chce już nic dla siebie zatrzymać. Myśli odstępują od obłąkania. Umysł się otwiera. Pojawia się miejsce na halucynacje. To uczucie jest tak uzależniające, że trudno być wdzięcznym, gdy zostajesz uratowany. Dlatego tak dobrze rozumiałam tego mojego marynarza, kiedy opowiadał o tym, jak walczą ci, którzy wypadli za burtę. Najpierw oceniają gorączkowo, jakie mają szanse dotarcia na stały ląd. Potem łapią się kurczowo wszystkiego, co znajdą pod ręką, dlatego tak często toną razem z tymi, którzy próbują ich ratować. Dopiero potem przestają walczyć i rozprostowują członki, poddając się losowi. Jedni widzą Boga, machającego do nich z góry, inni z kolei morskie syreny. Niczego już nie pragną, tylko zawierają się w wodzie. W tym stanie najłatwiej ich uratować.

Tak właśnie niosła mnie przez życie miłość. Po prostu przez bardzo długi czas myślałam, że aby przeżyć, muszę się jej trzymać ze wszystkich sił.

*

Giacomo wrócił z Paryża w bardzo krótkim czasie, jeszcze przed nadejściem odwilży. Bałam się ponownego spotkania. Obawiałam się, że stracę grunt pod nogami, że jego widok nazbyt mnie poruszy i w ostatnim momencie mogę się jeszcze cofnąć przed tą niezwykle ważną próbą i siłami, jakie ona wyzwoli. Z drugiej strony mój plan już na tyle dojrzał, że wręcz pragnęłam wcielić go w czyn, by wybawić nas oboje.

Zatrzymał się w hotelu „De Tweede Bijbel” przy Warmoesstraat, znów jako *chevalier* de Seingalt. Tam właśnie chciał mnie przyjąć w swoich pokojach, chociaż jeszcze bardziej wolałby przyjść do mojego domu. Pragnął podjąć naszą grę w miejscu, w którym ją przerwaliśmy. Czyli w łóżku. Ja nie mogłam. Jedno dotknięcie odebrałoby mi siły. Wystarczyłoby, by jego ciało przylgnęło do mego, a od razu porzuciłabym cały swój zamiar. Jedno jego słowo, wyszeptane mi do ucha, a już nie zdołałabym się oprzeć. Nie, muszę zadbać o to, abyśmy aż do momentu ostatecznej konfrontacji pozostawali osobno, tak jak mających stoczyć walkę przeciwników w przeddzień odizolowuje się od siebie, ponieważ jedno spojrzenie mogłoby sprawić, że któremuś zrobiłoby się szkoda drugiego i zniknęłaby cała zawziętość. Każdy nerw, każdą tkankę mego ciała musiałam przygotować do tego, co miało nastąpić.

Odpowiedziałam zatem tylko, że sprawiło mi wielką przyjemność dowiedzieć się, że mój drogi przyjaciel znów zawitał do miasta, lecz na razie nie mogę go przyjąć. Zamiast tego, jak w każdy czwartek wyszłam z Jamiesonem.

Amerykanin chciał uczcić sukces swoich interesów giełdowych, zakończonych właśnie z ogromnym zyskiem, jak też zdobycie gwarancji na dziesięcioletni monopol handlowy w tym kraju. Podarował mi kolbę z czarnych pereł, którą bardzo pragnął sam zapiąć mi na szyi. Wzruszające było patrzeć, jak robi wszystko, by zapinając niezgrabnymi palcami naszyjnik, nie unieść zbyt wysoko mojej woalki. Byliśmy sami, a w przedzalni miał już okazję przyjrzeć się mojej twarzy, w zasadzie więc nie było powodu do żadnej ta-

jemnicy. Niemniej jednak Jamieson zadał sobie ten trud tylko po to, by mnie nie skonfundować. Bardzo chętnie przyjął od niego ów prezent, ponieważ wiedziałam, że gdy tylko puści lód w porcie, mój przyjaciel powróci z całym majątkiem do Nowego Jorku, aby dalej prowadzić tam swe interesy. Tym samym utracę stałe wpływy, nie mając na razie widoków na nic nowego. Z pewnością będę musiała wyprowadzić się z obecnego mieszkania, niemniej taki naszyjnik wstawiony do lombardu uchroni mnie na jakiś czas od biedy.

Właśnie miałam przystąpić do wyrażenia panu Jamiesonowi wdzięczności za podarunek, kiedy przyszedł kolejny posłaniec z listem od Giacomina. Poza wszystkim innym były tam znowu nalegania na spotkanie, ponieważ, jak napisał, miał nadzieję, iż uwolnię go od zagadki, z którą pozostawiłam go w chwili odjazdu. Schowałam list i wróciłam do Jamiesona, by znów całkowicie poświęcić się jemu. On jednak, jak na mężczyznę, jest zbyt uważny. Kiedy dostrzegł moje zdenerwowanie i wyczuł, że myślami jestem zupełnie gdzie indziej, delikatnie dał mi do zrozumienia, że podziękowania niekoniecznie muszą być natychmiastowe. Potem został jeszcze tylko na tyle długo, by mnie dalej nie niepokoić i zostawił mnie samą, tak że miałam szansę dobrze wyspać się tej nocy.

*

Tymczasem nawet nie zmrużyłam oka. Wydobyłam zrobione przez mego dziadka lustreczko z torby podróżnej, gdzie je trzymałam. Przesiedziałam całą noc, trzymając je w dłoniach. Nie dałam się odstraszyć odbiciu, jakie w nim widziałam. Po raz pierwszy od długiego czasu patrzyłam przez nie na wskroś, modląc się do oczu świętej Łucji. Prosiłam o odwagę, nadludzką odwagę, taką jaką wykazała się ona, kiedy kazała sobie wyłupić oczy, by pozostać wierną swemu powołaniu i nie ulec, widząc ukochanego. Wprowadziłam się nawet w taką ekstazę, że przez kilka chwil wydawało mi się, jakbym odczuwała jej cierpienie. Bogu dzięki jednak po pewnym czasie wrócił mi zdrowy rozsądek, wraz z moją wrodzoną pogardą dla kobiet, które składają bezsensowne ofiary. Usiadłam przy biurku i zrobiłam to, co musiałam zrobić, wzmocniona świadomością, że nagrodę zainkasuję nie w przyszłym, ale jeszcze w tym życiu.

Mój kochany panie de Seingalt!

Niestety, pilne sprawy zmuszają mnie do niezwłocznego wyjazdu do Utrechtu, a po chwilowym tam pobycie prawdopodobnie także do Kolonii i być może jeszcze dalej. Los nie pozwala nam na ponowne zejście się, na które tak czekaliśmy. Nie chcę dłużej zwlekać z udzieleniem odpowiedzi na pytanie, które wedle Pańskich własnych słów nie daje Panu spokoju od chwili naszego rozstania. Mniemam, iż dotyczy ono naszego zakładu, a mianowicie, czy go Pan wygrał, czy też nie? Cóż, przypomina Pan sobie zapewne, iż składał się on z dwóch zadań, w których główną stawką były Pańska reputacja i moje szczęście.

Na potrzeby naszej gry przyzwoliłam, by mnie Pan zdobył. Przystąpił Pan do dzieła z werwą, sprawiając, iż naprawdę uwierzyłam w Pańską miłość, a Pan był wobec mnie szczery i otwarty. Nigdy nie posunął się Pan do obietnic, których nie mógłby spełnić, a kiedy Pan wyjechał, nie zaznałam smutku, wynikającego z czego innego niż tylko z moich własnych oczekiwań, które żywiłam wbrew sobie i które stały w sprzeczności z jasnym przedstawieniem przez Pana sprawy od samego początku. Jak długo byliśmy razem, zawsze bez reszty mogłam oddawać się przyjemności, nie tracąc przy tym normalnego spojrzenia na rzeczywistość. W rezultacie bardzo dużo skorzystałam na naszym romansie i wyszłam z niego bez uszczerbku. Z tego też względu nie mogę niestety, jak wcześniej mniemałam, przedstawić siebie jako dowodu w drugiej rundzie, mianowicie jako kogoś, kto cierpiał, ponieważ Pana kochał.

Co jednak wcale nie znaczy, że taka osoba nie istnieje.

Nieszczęsny przypadek sprawił, że kilka lat temu stanęła na mojej drodze. Zawarłam z nią znajomość dzięki kilku paniom, z którymi prowadziłyśmy działalność dobroczynną na rzecz ubogich, jako że tak wielu jest ich jeszcze, niestety, w naszym mieście. Kilka razy jej twarz mignęła mi wśród tłumu odbierających chleb i odzież. Z wolna przewyciężyła nieśmiałość, a w końcu zdobyłam jej zaufanie i opowiedziała mi swoją historię. Tak bardzo różniła się od tej usłyszanej od Pana, iż z tego właśnie powodu, a nie dlatego że posłużyła się w opowieści Pańskim rodowym nazwiskiem, potrzebowałam sporo czasu, aby zrozumieć, że mój Jacques to jej Giacomo i że nieszczęsna Lucia musi być owym dziewczęciem, o którym pan opowiadał.

To właśnie ona jest moim asem w rękawie. Tak więc wygrywam zakład, a jednocześnie go przegrywam, ponieważ nabrałam dla Pana takiej sympatii, iż wolałabym nie naruszać Pańskiej niezachwianej wiary w samego siebie. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Jeśli mielibyśmy się już nigdy nie zobaczyć, nie ma powodu do zmartwienia. To, co zdarzyło się między nami, było grą i oboje zgodziliśmy się na nią dla własnej satysfakcji. Robiąc kiedyś bilans swego życia, może mnie pan wpisać po stronie aktywów, ze spokojnym sercem, o czym zapewniam, równoważąc moje ukontentowanie żalem tej, o której gwoli uczciwości zmuszona byłam Panu opowiedzieć.

Powodzenia!

Ach, gdyby odczuwał pan potrzebę przekonania się o jej nieszczęściu na własne oczy, to Lucię można przeważnie spotkać we czwartki i piątki mniej więcej od ósmej wieczorem w jednym z lokali z tańcami przy Nabrzeżu Południowym. Proszę się jej najpierw przyjrzeć z daleka. Nie jest ładna. To, czy zechce Pan z nią potem porozmawiać, zależy wyłącznie od Pańskiego nastawienia, na które całkowicie się zdaje. Niech dojdzie do głosu Pańska dawna miłość. Nigdy nie wolno osądzać życia, w którym nie brało się udziału samemu. I proszę być przygotowanym na najgorsze.

Z wyrazami miłości,

Pańska Galatea de Pompignac

*

Ten list skończyłam pisać nad ranem i niedługo potem kazałam dostarczyć. Przez następną część dnia próbowałam trochę odpocząć. Był mróz. Leżąc w łóżku, godzinami wsłuchiwałam się w mroźną ciszę, która tłumi wszelkie odgłosy i kładzie się na miasto lodowatym przykryciem. Pozwoliło mi to zachować spokój. Pod wieczór włożyłam połataną suknię, kupioną w tym celu wcześniej na straganie z tandetą. Był to łachman, taki sam jak tamta, którą nosiłam dawno temu, i która w niczym nie przypominała mojej obecnej garderoby. Nie włożyłam też żadnej biżuterii. Jediną ozdobą było lustreczko od mojego dziadka. Powiesiłam je sobie na szyi, żeby było dobrze widoczne. Na koniec, już stojąc na progu, zdjęłam woalkę.

Poszłam na nabrzeże i wybrałam gospodę „Zatoka Gwinejska”. Nie był to przybytek najgorszy z możliwych, ale też bynajmniej nie wytworny lokal. Ponieważ nie miałam pojęcia, jak długo przyjdzie mi czekać, usiadłam blisko ognia. W ten sposób padał też na mnie blask płomieni, tak że byłam dość dobrze widoczna w pomieszczeniu, w którym panował raczej mrok.

Zaczęły się tańce. Pracujące tu dziewczęta patrzyły na mnie ze zdziwieniem i zadawały mi różne pytania, ale po chwili zaskoczenie minęło i już jak zwykle chodziły ze swoimi klientami na górę. Tylko jedna z nich powiedziała, że moja twarz odstrasza klientów i psuje interesy. Wtedy wyjęłam z ognia pogrzebacz, na co ona uciekła. Żeby mnie jakoś udobruchać, szynkarka przyniosła mi dzban piwa. I tak czekałam, z wolna różowiejąc od gorąca.

*

Moja ułomność. Był to ten składnik mego planu, którego lękałam się najbardziej: raz jeszcze być zmuszoną się odsłonić i pokazać wszystkim. Ale kiedy już uczyniłam ten krok, nie było to bolesne. Wprost przeciwnie. Moja twarz tak długo pozostawała w ukryciu, że aż sama się zdziwiłam zmianą w swoim zachowaniu. Oczywiście bezsenssem byłoby twierdzić, że nagle zaczęłam odczuwać coś w rodzaju dumy z powodu własnego wyglądu, niemniej jednak nie czułam także wstydu. Nawet przez chwilę próbowałam go w sobie odnaleźć, tak jak szuka się wzrokiem boi, którą ktoś niespodziewanie przesunął, ale nie mogłam odnaleźć dawnego smutku. Co takiego się we mnie zmieniło?, zadawałam sobie pytanie. Czułam się silniejsza, wiedząc, że mimo wszystko będzie mi dana miłość. Dowód na to nosiłam już w sobie. Nie umiałam jeszcze tylko znaleźć odpowiednich słów. Nie wiedziałam też, jaki będzie miała wpływ ta wewnętrzna przemiana na moją postawę wobec mego wyglądu.

Przesunęłam wzrok na liżące drewno płomienie. Ich rozedrgany blask rozpraszał moje myśli. Nagle znowu pojawiła się między nimi postać nieszczęśnika, który wypadłszy za burtę, kurczowo trzymał się życia i szedł już pod wodę, a którego udało się uratować dopiero wówczas, gdy oderwał się

od wszystkiego. W tym momencie niespodziewanie z ognia wyskoczyły dwie czy trzy niesforne iskry i w miarę jak płomienie trawiły jedną z gałęzi, począł się otwierać mój umysł. I nagle, tak jak święty doznaje wizji, ja zrozumiałam, czego tak naprawdę próbuje nauczyć mnie los.

*

Zbyt wiele lat myślałam namiętność z miłością. Od młodych lat widziałam wypatrujących jej ludzi. Niektórzy z nich wyruszali na polowanie, by zdobyć miłość. Inni czekali niespokojnie w domach, aż ktoś im ją zaoferuje. Mówiło się o niej jak o czymś, co koniecznie trzeba zdobyć. Jeśli się jej jeszcze nie miało, to koniecznie trzeba było zadbać, by ją dostać. Najchętniej możliwie szybko. Gdy się ją już otrzymało, ale straciło, to należało ją z tym samym pospiechem odzyskać, nawet kradnąc skarb komuś innemu, kto wyszedł z nim na przechadzkę. Zdobyć miłości cenione jest wyżej niż posiadanie fortuny czy sławy. Nawet wyżebranie kawałka chleba wydawało się mniej ważne, ponieważ kto ma miłość, powiadano, nie czuje głodu. Każdy zakochany gotów jest znieść wszelki niedostatek, byle tylko utrzymać zdobycz, której tak bardzo pragnął. I najwyżej ceniono właśnie tego, kto gotów był oddać życie, by zdobyć czyjaś miłość.

Jednocześnie widziałam wszakże, że większość ludzi jest jej pozbawiona. Czyni się im zarzuty i oni sami je sobie robią, że nikt nie chciał im dać miłości. Znałam takich, co chcieli miłości tylko od określonej osoby, nawet jeśli ta jej odmawiała. Zarazem jednak odrzucali uczucie ofiarowywane im przez tych, których nie pożąдали. Wreszcie zaś, kiedy już z rozpaczony rezygnowali ze swych pierwotnych pragnień, żeby złapać chociaż cokolwiek, co się nadarzy, okazywało się, że na wszystko jest już za późno i zostawali z pustymi rękami. Ci, którzy nie tęsknili do jakiejś jednej konkretnej miłości, też nie wyglądali na szczęśliwszych. Czekali grzeczni, aż pewnego dnia pojawi się ta właściwa osoba, by podarować im uczucie. Kiedy wreszcie przychodził ich czas, i nadchodziła miłość, otwierali drzwi i wybiegali jej naprzeciw. Stawali na skraju drogi z wyciągniętymi przed siebie rękami, by wreszcie objąć to, na co tak długo czekali. Z niedowierzaniem zostawali tam z pustymi

rękami, patrząc jak ta wyczekiwana miłość odwraca się na pięcie i pierzcha, przerażona taką zachłannością. Na koniec, gdy przez całe lata nikt nie chciał im ofiarować tego, czego tak pragnęli, wpadali w czarne myśli i tracili nawet tę ostatnią miłość, jaką jeszcze mieli - miłość do samych siebie.

Wszyscy ci ludzie bez wyjątku uważali, że miłość im się należy i żaden nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie może jej otrzymać, w każdym razie nie na długo.

Od chwili, gdy spotkałam Giacoma, pojęłam, za czym tak wszyscy się uganiają. Początkowo nie posiadałam się ze szczęścia.

On mi je podarował i dopóki było mi dane, miałam je tylko dla siebie. Kiedy zniknął wraz ze swoją miłością, długo jeszcze żywiłam się wspomnieniami o niej, czując jednak, że i one kiedyś wymkną mi się z rąk. Chodziłam dumnie z tym trofeum jak dziecko, które idzie po plaży, niosąc w rękach górę piasku, i jest tak samo zasmucone ilością, jakiej mu ubywa przy każdym kroku, jak dumne z tej odrobiny, którą udaje mu się mimo wszystko utrzymać.

W końcu nie zostało mi już nic poza wspomnieniami. Przeżywałam w nich tę odrobinę szczęścia, jakie stało się kiedyś mym udziałem. Bez końca odgrywałam w myślach sceny, w których Giacomo ofiarowywał mi swoją miłość. Powtarzałam je sobie słowo po słowie. A kiedy nie mogłam sobie czegoś przypomnieć, wymyślałam coś odpowiedniego. Na zmianę wcielałam się w niego i w siebie, w jednej chwili szepcząc w wyobraźni czułe słówka do ucha Giacoma, by zaraz szeptać je z kolei sobie. Może była to tylko powtórka w nieskończoność jednego i tego samego, by wprawić się w stan oszołomienia, a może jedynie badanie wciąż tego samego materiału, w którym na podobieństwo uczonego raptem odnalazłam nieznaną prawidłowość. W każdym razie, zupełnie nagle, niejako w samym środku tych myśli, dokonałam zdumiewającego odkrycia.

Było ono tak proste, że początkowo nie chciałam w nie uwierzyć. Skoro prawda jest aż tak oczywista, to dlaczego jej nigdy dotąd nie dostrzegłam? Na obwołucie swojej encyklopedii Diderot kazał wytłoczyć ilustrację, na której Rozum i Uczucia wspólnie zdejmują zasłonę z Prawdy. Czy to możliwe, by klucz do szczęścia tkwił w każdych drzwiach, tylko ludzie go nie dostrzegają? Czy można znaleźć coś, czego poszukiwanie już zarzuciliśmy?

Tak czy inaczej, nagle uświadomiłam sobie, że wszystkie moje najbardziej wzruszające wspomnienia wiążą się z momentami, kiedy to ja obdarowywałam Giacomą miłością. Gdy on ofiarował mi swoją, nie czułam się mniej szczęśliwa, radosna i spełniona, co to, to nie, tylko głównie i nade wszystko wdzięczna. Między tym daniem i braniem była tylko minimalna różnica, trudno zauważalna i bar* dzo łatwa do pominięcia w miłosnej grze. Pewnie nigdy nie zwróciłabym na nią uwagi, gdy nie to, że wkrótce potem los nas roz* dzielił.

Skoro miłość jest czymś, co się dostaje, to należałoby oczekiwać, że moja przestała istnieć w momencie, gdy przestałam ją otrzymywać. Tak nie jest. Ona nadal istniała. Zawsze. Najgłębsze szczęście przeżyłam wręcz, kiedy nie było przy mnie Giacomą, a dokładniej mówiąc wówczas, gdy on przebywał w Wenecji, a ja, oszpecona, ozdrowiałam z mej choroby. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Nigdy wcześniej nie czułam się tak nim wypełniona, jak w tamtej chwili, kiedy był tak daleko ode mnie, a ja zdecydowałam się dla jego dobra zrezygnować z naszej wspólnej przyszłości. Moja miłość żyła nie dlatego, że to mnie uwielbiano, lecz właśnie dlatego, że to ja kochałam!

Kiedy to pojęłam, po tylu latach, dostałam do rąk jedyną broń, jaką można odeprzeć każdy atak. Jest nią głębsza prawda, ukryta pod tą widzialną, zupełnie tak samo jak oczy świętej Łucji wygrawerowane pod szkłem mego lusterka, które ujrzeć można tylko wówczas, gdy światło pada na nie pod odpowiednim kątem.

Wszystko obraca się wokół tego jednego: każde słowo, które napisałam i jeszcze napiszę. Opowiadam ci swoje życie tylko po to, aby od samego początku wyposażyć cię w wiedzę o tej tajemnicy: jesteśmy nieszczęśliwi, ponieważ wydaje nam się, że musimy dostać miłość. Ratunek przyjdzie wówczas, gdy zrobimy rzecz najprostszą na świecie, jednak, jak się okazuje, najtrudniejszą do zrobienia: gdy podarujemy to coś, czego właśnie najbardziej pragniemy. Nie dostawać, tylko dawać. Dzięki temu możemy jeszcze zatriumfować. Tego nauczyła mnie moja ułomność.

Siedziałam tak przy ogniu z dzbanem piwa w dłoni, bez woalki, i rozmyślałam. Gdybym tak jak inne dziewczęta beztrudnie przetrząsała się z jednej miłości w drugą, mogłabym przeżyć całe życie, nie poświęcając memu szczęściu bodaj jednej myśli. Tymczasem właśnie w ciemnościach, przez które zmuszona byłam się przedzierać, zauważyłam błysk prawdy. Ten ratunek, myślałam sobie, zawdzięczam więc właśnie swojej obrzydliwej gębie. I z wolna mój smutny ciężar zaczął się zamieniać w przekorną dumę.

Mądrość życiową starca wyczytać można z jego zmarszczek, męstwo wodza z ran. Każdego z nas zdobi to, co stanowi o naszej istocie.

*

- A nie mówiłem, Seingalt?

W przeciągu jednego uderzenia serca ten okrzyk przywrócił mnie rzeczywistości. Głos należał do Rijgerbosa, który stał jeszcze w drzwiach, gotów wycofać się po pierwszym rzucie oka na tę cuchnącą norę.

- Nie mam pojęcia, czego mielibyśmy tu szukać, poza tryprem.

Giacomo odsunął go na bok i wszedł do środka.

- Ależ ty jesteś zaparty - burczał pod nosem Rijgerbos w swoim najlepszym francuskim, idąc za przyjacielem, jakby stąpał po grząskim błocie i uważając, żeby tylko do niczego się nie dotknąć. - Nie wiem, kto ci naopowiadał, żebyś tu przyszedł szukać rozrywki i zabawy, ale, do diaska, na pewno nie był to ktoś, kto zna się na czystości i pięknie.

Zajęli miejsce przy szynkwasiu i zamówili coś do picia. W tym czasie Giacomo rozglądał się po słabo oświetlonym pomieszczeniu. Dwa razy jego spojrzenie spoczęło na mnie. Siedziałam jak sparaliżowana, ale jemu nawet nie przyszło do głowy, że to ja mogłabym być tą, której szukał. Dwa razy też odwrócił wzrok, niczym nie okazując, że mnie rozpoznaje. Wreszcie sama podniosłam się z miejsca i ruszyłam w jego stronę. Pokonując tych kilka metrów, przeszłam zarazem na drugi brzeg otchłani, który jeszcze niedawno wydawał mi się nieosiągalny. Położyłam mu dłoń na ramieniu. Zaskoczony

podniósł na mnie wzrok i uczynił gest, żeby mnie odpędzić, zupełnie jak odpędza się natręta. Tylko dlatego, że nie ruszyłam się z miejsca, spojrzał na mnie jeszcze raz, tym razem uważniej. Na moją twarz. Moją szyję. I całe ciało. Mój dekolt z lusterkiem, które musiał pamiętać z przeszłości. Potem jeszcze raz na twarz, z niedowierzaniem w oczach. Ta chwila była dla niego niemniej przykra niż dla mnie. Łzy napłynęły mu do oczu. Chciał się odwrócić, żeby ukryć obrzydzenie, lecz udało mu się tylko częściowo. Chwytał za kubek, żeby jakoś ukryć zmieszanie, i jednym haustem wypił jego zawartość. Pociągnął nosem i otarł twarz. Dopiero wtedy odwrócił się ponownie w moją stronę. W tym czasie ja wyraziłam radość z powodu naszego spotkania. Przywołał na twarz uśmiech. Powiedziałam, że te lata tak bardzo go zmieniły, iż ledwo go poznałam.

- Cieszę się, że ci się ułożyło, równie mocno - powiedziałam w naszym ojczystym języku, starając się nadać głosowi nieco wyższy i swobodniejszy ton, jaki miałam dawniej - jak ty się martwisz, widząc, co się ze mną stało.

- No, cóż, ja - wybąkał - już o tym słyszałem. Dlatego tu jestem. Z twojego powodu. Przyszedłem tutaj, ponieważ wiedziałem, że mogę cię tu spotkać. Niemniej jednak... - Powoli dochodził do siebie. - Niemniej jednak... - Ujął mnie za ramiona ani na chwilę nie odwracając wzroku od mej twarzy i przyglądał mi się uważnie, jakby usiłując obudzić w sobie coś z dawnego uczucia. Na koniec nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak tylko powiedzieć: - Kochałem cię wtedy!

Ku przerażeniu Rijgerbosa, który nie rozumiał ani słowa po włosku i przyglądał się czułościom przyjaciela z otwartymi ustami, Giacomo zaproponował, żebyśmy we trójkę wynajęli sobie na godzinę jakiś pokój na górze, gdzie będę mogła w spokoju opowiedzieć, co się ze mną działo.

*

W najmniejszym stopniu nie sprostowałam mojego kłamstwa sprzed lat. Opowiadając o odejściu z Pasiano, powtórzyłam tę samą historyjkę, którą swego czasu na moją prośbę opowiedziała mu moja matka. Dodałam kilka

zmyślonych szczegółów, które miały wszystko uwiarygodnić. Na przykład, że L'Aigle uwiódł mnie siłą.

Że próbowałam go jeszcze od siebie odepchnąć, bo za wszelką cenę chciałam pozostać niewinna, ale był ode mnie po prostu silniejszy. Że chciałam się zabić, kiedy się zorientowałam, że jestem w ciąży, ale nie potrafiłam i uciekłam z domu, nie mogąc znieść hańby. Że prowadziłam życie, w którym miłość zniszczyła mi ciało. Dopóki mówiłam, Giacomo patrzył na mnie szklanym wzrokiem. Był tak zaszokowany moim wyglądem, że nie mógł się skupić na tym, co słyszał. Nagle przerwał mi w pół słowa okrzykiem: - To wszystko moja wina!

Próbowałam mu to wyperswadować. Miałam przecież nadzieję, że przechodząc przez tę próbę, uda mi się za jednym zamachem wymazać zarówno jego winę, jak i moją. Tłumaczyłam mu, że wszystko, co się stało, jest wyłącznie dziełem losu i okoliczności. Stwierdziłam, że teraz, kiedy już wie wszystko, być może zrozumie moje postępowanie, zdoła mi jakoś wybaczyć i bez żalu o mnie zapomnieć. On jednak ukrył twarz w dłoniach.

Rijgerbos, który wciąż jeszcze nie do końca pojmował, o co w tym wszystkim chodzi, nie miał odwagi na nas patrzeć. Schował się za płachtą gazety i zadzwonił, żeby przyniesiono więcej wina.

- Gdybym wrócił do Pasiano wcześniej, co było absolutnie możliwe i to bez najmniejszego trudu, jakże inaczej wszystko by się potoczyło!

- Gdybym naprawdę była ciebie warta - zaproponowałam - zostałąbym ci wierna.

Jego poczucie winy budziło mój sprzeciw. Przecież całą tę konfrontację zainscenizowałam tylko po to, by zniszczyć resztki uczucia, jakie mógł żywić dla mnie, a nie by je na nowo obudzić.

- Kochałam cię - powiedziałam tak bezosobowo, jak to tylko możliwe - ale z pewnością nie dość mocno, inaczej bowiem skuteczniej broniłabym się przed zalotami L'Aigle.

- Gdybyś mnie nigdy nie poznała, gdybym nie rozpałił twego serca, wówczas pozostałoby czyste i niewinne, kiedy ten łajdak się do ciebie zbliżył i na pewno nie zważałabyś na jego słowa. Gdybym tylko delikatniej cię po-

traktował, chociaż nie, właśnie odwrotnie, gdybym był mniej uważający, gdybym nie miał dla ciebie takiego szacunku, gdybym cię mniej wysoko cenił i po prostu cię wtedy posiadał, gdybym nie tylko rozbudził twoje zmysły, ale je zaspokoił, zanim się rozstaliśmy, wówczas nie zostałabyś w stanie takiego rozplómnienia, w którym musiałaś się oddać pierwszemu lepsze-
mu.

- Tak czy inaczej - odparłam rzeczowo - kiedy powróciłeś, było już po wszystkim.

Nie chciałam wybuchu tych wszystkich emocji i robiłam wszystko, by obudzić w nim niechęć do mojej osoby. Lecz moje siły topniały. Jego wilgotne spojrzenie doprowadzało mnie niemal do płaczu, lecz wtedy, dosłownie w ostatniej chwili, wypowiedział słowa, które brutalnie przywróciły mi rozsądek:

- Boże, jakież ja byłem głupi! - powiedział Giacomo z wyrzutem wobec samego siebie. - Tyle czasu poczytywałem sobie za powód do dumy, że nie zhańbiłem twego dziewictwa, ale teraz żałuję. Wstydzę się za tę głupią wstrzemięźliwość. Utwierdza mnie to tylko w przekonaniu, że jeśli chodzi o miłość, należy brać wszystko, co nam wpada w ręce.

Ton jego głosu sprawił, że wszystko w jednej chwili wróciło na swoje miejsce. Jakże jego ścieżka była odległa od mojej! Jedyne, co teraz czułam, to smutek, że nigdy już nie będę miała możliwości poprowadzić go do miejsca, gdzie nasze drogi kiedyś się ze sobą krzyżowały.

Skłamałam, że jestem jeszcze z kimś umówiona i muszę się już pożegnać. Zaproponowałam obu panom, że zaprowadzę ich do Giovanny i Danae, żeby mogli zabawić się z nimi przez noc. Nie usłyszałam słowa protestu. Pożegnaliśmy się pod drzwiami dziewcząt. Bardziej jeszcze niż łyż Giacomina zdumiała mnie moja świadomość ogromnego dystansu, zupełnie jakby odpychała nas od siebie jakaś ogromna siła.

Tak właśnie oderwałam się od wszystkiego i znalazłam ratunek.

Nabrałam dystansu.

Odsunęłam się.

Nie było to takie głupie.

Kiedy odchodziłam, usłyszałam za sobą, jak Rijgerbos oddycha z ulgą, że całe to spotkanie mają już za sobą i wreszcie będą mogli dać upust żądzy.

TLR

7.

Morze jest spokojne. Mija trzeci tydzień podróży. Przed chwilą byłam na pokładzie. Uwielbiam patrzeć, gdy płyniemy wprost na zachodzące słońce. Wszystko jest zabarwione na ciemnoczerwony kolor, tak że żagle wyglądają zupełnie jakby płonęły. Potem idę na sam dziób i wychylam się przez reling najdalej jak można. Kiedy tak wiszę nad rozcinanymi przez statek falami, wyobrażam sobie przez chwilę, że jestem sama. Z tobą. Niczego nie żałuję. Czuję się tak, jakbym na środku oceanu rzuciła za burtę monetę. Żebym nie wiem jak jej teraz potrzebowała, pieniędzy i tak nieodwołalnie opada na dno oceanu, i żebym nie wiem czego próbowała, i tak nie uda się go wyłowić spośród fal. To przynosi pocieszenie. To, co straciłam, na zawsze jest już poza moim zasięgiem. Muszę zapomnieć i płynąć dalej. O przyszłość nie musimy się martwić. Nie ma w niej nic pewnego, poza twoim pojawieniem się. Kiedy robi się zupełnie ciemno, wracam do kajuty i piszę tę opowieść, którą, mam nadzieję* pewnego dnia przeczytasz.

*

Ledwie zostawiłam za sobą Giacomę po naszym ostatnim spotkaniu, jeszcze nie wyszłam dobrze z uliczki, gdzie się rozstaliśmy, kiedy zwymiotowałam. Nie było to tak po prostu z powodu nieświeżego jedzenia, tylko przyszło podstępnie i jadowicie, zupełnie bez ostrzeżenia, raz za razem, przez całą drogę do domu, bez ustanku. Resztę nocy przeleżałam na łóżku wstrząsana konwulsjami. Rankiem przyszedł Jamieson. Opłacił już rejs i miał wypłynąć, gdy tylko powieje pierwszy korzystny wiatr. Zrozumiałam, że przyszedł z ostatnią wizytą i już zaczęłam się z nim żegnać, kiedy przerwał mi nerwowo i powiedział, że koniecznie muszę usiąść i posłuchać.

- Nie mam pojęcia, co jest między tobą a tym Francuzem - zaczął - lecz dopóki on jest w mieście, to ciebie jakby zupełnie nie było. Staram się jak

mogę, stroję, przymilam, próbuję ci się przypodobać, próbuję być błyskotliwy, atrakcyjnie wyglądać, zwracać na siebie uwagę, ale ty cały czas jesteś pogrążona we własnych myślach. A mnie w ogóle nie dostrzegasz, zupełnie jakbym był czerwonoskórym na polu maków.

- A fe! - zaśmiałam się. - Gdybym cię lepiej nie znała, gotowabym pomyśleć, że jesteś zazdrosny!

- Zazdrość... - burknął. - Znowu jakiś francuski wymysł! Niczego takiego by nie czuli, gdyby tak ciągle nie utrudniali sobie przepływu krwi tymi wszystkimi wstążkami i riuszkami. Nie o to chodzi, dziewczyno. Nawet nie miałem zamiaru o tym wspominać. Chodzi tylko o to, że bardzo lubię widzieć, jak jesteś szczęśliwa.

Podziękowałam mu za cały przyjemnie spędzony czas i przypominałam jeden z naszych wspólnych wieczorów, ale nie dał się odwieść od swoich zamiarów.

- No, ale to już niedługo... Wiem, jaka jesteś. Nietrudno cię zranić. Ech, co tam, przecież widziałem na własne oczy! - Przez chwilę panowało milczenie. Obydwoje wróciliśmy myślami do chwili, kiedy poznał mój sekret. - Do diaska, mnie tylko chodzi o to, w jaki sposób mogę ci pomóc, tylko o to pytam! A poza tym... - nie wytrzymał i spuścił wzrok, studiując swoje palce i dłubiąc przy paznokciu - poza tym lubię kobiety, wiesz o tym.

- I z tego wszystkie się cieszymy.

- Nie żartuj, proszę. Mam w tym doświadczenie. Przecież to nie pierwszy raz, że... no tak, krótko mówiąc: widać to po tobie. Masz pełniejsze piersi i sutki cały czas napięte. Nie jestem głupi. Przez ostatnie dwa miesiące nie odmówiłaś żadnego spotkania z powodu niedyspozycji. Od jak dawna jesteś przy nadziei?

- Nawet gdyby tak było, to i tak nie z tobą.

- Wiem - powiedział rozeźlony - zdaję sobie sprawę. No bo i jak? Mam swój honor, dziękuję. Ale wszyscy wiedzą, że Francuzi nie za bardzo przejmują się higieną.

- Co insynuujesz?

- Ten twój *chevalier*, sam na własne uszy słyszałem, jak się przechwalał, że on to, no wiesz, mężczyźni różnie między sobą rozmawiają, no więc, że te nowe środki, które są tutaj w użytku, to tylko przeszkadzają mężczyźnie w przyjemności i już prędzej by sobie przymocował wyciśniętą cytrynę.

- To naprawdę nie twoja sprawa, drogi panie Jamieson - powiedziałam opryskliwie, podnosząc się z miejsca na znak, że rozmowa dobiegła końca. Było mi naprawdę przykro, że nasza przyjaźń tak się kończy, ale on i tak nie przestawał gadać przez całą drogę do drzwi, jeszcze bardziej zaparty niż zwykle, od momentu kiedy pojawił, że przez swoje nieokrzesanie stracił wszelkie szanse.

- Powiem to tylko raz i już nie powtórzę: znam cię. Przyjmuję cię taką, jaka jesteś, z przeszłością i w ogóle... ach, no wiesz, powiem to po prostu, bo co mi zależy: otóż wcale cię przez to mniej nie lubię, ot co. Miłości nie oczekuję. Bo i jak? Widzisz, jaki mam łeb. Popatrz na kulaki. Do niczego się nie nadają. Za wielkie, żeby nimi kogoś przytulić. Całkiem zrogowaciałe od garbowania skór. Zupełnie co innego niż paryskie paluszki po całych dniach manikiuru. No tak, nadają się może do tego, żeby oskrobać skórę do gładkości, nie zostawiając ani jednej żyłki, ale żeby pieścić kobietę, tak jak by się jej należało, nie, do tego są zbyt niezdarne. Tak więc nie mam wiele do zaoferowania, cóż, może tylko pieniądze i poczucie pewności, no i troskę, zarówno o ciebie, jak i twoje...

Gdzieś tak w połowie tej tyrady zatrzasnęłam za nim drzwi, ale Jamieson dalej wyrzucał z siebie słowa:

- Cytrynę, no też, ze wszystkich owoców cytrusowych musiał wybrać właśnie cytrynę, jakby nie mógł pomarańczy! Cha, cha, cha! No to chwała Francji zmieści się pewnie w łupinie orzecha.

Po tych słowach zamilkł. Już myślałam, że sobie poszedł, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, bardzo grzeczne i opanowane. Nie otworzyłam, na co Jamieson, tak zdenerwowany, że głos mu się niemal załamywał, rzucił:

- Co to ja chciałem powiedzieć: kiedy sobie teraz pójdę, to kto mi zaręczy, że nikt cię nie wykorzysta?

Nie wiem, kto jest twoim ojcem. Jest, jak jest. Może nim być ten albo ktoś

zupełnie inny. Niewiele to zmienia. Będę cię kochała jak nigdy nikogo przedtem, po prostu dlatego, że jeszcze do niedawna nie wiedziałam, że można bardziej. A teraz wiem. Ciebie też tego nauczę, a potem, już znacznie później, kiedy będziesz mieć dostatecznie dużo lat, przeczytasz moje słowa i zrozumiesz, dlaczego twoja matka bez przerwy mówiła ci tylko o tym jednym. Kochaj! Wydaje się, że to nic szczególnego, ale ja - jak teraz już wiesz - nauczyłam się tego wbrew wszelkim oczekiwaniom. W tym też sensie z pewnością narodzisz się z Lucii i Giacomą. Nie miej im tego tak bardzo za złe, bo jesteś rezultatem ich miłości.

*

Ledwie wyszedł Jamieson, kiedy przyniesiono mi list od Seingalta. Poślaniec odetchnął z ulgą, że zastał mnie w domu, ponieważ dostał polecenie jechania za mną w razie potrzeby do Utrechtu, Kolonii albo jeszcze dalej na wschód. Była to gruba koperta. Kiedy ją otworzyłam, wysypały się z niej bilety bankowe.

*

Chere Galatehee!

W załączeniu przesyłam bilety bankowe o równowartości 200 ecu tytułem wyrównania mego długu. Uczciwie na nie Pani zapracowała, jakkolwiek wolałbym zapłacić dziesięciokrotność, ba, stukrotność tej sumy, żeby tylko oszczędziła mi Pani wczorajszego odkrycia.

Lucia istotnie była tam, gdzie Pani powiedziała. Sama do mnie podeszła. Próbowałem się odwrócić, ale było za późno. Rozpoznała mnie i przemówiła smutnym tonem. Wygląd ma nie do opisania. Nie skończyła przecież jeszcze trzydziestu lat, ale to bez znaczenia, ponieważ wygląda na pięćdziesiąt albo jeszcze więcej, a z kobietami tak już jest, że mają tyle lat, ile podpowiada ich wygląd. A wygląd Lucii jest wynikiem rozpustnego żywota, jaki wiedzie od chwili, kiedy po raz ostatni widziałem ją w Pasiono.

Poczęła dziecko z posłańcem, który zabrał ją ze sobą do Triestu, żeby tam urodziła, i potem żył jeszcze przez pięć czy sześć miesięcy z tego, co zarobiła, zanim ją porzucił na łaskę losu. Dość jednak o tym, albowiem zna już Pani przecież jej smutną historię. Przez tę godzinę opowiadania wypila dwie butelki wina. Bardzo pochlebnie wyrażała się o Pani, tak że błagam, by zechciała Pani pozostać z nią w przyjaźni, nie ma bowiem poza Panią innej przyjaznej sobie duszy. Wetknąłem jej ukradkiem kilka dukatów, lecz jeśli, po powrocie do Amsterdamu, zechciałaby Pani w dobroci swego serca zrobić dla niej coś więcej, byłbym zobowiązany na wieki. Na koniec zaprowadziła nas do dwóch dziewcząt, które dla niej pracują i oddają jej połowę swoich zarobków. Zważywszy, że jej uroda zniknęła, na pewno nie miała innego wyjścia. To klasyczna droga.

Jakkolwiek jej nieszczęsny upadek dokonał się poza moją wiedzą, nie mogę nie przyznać, że ja byłem jego przyczyną. Tak więc wygrywa Pani nasz zakład. Załączam moją stawkę za przegraną. Biedna Lucia, jest nie tylko brzydka, lecz o wiele gorzej: jest wręcz odrażająca! Jakżeż rani serce widzieć tak podeptanym coś, co się kiedyś kochało!

*Z wielką namiętnością czekam Pani powrotu i naszego ponownego zobaczenia się,
sługa Pani
Seingalt*

*

Jeszcze tego samego popołudnia wiatr zmienił kierunek. Nie potrzebo-
wałam wiele czasu. Na północy i na południu próbowałam już szczęścia.
Teraz przyszedł czas za zachód. Zebrałam kilka sukien i tę odrobinę biżute-
rii, jaką posiadałam, i spakowałam to wszystko do torby podróżnej. Pienią-
dze z wygranego zakładu trzymałam przy sobie, ponieważ w porcie zawsze
roi się od złoczyńców. Zabrałam wszystkie arkusiki, pozostałe z zakupionej
prawie ryzy papieru, na których opisałam dla ciebie swoje życie; tej opo-
wieści nie słyszał przed tobą żaden inny człowiek, ponieważ zachowałam ją
dla kogoś, kto bezwarunkowo mnie pokocha.

O wpół do drugiej znalazłam się już na nabrzeżu, co absolutnie nie było
za wcześnie, albowiem kapitan zamierzał już przed wieczorem wypłynąć na

pełne morze. Z pieniędzy Giacomina zapłaciłam za moją podróż, tak że nie miałam długu u Jamiesona. Kiedy zobaczył mnie idącą po trapie, omal nie oszalał z radości, a potem ten wielki, niezgrabny mężczyzna płakał jak dziecko. Obojętne, co się dalej stanie, będzie dla ciebie jak ojciec. Przynależ mi to. Nie zabraknie ci niczego.

Nowy Jork, powiada, jest dzisiaj ogromny i elegancki, zupełnie inny niż Amsterdam. Postawiono tam już prawie trzy tysiące bogatych domów, zbudowanych z czerwonej cegły. Ulice są brukowane i szerokie, mają też chodniki. Miasto jest tak piękne, że żadne w Europie nie może się z nim równać. Wszędzie są szerokie nabrzeża z magazynami. Dwa z nich należą do Jamiesona, jeden z tytoniem, drugi ze skórami.

Dzisiaj widzieliśmy ląd, podobno to Wirginia. To oznacza jeszcze dzień albo najwyżej dwa żeglugi.

Dotarliśmy na drugą stronę.

Wybrzeże wygląda przyjemnie, chociaż poza obrębem miast życie musi być bardzo trudne. Ludzie w tej części świata są szorstcy, ale pełni nadziei i znani, jak się chwają, z nierozumnego optymizmu. Jakby kiedykolwiek istniał jakiś inny! Jamieson twierdzi, że ich żądza sukcesu rośnie tym bardziej, im większe są przeciwności. Podoba mi się takie chodzenie pod prąd. Ameryka ma jeszcze mało blizn.

Może właśnie to było najważniejsze, co skłoniło mnie do ucieczki z Europy. Tamten kontynent jest już za stary. Za często odnosił rany. I zbyt głębokie. Za często brutalnie go budzono, by mógł jeszcze raz pograżyć się w beztroskich snach. Zamiast tego oddał się rozumowi. A ten, nie raz i nie dwa zgodnie ze swą naturą przyniósł ludziom tylko chaos, przez co boją się mu ponownie zaufać. Stali się lękliwi wobec spraw, których nie potrafią pojąć, dlatego próbują wyjaśnić wszystko do najgłębszego sekretu. Kimś takim jest właśnie Giacomo, który stara się uzasadnić racjonalnie swoje szczęście. Wybacz mu to. Nikt nie zdoła całkowicie ująć pomieszaniu swoich czasów, ja również. Dostatecznie długo sama próbowałam chodzić przygięta jarzmem rozumu, ale okazało się dla mnie zbyt ciężkie. Wybieram coś przeciwnego. Jeśli będziesz taki jak ja, ostatnia rzecz, jakiej zapragniesz, to widzieć sprawy takimi, jakie są. Ty jednak masz być kimś zupełnie innym, mieszanką jednego i drugiego: tego, co stare, i tego, co nowe, głowy i serca,

abyś mógł mieć swobodę wyboru między jednym a drugim.

Oderwałam się od wszystkiego.

Nie utonęłam.

TLR

Posłowie

Lucy Jamieson została pochowana 11 lutego 1802 roku na cmentarzu St. Paul we Flatbush w Nowym Jorku pod kamiennym nagrobkiem. Przeżyła swego męża o trzydzieści lat. W czasie trwania ich małżeństwa urodziło się troje dzieci. Najstarsze z nich to syn, któremu nadała imię Jacob.

*

Giacomo Casanova nigdy nie poznał całej prawdy o życiu i cierpieniu Lucii. Wymienia ją jednak w swoich pamiętnikach jako jedną z dwóch kobiet, którym wyrządził krzywdę. Mimo to poświęca pierwszej ukochanej tylko kilka stron. Najpierw opowiada o ich spotkaniu, swoich uczuciach i jej zdradzie w Pasiano, potem o szoku, jaki wywołało spotkanie jej w lupanarze w Amsterdamie: „ona jest nie tylko brzydka, lecz o wiele gorzej: jest wręcz odrażająca”. Zupełnie nie zastanawia się nad tym, w jaki sposób tam trafiła i dlaczego swego czasu zrezygnowała ze szczęścia.

*

Oprócz książek i archiwów, z których korzystałem przy rekonstruowaniu historii życia Lucii, wielkie znaczenie mają też wypowiedzi samego Casanovy. Jak to bywa u wielu genialnych osobowości, jego pamięć zna rozmaite prawdy. W jego opisie epizodu w Holandii, dokąd przyjechał pod nazwiskiem Seingalt, prawdy te często zderzają się ze sobą, podobnie jak to dzieje się w innych częściach jego „Historii mojego życia” (*Histoire de ma vie*). Nazwiska, miejsca, daty, a nawet lata mogą się różnić od faktycznych danych, może świadomie ze względu na czytelność czy zagmatwanie prawdy, a może tylko dlatego, że wspomnienie niekiedy inaczej porządkuje fakty i nadaje im inną formę. Niejednokrotnie Giacomo łączy kilka wizyt w jedną albo rozdziela konkretne wydarzenie na kilka wizyt. Ze wszystkich

tych prawd wybierałem te, które wydawały mi się najbardziej przydatne na potrzeby opowieści Lucii i czyniły ją najbardziej zrozumiałą. Relację Casanovy uczyniłem punktem wyjścia dla rozmów, jakie prowadził z Lucią w Pasiano. Kilkakrotnie dialogi przytaczam wręcz dosłownie, ale zawsze z punktu widzenia Lucji. Z jego pamiętników (w niderlandzkim przekładzie Theo Karsa) zaczerpnąłem kilka objaśnień i anegdot dających pojęcie o zwyczajach epoki i o samym Casanowie. Nader przydatne okazały się tutaj także prace „Casanova in Holland” autorstwa dr. Derka Hoeka oraz „Casanova” pióra Jamesa Rivesa Childsa.

Życie i działalność Anny Morandi Manzolini opisała Angela Ghirardi z uniwersytetu w Bolonii. W tym samym mieście w Museo di Anatomia Umana Normale przechowywany jest woskowy autoportret Anny wraz z wykonanymi przez nią modelami. Wykopaliska Marcella Venutiego i jego braci były prowadzone w Herkulanum i zostały opisane przez niego samego. Latające maszyny Zelidy są w rzeczywistości dziełem Charlesa Dellschaua. Opisywane tutaj rysunki i tajna receptura „soupe” znajdują się w The Menil Collection w Houston, w stanie Teksas.

Wiedzę o zwyczajach i praktykach prostytutek z czasów Lucii zaczerpnąłem głównie z błyskotliwego studium Lotty van de Pols „Het Amsterdams hoerdom”, przejmując pewne określenia z wydanej w roku 1681 pod identycznym tytułem szczegółowej relacji z wyprawy po amsterdamskich domach publicznych i przybytkach uciechy. Klasyfikacja ladacznic jako koni pochodzi z publikacji *Boereverhaal van geplukte Gys aan sluwe Jaap, wegens zyne Amsterdamsche zwier-party* z połowy XVIII wieku. Ogromnie dużo skorzystałem z rozmów, jakie wspólnie z reżyserem Ineke Smitsem prowadziliśmy w czasie prac nad naszym filmem *Hoerenpreek* z kobietami z tej branży, które zgodziły się opowiedzieć o swoich motywach i doświadczeniach, uczuciach i marzeniach. Jestem im winien podziękowania za zaufanie, a organizacji De Rode Draad za pomoc w nawiązaniu kontaktów. Rekonstruuując sesje Lucii w teatrze anatomicznym oraz charakteryzując stan rozwoju wiedzy anatomicznej w XVIII wieku, wiele skorzystałem z książki *De polsslag van de stad, 350jaar academische geneeskunde in Amsterdam* Annet Mooij.

„Arlekin Hulla”, sztuka na którą Casanova zabiera Galateę, została napisana w roku 1747 przez Jacques’a Japina.